



JAKUB  
MAŁECKI

Odwrótniak

„To ty jesteś  
swoim największym  
wrogiem.”

wydawnictwo  
**ab**

Jakub Małecki

ODWROTNIAK



Copyright © by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Wydanie I

Warszawa

## Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)

*Rodzicom*

Dziewięćdziesięcioletnia Izabela Grycz, kobieta unikająca zwykle wyrażania swojej opinii, której zresztą na większość tematów nie miała, kobieta sukcesu, doświadczona, utytułowana, a zarazem skłonna do depresji i – jak sama o sobie lubiła mawiać – „przez większość czasu pogodnie nieszczęśliwa”, o niewielu rzeczach w życiu przekonana była tak mocno jak o tym, że pierwsze zdanie powieści – zwłaszcza długie, skomplikowane, a do tego odrobinę chaotyczne – napisać jest banalnie wręcz łatwo. Tak, myślała, wciskając powoli czubek łyżeczki w parującą na podstawce torebkę zaparzonej herbaty, pierwsze zdanie zawsze jest piękne, nic, tylko chwycić pióro i przenieść je z głowy na papier, coś tam poprawić, albo i nie, potem wstać od stołu i – choćby dla przewietrzenia myśli – przejść się po pokoju. Niestety, po napisaniu pierwszego zdania wikłała się zwykle w następne; nie potrafiła skończyć na jednym – bo i jak? – tymczasem entuzjizm opuszczał ją z kolejnymi słowami pojawiającymi się na papierze z cichym skrzypieniem przeciąganej po nim stalówki. Pisała w tempie coraz wolniejszym, by po pewnym czasie, dręczona mieszaniną ciekawości i niepokoju, wrócić do samego początku i uznać, że pierwsze zdanie wcale nie jest aż tak piękne i w zasadzie należałoby je poprawić, o tu, tutaj i jeszcze tu, może nawet napisać je w całości od początku. A potem je czytała. Czytała powoli, czytała szybko, czytała w myślach i czytała na głos, czytała, popijając wino, popijając herbatę, albo i nic nie popijając, i niemal zawsze dochodziła do wniosku, że jest raczej słabe, może odrobinę zbyt patetyczne, a na pewno nieudolne.

Napisała w życiu setki pierwszych zdań.

Najlepiej myślało się jej przy oknie, stawała więc naprzeciwko szyby i niezależnie od tego, czy widziała po jej drugiej stronie lśniące lwowskie uroborosy szyn tramwajowych, wznoszący się niezmordowanie stołeczny Pałac Kultury i Nauki czy chude kikuty gdańskich dźwigów portowych, myślała o sobie jako żałośnie nieskutecznym siewcy początków powieści: rozpoczęła ich całe mnóstwo, rozpoczynała właściwie jeśli nie co miesiąc, to przynajmniej co dwa, rozpoczynała je gwałtownie albo ze spokojem, w nerwach i w wyciszeniu, rozpoczynała pijana i trzeźwa, ukończyła tylko raz, i to za pierwszym razem.

Potem nie miała już o czym pisać.

Izabela, jak większość ludzi, rodziła się dwukrotnie. Po raz pierwszy w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, wrzeszcząca, czerwona i ślepa, wypchnięta z matki w wielkim pokoju lwowskiego mieszkania przy Brajerowskiej, po raz drugi dwadzieścia trzy lata później, młoda, wysoka i niezdrowo chuda, a jednak na swój sposób ładna, pełna nienawiści i złośliwa, siedząc przy wielkim drewnianym stole w Warszawie przy Łowickiej.

Jak większość ludzi, to za drugim razem zaistniała naprawdę, a narodzinom tym towarzyszyła, w zasadzie zainicjowała je zasłyszana przy stole historia, jedna z tych wyolbrzymianych opowieści, które z każdym kolejnym opróżnionym kieliszkiem prężą coraz większe fabularne mięśnie. Opowiedziano jej wtedy o mężczyźnie z kulą w głowie.

Była środa, dziewiąty sierpnia czterdziestego czwartego, niebo otwierało się nad Warszawą, ciemne i pomarszczone chmurami, a w mieszkaniu obok pies usiłował zaszczekać się chyba na śmierć. Wariata, który od kilku dni średnio trzy razy na godzinę wrzeszczał na schodach: „Do schronu!”, jakoś wreszcie uciszono, nie ucichły za to uderzenia; trrach, trrrach, wydłużały się podziemne tunele i padały kolejne ściany w piwnicach. W korytarzu

stały trzy łóżka, o jedno z nich opierała się beczka ze śmierdzącą wodą, o inne chłopiec, uparcie starający się wymyślić, w jaki sposób można by użyć obcęarów do zabawy. Drzwi za chłopcem zabito deskami, były to deski sosnowe, sękate i brudne od białej farby, a charakteryzował je jeszcze mniejszy potencjał rozrywkowy niż nieszczęsne obcęgi. Co więcej, deski odgradzały chłopca od dwóch pokoi, w których zwykł się bawić, a których okna wychodziły na ulicę.

A ulice, wiadomo: bomba za bombą, a jak nie bomby, to kucie chodników, brzmiące nieśmiało strzały gołębiarzy i te okropne dźwięki pękających mebli. Wyrzucane z okien przez właścicieli, uderzały o bruk, aby zaraz, ze złamanymi nogami, z wyprutymi szufladami, pęknięte na pół, z krzeseł, pianin, stołów i szaf stać się barykadą. Przede wszystkim jednak krowy. Krowy straszne i wielolufowe, krowy w każdej chwili gotowe rykiem nakręcanego mechanizmu obwieścić swoją bardzo niechcianą obecność. Pociski zapalające, wypadłszy z ciała krowy, nie żyły dłużej niż kilkadziesiąt sekund, a sensem ich krótkiego istnienia było wpaść do mieszkania, zburzyć i zapalić. Izabela myślała wtedy o tych pociskach z zazdrością.

W swoim dwudziestotrzyletnim życiu jak dotąd nie znalazła żadnego sensu, ciągnęła je, bo wszyscy ciągnęli. Lwów i bogactwo, w które tam opływała, nie dostrzegając go, później Warszawa i uświadomienie sobie skali doświadczonego dobrobytu, kiedy ten zdążył wyschnąć, zaraz potem wojna, która jej nie dotyczyła, rozgrywała się obok, bo to nie była jej wojna, tylko ICH wojna, wreszcie tych kilka związków z mężczyznami, którzy nie wiedzieć czemu szybko znikali z jej życia, aby nigdy się już nie pojawić. Nic sensownego. A wypluwane przez krowy pociski żyły zaledwie kilkadziesiąt sekund i można było o nich powiedzieć, że istniały w jakimś celu.



Chłopiec uśmiechnął się do niej szelmowsko; miał osiem lat, na imię Romek i wyraźny zamiar naplucia do któregoś z leżących obok butów. Izabela zdecydowała się nie odwzajemnić uśmiechu. Podniosła do ust filiżankę, mimo że kawy już w niej nie było, zasłoniła się tą odrobiną porcelany, a kiedy odstawiała naczynie na spodeczek, Romek zajęty był już czymś innym.

Wyjęła z paczki kolejnego playersa, zapaliła i z ulgą wypuściła z płuc pierwszą chmurę dymu, rozglądając się po zgromadzonych przy stole osobach. Miejsce po jej lewej zajmował właściciel mieszkania, Krzysztof Załoga, wysoki i szczupły miłośnik polowań, obdarzony przez naturę potworną wadą wzroku i silnym węglowoczarным zarostem. Był człowiekiem nad wyraz opanowanym, mówił spokojnie i cicho, poglądy miał radykalne, a majątek – znaczny. Izabela podejrzewała, że sytuacja materialna Krzysztofa nie była bez znaczenia dla decyzji siedzącej obok niego żony, kiedy ta oddawała mu rękę. Na wielu płaszczyznach Julianna Załoga stanowiła zdecydowane przeciwieństwo męża: mówiła dużo i głośno, jej wypowiedzi odznaczały się gwałtownością i zaciekłością, a i z wyglądu niezbyt pasowała do stonowanego brodacza. Będąc kobietą o nieznacznym wzroście, miała szerokie biodra i masywne nogi, gęstwa rudych włosów sprawiała wrażenie niechlujnej, natomiast niesprawna noga, pozostałość po trudnym porodzie Romusia, nadawała jej wygląd dalece niedoskonały, boleśnie kontrastujący z idealnym krojem marynarek Krzysztofa i bielą jego kołnierzyków.

Zgniatając kolejne niedopałki na owalnym dnie kryształowej popielniczki i obracając w palcach wykwintnie zdobioną srebrną łyżeczkę, Julianna raz po raz podejmowała próby zwrócenia uwagi zebranych na syna, który – jeśli wierzyć jej słowom – brał czynny udział w walkach,

przecinając wraz z innymi dziećmi kable goliatów. Nieprzypadkowo tego wieczoru rolę zabawki w dłoniach malca pełniły obcęgi.

Najcierpliwszym słuchaczem kolejnych wysławiających cnoty Romusia litanii był brat Julianny, Leszek, który zajmował przy stole miejsce naprzeciw Izabeli.

Leszek Trzeciak był wątłym początkującym poetą, a jako że coraz popularniejszy stawał się pogląd, iż stolica składa się niemal wyłącznie z wątłych i początkujących poetów, starał się sprawiać wrażenie poety wybitnego, czego jednak nie dało się zweryfikować opublikowanym dorobkiem, jako że opublikowanego dorobku nie było. Brak publikacji nie musiał oczywiście niczego przesądzać – cóż, kiedy żywiono wobec autora dość uzasadnione podejrzenie, iż w ogóle nic jeszcze nie napisał.

Trzeciak jednak miał wiele cech, które uważano powszechnie za typowe dla poetów, nawet wybitnych: był słabego zdrowia, garderobę nosił zaniedbaną, a włosy w nieładzie, przede wszystkim zaś szalenie był kochliwy. Kochliwość ta odcisnęła piętno także na życiu Izabeli, jako że ta ku swemu sporemu niezadowoleniu stała się obiektem, w który Leszek Trzeciak wymierzył ostatnio potężne swe sercowe armaty. Robił przy tym wiele, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo nieobojętna jest mu młoda przyjaciółka znajomej bibliotekarki.

Spoglądał właśnie na Romusia poważnym wzrokiem, obserwował jego małe dłonie zaciśnięte na obcęgach i wzdychał cicho, wciągając przy tym na twarz dobrotliwy uśmiech.

Spokój Leszka Trzeciaka kontrastował z rozbieganym wzrokiem, obgryzionymi paznokciami i poczerwieniałą twarzą ostatniego z zasiadających przy stole.

Mężczyzna ten z wielu względów podobał się Izabeli: po pierwsze dlatego, że był blondynem, po drugie dlatego, że był mężczyzną potężnym

i gwałtownym – a takich lubiła najbardziej – po trzecie i najważniejsze dlatego, że wydawał się dość prymitywny.

Nazywał się Stefan Rzepecki i można było powiedzieć, iż był to człowiek nader wesoły, a zarazem niewymownie smutny. Radosne podejście do życia określało go w wymiarze ogólnym, natomiast smutek, który ogarniał go ostatnio coraz częściej, wynikał z niedawnych dramatycznych wydarzeń. Rzepecki miał dwóch braci, bliźniaków, młodszych o trzy lata, z których jeden był bardzo skryty, do tego wstydlivy, a drugi jeszcze gorzej – potwornie wręcz się jąkał. Tydzień wcześniej obaj zostali rozstrzelani przez żołnierza wermachtu, a ich śmierć można by zaliczyć do śmierci najstraszliwszych, jako że nosiła znamiona banału. Niektórym mogłaby nawet wydać się zabawna – żołnierz zatrzymujący braci w celu, którego nigdy nie zdążyli poznać, również się jąkał. Usłyszawszy pytanie, obydwaj bracia struchleli, wiedzieli bowiem, że wstydlivy odpowiedzieć nie zdoła i będzie to musiał uczynić jąkała. Tak też się stało, a w oczach żołnierza natychmiast pojawiła się złość, zmaterializowana chwilę później w postaci trzech kul. Wstydlivy dostał w oko, jąkała najpierw w usta, za drugim razem w skroń.

Wiadomość o śmierci braci dotarła do Stefana Harcerską Poczta Polową, a jej nadawcą był przyjaciel rodziny, fryzjer Krzakowski, który egzekucję bliźniaków oglądał z okna swojego mieszkania. Po przeczytaniu krótkiej notatki doręczonej przez chłopca o pogodnej twarzy Stefan podjął decyzję, aby nie mówić nic matce; po tym, jak pierwszego sierpnia ojciec wyszedł z domu swoim powolnym, siłącym się na dostojność krokiem i już nie wrócił, pani Rzepecka sprawiała wrażenie, jakby na tym świecie trzymał ją już tylko strach o dzieci.

Rozmowa przy stole zogniskowała się tymczasem na ewentualnych możliwościach wyjazdu na wieś, Izabela natomiast znowu wpatrywała się

w Romusia – jadł właśnie pajdę chleba z cukrem – podejmując kolejną próbę wyobrażenia go sobie, jak czołga się w pyle zalegającym ulice w kierunku nadjeżdżających goliatów.

– Zdrowie! – przerwał nagle dyskusję Krzysztof Załoga, wznosząc napełniony kieliszek.

Stefan, który od paru chwil wyglądał, jakby usiłował poruszyć swój siłą woli, wyrwał się z zamyślenia, ochoczo przytaknął i nie czekając na innych, wlał w siebie alkohol. Otarł usta i wskazał na opróżnione szkło, które gospodarz gorliwie zaraz napełnił. I tak, zdruzgotany śmiercią dwóch braci wesołek w ponurym tonie nadał piciu rytm: walono kieliszek za kieliszkiem, kolejne stuknięcia szkła o blat stołu stawały się coraz głośniejsze, głosy podnosiły się, oczy mętniały, tylko Romuś, coraz bardziej rozdrażniony, bezlitośnie grzmocił obcęgami o podłogę, zerkając raz po raz w stronę stołu. Gdzieś w oddali trzy bomby, jedna za drugą, posunęły naprzód zmiany w krajobrazie miasta.

– Jeszcze trochę i wszyscy oszalejemy – rzucił Leszek Trzeciak, który najgorzej z zebranych radził sobie z absorpcją alkoholu i od dłuższego czasu z obwisłą twarzą oddawał się kontemplacji rzadkich włosów na swoich białych dłoniach. – Jeśli to się szybko nie skończy – tu zatoczył ręką szeroki łuk – wszyscy się pożegnamy z rozumem.

– Wczoraj, jak byłem w wychodku, sedes aż się trząsł od bombardowania. Nie można być normalnym w czasach, kiedy nawet sedes trzęsie się pod człowiekiem – wtrącił Stefan, znajdujący się w kondycji nieco lepszej niż Leszek, którą to jednak kondycję mimo wszystko należało zaliczyć do beznadziejnych.

Leszek zbył uwagę milczeniem, przywdziewając na twarz minę pogardliwej obojętności, i nalał sobie wódki, po czym, nie czekając na

pozostałych, wypił i złożył głowę na stole, do ostatniej chwili dbając o to, by nie pozbawić swojego wyglądu godności.

– Zresztą, co tam sedes. – Stefan kręcił się na krześle i gniótł jedną pięść w drugiej. Wyglądał jak ktoś, kto najchętniej wykrzyczałby, co go męczy, ale jakoś nie może.

Wreszcie, po kolejnym kieliszku i palonym długo papierosie, opowiedział.

Wtedy to właśnie Izabela Grycz po raz pierwszy usłyszała historię o mężczyźnie z kulą w głowie.

Drugiego sierpnia, wracając po południu od Załogów, Stefan natknął się na czołg. Zza barykady wzniesionej z cegieł i ramy okiennej co chwilę wylatywały w kierunku maszyny kule albo granaty. Schwytano zatem kilku przechodniów i powleczono przed czołg. Z uniesionymi rękoma szli przed toczącym się powoli metalowym drapieżnikiem – strzały zza barykady zrzędyły.

Skulony w bramie Stefan modlił się, by zabrali wszystkich, tylko nie jego. Widział dobrze, jak energiczny żołnierz, robał, przypominał z twarzy robala, zbliża się do jakiegoś niespełna rozumu śmiałka, siedzącego jak gdyby nigdy nic na krawężniku. Był to potężny mężczyzna o młodej twarzy i z wielkim brzuchem opartym na kolanach. W ręku trzymał patyk, którym usiłował wydłubać spod podeszwy cuchnącą nieczystość.

Stefan słyszał, jak Niemiec mówi do siedzącego podniesionym głosem, i widział dłoń sięgającą po pistolet o cienkiej lufie, tymczasem olbrzym uniósł jedną otwartą dłoń, nie odrywając wzroku od podeszwy, zupełnie jakby chciał tym gestem powiedzieć: „Momencik!”. Wydłubał, co miał wydłubać, i podniósł wzrok na Niemca. Tamten bez słowa zdzielił go pistoletem w twarz i mierząc w niego, zaczął coś mówić, i mówił, wcale nie

wrzeszcząc, lecz cicho, aż w końcu grubas dołączył biegiem do mężczyzn kroczących przed czołgiem.

Stefan nie potrafił powiedzieć, jaka to była ulica, bo prawie wszystkie wydawały mu się już takie same, pamiętał za to, jak kulił się w bramie i patrzył, a oni szli. I każdy z nich – było ich ośmiu – wyglądał, jakby głęboko był przeświadczony o tym, że on iść nie powinien, że ci co obok niego – owszem, jak najbardziej, że oni pewnie zasłużyli – ale on?

I w końcu zza barykady wzmógł się znowu świst kul. Strzelali jedni i drudzy, mury aż się trzęsły, pięciu z tych ośmiu już padło, aż w którymś momencie gruby mężczyzna, ten od patyka i buta, wywinął się do tyłu, upadł, ale wstał od razu, jakby go ziemia sparzyła. W jednej chwili odwrócił się i runął na czołg. Stefan wyraźnie widział, że jedną stronę twarzy ma czerwoną od krwi i że ręka dziwnie mu zwisa, ale drugą, sprawną, ucapił się i jakimś cudem klęczał zaraz na metalowej maszynie. Tą zdrową ręką walił jak szalony, bił w blachę, aż w końcu zsunął się na ziemię, przekoziółkował i runął w dół po schodach, przy których wisiał wielki kolorowy szyld „Fryzjer”. Stefan nigdy nie był u tego fryzjera.

Ktoś wychylił się wreszcie z czołgu, maszyna jednak nie zwalniała, tylko kilka serii z karabinu rozgrzechotało się w stronę schodów i wtedy, nie mogąc już wytrzymać, Stefan uciekł.

– Spodnie miałem mokre w kroku i na udach... – dokończył, uśmiechając się krzywo.

Po tych słowach w mieszkaniu zaległa cisza, wszystkich ogarnął ponury jakiś bezruch, tylko Leszek wstał, do regałów podszedł i oglądać zaczął, jak gdyby nigdy nic, książki, których nie wysuwał, a tylko jeździł po nich powoli palcem.

– A ty nic, tylko te książki oglądasz – powiedziała Julianna. – Jeszcze nie widziałam, żebyś którąś przeczytał, tylko patrzysz, oglądasz, nie weźmiesz

do ręki nawet, tylko patrzysz.

Leszek odwrócił się powoli i popatrzył na nią obojętnym wzrokiem.

– A co wy wszyscy wiecie...

– Tamten człowiek – odezwał się znowu Stefan. – To, że on się rzucił na czołg, to nie była jego świadoma decyzja, on otrzymał strzał w głowę. Za to ten moment, kiedy spokojnie wygrzebywał sobie spod buta gówno, nie patrząc na stojącego nad nim żołnierza...

Znowu zrobiło się cicho i w tej ciszy Julianna, Iza, Kazimierz i Stefan wypili kolejkę na cześć tamtego człowieka. Iza, spoglądając na wysokie regały i stojące przed nimi worki z ziemniakami, uświadomiła sobie, że bardzo chciałyby poznać mężczyznę z kulą w głowie. Poczuli się tak, jakby ktoś ją właśnie obudził, jakby coś w niej pękło. Kiedy Krzysztof podniósł się w bliżej nieokreślonym celu, Stefan odezwał się nagle:

– Pewnie nie uwierzycie, ale ja chyba wiem, kto to był, ten mężczyzna. Wydaje mi się, że ja go znam... Wy też go znacie. Dałbym głowę, że to był Kazek Człapka.

I zaraz gonitwa wspomnień, scena za sceną, wszystkie rozmyte, we wszystkich on lub słowa na jego temat: Kazimierz Człapka, leń i wariat, komediant-uwodziciel, obzartuch, zboczeniec i grubas, człowiek z kulą w głowie.

Łyżka uporczywie wciska się w chłodną już torebkę po herbacie. Izabela wstaje, niemal zrywa się, kolana boją, ręce gorączkowo szukają stabilnego oparcia, ciało przeszkadza, to już nie jest jej ciało, bolesne worki z przelewającym się tłuszczem, wreszcie udaje się, idzie. Idzie do kuchni. Przystaje, opiera się, znowu jest tam. Zanim Stefan zdąży powiedzieć, jak bardzo mu ulżyło, zanim podniosą się krzyki – Człapka? Na czołg? Dobre sobie! – zanim we wściekłości Julianna wyjawi niechcący, że Romuś wcale nie przecinał kabli goliatów, przeciwnie, od pierwszego sierpnia ani na

chwilę nie opuścił mieszkania, zanim Leszek Trzeciak orzeknie, że mieszkanie Człapki było mieszkaniem bez duszy, posiadało, owszem, wiele fragmentów różnych dusz, ale duszy całej nie – duszy, jak ułamków, dodawać się nie da! dwie połówki duszy to jest żadna dusza! – zanim wreszcie krzyki umilkną, a Izabela nie wiedzieć czemu zapragnie za wszelką cenę poznać Człapkę, wspomnienie gaśnie, zostaje już tylko walka o włącznik światła. Sięgnie czy nie sięgnie, wyciąga rękę, ściana w dotyku nie przypomina ściany, wreszcie jest, pstryk! Kuchnia rozjaśnia się, szklanka po herbacie stuka o dno zlewu, Izabela siada, zmęczona. Spogląda na drewnianą półkę nad kaloryferem, ze zdziwieniem zauważa, że nawet tam, między *Kuchniami świata* a porcelanowym dzbankiem w zielone serduszka, stoi wyblakły egzemplarz *Odwrotniaka*. Podejmuje trudną decyzję i podnosi się po raz kolejny, mogłaby siedzieć dalej, a siły zaoszczędzić na później, na coś ważniejszego, na przykład wędrówkę po słuchawkę domofonu z nadzieją, że tym razem to nie będą ci od ulotek. Opiera się o wykonaną z boazerii obudowę kaloryfera, bierze do ręki książkę, okładka mogłaby wzbudzić tyle wspomnień, nie wzbudza. To jedno z pierwszych wydań, nazwisko wypisane u góry czcionką...

...lekko pochyłą, na środku rozstrzelonym pismem tytuł. Pod nim gałązka, Ignacy przesuwa po niej wzrokiem i nagle, niespodziewanie, wszystko to wydaje mu się zabawne.

Zabawne! Prawie nie zdążył.

Co było w tym zabawnego, nie miał pojęcia, bo gdyby do spóźnienia istotnie doszło, zmuszony byłby spojrzeć w ponure oblicze największej życiowej klęski, a misterna konstrukcja makiawelicznego planu runęłaby cicho i wstydliwie, grzebiąc może na zawsze jego wzniosłe i piękne, ale także wyniszczające marzenie, jednak tak jak czasem żałobnik nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego nagle zaczyna pękać ze śmiechu w trakcie



pogrzebowej ceremonii, tak i on nie rozumiał, jakim cudem przyszło mu do głowy, że niedotarcie na miejsce o czasie można by nazwać zabawnym.

Miotając się po pokoju w poszukiwaniu plecaka, gazety i aparatu, w skazanym na porażkę wysiłku usiłował jeszcze wypchnąć z głowy myśli, które zawsze w sytuacjach wymagających największego skupienia pojawiały się z dużym nasileniem. Kiedy tylko przychodziło mu zmierzyć się w życiu z czymś istotnym, głowę rozpychały absurdalne i niezwiązane z sytuacją myśli, tak samo teraz, zamiast w spokoju zastanowić się, czy aby niczego nie zapomniał, najpierw ta zabawność, a potem nagłe i niespodziewane zastanowienie nad tym, czy nie powinien sam siebie znienawidzić za ten brak kontroli nad własnymi myślami, zaraz też z myśli tej, jak matrioszka, wykluła się kolejna: jeśli znienawidzi siebie, to cała obszerna historia jego nienawiści zyska nagle mocny finał, nader efektowne zwieńczenie. Przez długi czas Ignacy żywił bowiem przekonanie, iż każdy człowiek posiada własną historię nienawiści, że ludzie wzajemnie się nie cierpią, nie okazując tego ze względu na oplatające ich społeczne pajęczyny. Swoją własną historię nienawiści opracował więc dokładnie: zaczynała się naturalnie od postaci Kotleta, a kończyła, jakżeby inaczej, na Adzie. Później, na skutek poznania kilku osób, które wydawały się wolne od tego uczucia – przede wszystkim pewnego chłopca z ubłoconą piłką i może jeszcze kilku oprócz niego – zrewidował swoje kategoryczne poglądy i uznał, że istnieją osoby nienienawidzące, wkrótce jednak ogrom liczby tych nienawidzących zaczął skłaniać go z powrotem ku pierwotnej wersji. Co jednak, jeśli znienawidzi sam siebie?

Zaczerpnąwszy kilka głębokich oddechów, przerzucił jakieś papiery, w tym *Odwrotniaka*, ze stołu na szafkę, rozejrzał się jeszcze, cisnął aparat w ciemną jamę plecaka, z wizgiem zetknął ze sobą dwa motylki błyskawicznego zamka i po chwili pędził już po schodach, wystukując

podeszwami rwane *staccato* i mrucząc jednocześnie pod nosem, jak zakłęcie, uspokajające słowo „czekolada”. Zaraz wpadł do taksówki i przez kolejnych jedenaście minut pocierał spoconymi dłońmi o sztruksowy materiał spodni, wypierając w tym samym czasie z głowy natrętnych intruzów.

Za czasów licealnych Ignacy żywił nienawiść do zaledwie jednego człowieka. Był nim nie lubiany powszechnie Kotlet, syn bogatych dentystów, który nosił wyłącznie bluzy z kapturem, a swój pseudonim zawdzięczał pulchnej twarzy. Nigdy nie dawał gryza, oszukiwał w kosza, ściągał, ale nie dawał ściągać, a co najgorsze, kiedy brał łyka pepsi od kogoś, kto lekkomyślnie nie odmówił mu go pod szkolnym sklepikiem, ostentacyjnie oblizywał szyjkę butelki.

Okres egzaminów maturalnych przyniósł ze sobą drugi obiekt nienawiści w osobie polonicy Zalewskiej, którą Ignacy traktował wcześniej z obojętnością, a która na ustnym polskim zmiażdżyła go, przekonana, że to on szarpał się dzień wcześniej z jej synem na przystanku linii osiemdziesiąt jeden; po maturze nienawidził więc już dwoje: Kotleta i panią Zalewską.

Co tydzień przed wykładami z antropologii kultury na trzecim roku studiów czwórka chłopaków urządzała grę, której zasad nie rozumiał, a która charakteryzowała się tym, że pod koniec zabawy prawie zawsze naśmiewali się z niego, i to w obecności dziewczyn. Na początku próbował tłumaczyć ich przed sobą i wbijał do własnej głowy, że to całkiem fajni koledzy, że zupełnie przypadkiem co wtorek śmieją się właśnie z niego, że to, co dostrzega w oczach Iwony, to wcale nie współczucie, tylko zwykła niechęć do tego typu zabaw, że następnym razem, już za tydzień, śmiać się będą wszyscy, w tym on sam, z kogoś zupełnie innego. Wreszcie ich znienawidził.

Rok później pierwszą pracę załatwił mu inny kolega ze studiów, choć właściwie nie był kolegą, ale znajomym; miał na imię Błażej, był najlepszy z grupy w kuciu dat na pamięć i nosił za krótkie spodnie od garnituru. Poza dyrektorem, którego nie dało się lubić, ludzie w firmie okazali się całkiem znośni, a po siedmiu miesiącach Ignacy dostał szansę pracy u swojego dotychczasowego klienta, producenta żaluzji. Został asystentem z pensją wyższą od dotychczasowej o trzysta dwadzieścia złotych brutto, ale współpracownicy okazali się zbieraniną karierowiczów gotowych na wszystko; atmosfera w firmie panowała jak w słoiku kiszonych. Zdołał wytrzymać niecały rok, zanim zrozumiał, że więcej nienawiści nie przełknie, i zdobył się na odwagę, by złożyć wypowiedzenie. Dwa miesiące bezrobocia zaowocowały zdaniem wreszcie egzaminem na prawo jazdy, rozpoczęciem kursu grafiki komputerowej i zdobyciem tytułu magistra z trzecią najlepszą średnią ocen na roku.

Z rodzicami nigdy nie potrafił się porozumieć; należeli do innego świata, poruszały ich niezrozumiałe dla niego idee, a system wartości, z którego wyrastało ich wspólne małżeńskie życie, wydawał mu się rażąco nie trafiony. Tłumaczył sobie, że to, co do nich czuje, to wcale nie nienawiść.

Świat zaczął coraz chętniej kopać go w tyłek i z początku Ignacy usiłował nawet z tym walczyć. Próbował poznawać nowych ludzi, mimo że do każdego wcześniej czy później się zniechęcał, każdego w końcu zaczynał nienawidzić. W kolejnej pracy ekipa składała się wyłącznie z osób bez życia osobistego, za to z wielkim mniemaniem o sobie, ale starał się z niektórymi zaprzyjaźnić. Mimo że dwa razy okradli go, kiedy wracał ze Starego Rynku, nie przestał wychodzić do miasta. Świat też posiada tyłek, wmawiał sobie – wystarczy go znaleźć i z całej siły kopnąć. Szukał więc, ale bezskutecznie. Wreszcie się poddał.

Usiadł na ławce przed uniwersytetem i w tej chwili mógł przyznać sam przed sobą, że oprócz jednej osoby na całym świecie, Ady, nienawidzi już chyba wszystkich.

Drzwi uczelni otworzyły się, wypuszczając na zewnątrz strużkę ludzi. Ada szła w przedostatniej grupce: ona, dwie przezroczyste dziewczyny i chłopak, który wyglądał niczym żywa reklama H&M. Ignacy poczuł, jak w brzuchu bucha płomieniami rozpalone nagle ognisko, ale wiedział, że stawka jest wysoka – „czekolada, czekolada”, powtórzył w myślach kilka razy. Położył na kolanach Świętego Graala marki Jansport i włożył rękę do środka. Usłyszał cichy świst obiektywu wysuwanego w stronę otworu w materiale. W lewej ręce trzymał, nakrywając plecak, drżącą „Wyborczą”, podczas gdy spoconym palcem wskazującym prawej gorączkowo naciskał spust migawki.

Sfruwały na niego strzępy rozmowy jak banknoty spadające z nieba.

- ...straszna, mogłaby chociaż...
- ...odreaguję, może dwa, nie wiem...
- ...do Fraglesa?
- Pewnie tak... ty?
- ... ja chyba pójdę... to w sobotę?...

Tak rozmawiając, przeszli obok niego, nieświadomi ani skrytego w plecaku cyfrowego ślepiec, ani ognia, który pożerał właśnie ciało Ignacego Korzenia.

Odczekać jeszcze piętnaście sekund, dziesięć, pięć, a potem to, o czym marzył: wróci do domu, zgra pliki na komputer i skrupulatnie zabezpieczy je na przenośnych dyskach. Zrobi sobie kawę, przesunie zasuwkę w drzwiach i przebierze się w coś wygodnego. Będzie oglądał zdjęcia.

Ignacy schował aparat do bocznej kieszeni plecaka i ostrożnie, jak złodziej z wypchanymi kieszeniami, ruszył w stronę przystanku

tramwajowego.

W tramwaju głowa wciśnięta w szybę, wzrok ślizgający się po uciekających szynach, kawałek Głogowskiej i kilkadziesiąt metrów Szczanieckiej, cztery porcje schodów.

Nareszcie u siebie. Brunona nie było.

Powiesił kurtkę, buty starannie ustawił na brązowym chodniczku, umył ręce.

Usiadł przy masywnym okrągłym stole, który zajmował prawie jedną trzecią jego pokoju, i ostrożnie wyjął z plecaka aparat.

Na blacie obok folderów reklamowych i wewnętrznych procedur firmy piętrzyły się wieżowce związanych białym sznurkiem wspomnień po studiach: metody badań kulturoznawczych, współczesne orientacje w humanistyce, kognitywne teorie religii. Kubek po kawie uśmiechał się zaschniętym łukiem pozostawionym na ceramicznej powierzchni przez wczorajsze usta. Na porysowanej obudowie laptopa popielniczka wyglądająca jak jeź.

Ignacy zdjął ją i połączył komputer z pożyczonym od Brunona aparatem. Trzy minuty później we wnętrzu laptopa wygenerowany ciąg zer i jedynek zapamiętał każdy detal uchwyconej aparatem Ady. Ignacy skopiował zdjęcia na dwa dyski zewnętrzne; jeden umieścił w szafce obok okna, drugi położył na stercie książek pod ścianą. Po stole wolno pełzł robak, jeden z tych, które całymi stadami atakowały ich znajdujące się niedaleko zsypu śmieci mieszkanie – Ignacy automatycznie zgniół go *Perspektywami refleksji kulturoznawczej* Sójki.

Podwójnym kliknięciem wyświetlił na ekranie pierwsze zdjęcie i natychmiast z uśmiechem je zamknął.

Biorąc prysznic, spoglądał na swoje szczupłe, białe ciało. Lubił przesuwać namydloną dłonią po szyi, ramionach i brzuchu, przypominając sobie, że

jest materialny, że można go dotknąć i poczuć. Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, wyobrażając sobie, że za chwilę będzie oglądał Adę.

Po kąpieli, jak zwykle, poczuł się dobrze. Włożył dresowe spodnie i bawełnianą koszulkę z rozpostartym na plecach logo FixArtu. Zaparzył mocną lavazzę. Kiedy aromat przyjemnie roznosił się po pokoju, Ignacy wyszedł na balkon. Odkładał oglądanie zdjęć tak samo jak za młodu, rzadko jadając słodczyce, zostawiał otrzymaną w prezencie czekoladę na później.

Zapałił, oparł się o barierkę i pozwolił, żeby wiatr targał go za włosy. Spoglądał na grubego davidoffa, obracając go w palcach, i czuł się śmietankowo. Biały filtr, głowa pachnąca palmolive spa, wilgotna skóra na ramionach i czekające w pokoju rarytasy: kawa oraz Ada.

Strumienie obciążonych zakupami starców, mężczyzn z poluzowanymi krawatami i stukających obcasami kobiet omijały stojący na chodniku samochód Brunona, czerwoną octavię, wabik na dziewczyny, które współlokator Ignacego zwoził do mieszkania, a potem ewidencjonował w pliku na komputerze.

W życiu Ignacego Brunon stanowił naturalne następstwo Kotleta oraz chłopaków ze studiów i wydawał się składać wyłącznie z wad, jednak to dzięki niemu Ignacy poznał Adę; no właśnie, Ada.

Pet zgasł w słoiku na parapecie, Ignacy siadł za stołem, upił pierwszy łyk kawy i poczuł się jeszcze bardziej śmietankowo. Na przystanku stęknął autobus. To był bardzo przyjemny dźwięk. Tak przyjemny jak nocny szum neonu zawieszzonego na ścianie kamienicy niedaleko okna albo deszcz bębniący o parapety w czasie burzy. Ignacy zamknął oczy i delektował się kolejnym sapnięciem ciężkiego neoplanu, pokornie transportującego ludzi asfaltowymi żyłami miasta.

Uczucie minęło, autobus odjechał. Ignacy otworzył pierwsze zdjęcie i przybliżył twarz do monitora.

Na biurku duża lampka, pod biurkiem stopy w wygodnych kapciach, na ścianach rysunki i kilkanaście olejnych obrazów bez ram, wszystkie kolorowe, wypełnione treścią, a jednak z odległości przypominające pochłapane bez sensu bohomyzy, na łóżku zmięta pościel, obok serty książek, biografie malarzy, całe serie kryminałów, opasłe tomy klasyki i wielotomowe cykle fantasy, między nimi kolejne części komiksowych nowości w twardych oprawach, przed łóżkiem duży monitor z kablem ciągnącym się ku stołowi, zawalona półka z Ikei, na niej też książki, ułożone w chybotliwe wieże, i pękata szafka przy oknie, taboret ochlapany farbami, trzy popielniczki rozstawione w strategicznych miejscach, słoik z pędzlami i mocny zapach kawy.

To wszystko...

...nie istniało. To wszystko nie istniało, pomyślała, odkładając książkę na miejsce i wyruszając w drogę powrotną do stołu, ja także nie istnieję. Podejrzenie to wprawiło ją w smutny nastrój – wiedziała, że nie ma nic gorszego, jak odpaść od świata tak bardzo, by poczuć się nieważnym, poczuć, że się nigdy nie było, zaraz więc podjęła usilną próbę przypomnienia sobie ich wszystkich – Julianny, Krzysztofa, Leszka i Stefana – nawet chłopca, jak mu było? Romuś. Jeśli oni żyli, istniała też ona.

Zanurzanie się we własnej pamięci jest jak grzebanie w starej szufladzie, w której oprócz zdjęć rodzinnych, kartek i pamiątek z zagranicznych wojaży walają się też fotografie nieznanomych, śmieci i dziwne przedmioty wrzucone tam przez kogoś złośliwego. Izabela coraz częściej z furją wywracała szufladę swojego życia do góry nogami, popadając niekiedy w drażniące przekonanie, że szuflada nie należy wcale do niej, że pomyliła

się i szpera we wspomnieniach cudzych, a nie swoich. Ci obcy ludzie, sceny, w których nie mogła brać udziału, to wszystko zniechęcało ją, ale daleka była jeszcze od rezygnacji. To przecież naprawdę nic w porównaniu z sytuacją, której obawiała się najbardziej, a która wydawała się prawie nieuchronna: że pewnego dnia jej szuflada okaże się pusta.

Tym razem szczęście uśmiechnęło się do Izabeli dość szybko. Miało kształt żetonu z Kasino Zoppot.

Ach, tak, Krzysztof. Krzysztof Załoga.

Jeszcze przed powstaniem zdradzał pierwsze oznaki uległości względem hazardowego nałogu, który w latach sześćdziesiątych przybrał rozmiary kolosalne. Większość nieruchomości wymusnęła mu się z rąk podczas długich, siwych od cygarowego dymu wieczorów, i wpadła do kieszeni dobrze lub źle skrojonych marynarek zarzuconych na ciała statecznych lub zupełnie niestatecznych panów zza zielonego stolika. Majątek topniał, Krzysztof grał coraz zacieklej – odegra się, wiedział, że się przecież odegra. Któregoś wieczoru postawił wszystko. Dwa mieszkania w Warszawie i ostatni splachetek ziemi w nadmorskim Jarosławcu – wiedział, że jeśli przegra, zostaną mu wyłącznie długi i przekonanie, że zabrakło jednej, jednej jedynej lub tylko dwóch, ale najwyżej dwóch kart, by się naprawdę, NAPRAWDĘ odegrać. Postawił wszystko. Wygrał. Z wekslem i prawem własności maleńkiego gospodarstwa rolnego w miejscowości, której nazwy nie zapamiętał, wrócił do domu i nie budząc Julianny, zaparzył kawę. Upił jeden łyk – była przepyszna. Następnie wyszedł z mieszkania i na pasku, który trzy tygodnie wcześniej kupił w sklepie odzieżowym Telimena, powiesił się w piwnicy.

A więc istniał kiedyś ktoś taki. To wszystko prawda, Krzysztof Załoga był, więc i ona była. Izabela odetchnęła z ulgą, podczas gdy ręka w szufladzie pamięci trafiła na zgiętą ukośnie fotografię. Trzeciak. Leszek



Trzeciak. W dzień po tamtej kolacji, przygnieciony ciężarem kaca, roztrzęsiony z emocji i pragnienia dokonania wreszcie CZEGOŚĆ, stanął przed drzwiami kolegi, który mógł mu w tym pomóc. Jeszcze tego samego wieczoru z torbą kamieni przewieszoną przez ramię pędził po schodach kamienicy do wskazanego mieszkania, do okien. Rzucił dokładnie cztery razy. Cztery kamienie poszybowały ku opancerzonym głowom, cztery szybkie ruchy ręką, cztery uderzenia serca przed każdym rzutem – tak przynajmniej lubił o tym później myśleć – i dużo ponad cztery godziny nieprzytomności po tym, jak zemdłał. Izabela słyszała, że niedługo potem zawarł kruchy związek małżeński, który przesypał się przez palce, zanim Leszek zdążył spędzić z żoną pierwsze święta. Ponownie ożenił się grubo po czterdziestce i grubo po wydaniu trzeciego tomu esejów; kariery nie zrobił nigdy, spłodził za to trójkę synów i umarł jako starzec. Tak, tak. Leszek Trzeciak istniał. Lawina wspomnień osunęła się i niepowstrzymana przewaliła się przez jej głowę: Julianna wyjeżdżająca z genialnym Romkiem do Birdsboro i kariera chłopaka na Wydziale Fizyki Uniwersytetu w Princeton, pijaństwo Stefana, jego wypadek na torach kolejowych i dożywotne sprzężenie z inwalidzkim wózkiem, wszystko to wróciło, wszystko było jeszcze w szufladzie pamięci.

Myśli, które powinny ją uspokoić, nie uspokoiły jej, podobnie jak nie ułatwiały jej zasypiania tabletki, które miały ułatwiać zasypianie, jak nie grzał wcale lepiej grzejnik, który po naprawie miał grzać lepiej, jak nie uszczelnił okna ten silikon, który je miał – zgodnie z obietnicą wychudzonego majstra – uszczelnić i jak nie odwiedzał jej wcale częściej wnuk, który przecież obiecał – OBIECAŁ! – ją częściej odwiedzać.

Szurając łapciami po podłodze, podeszła do czajnika. Gwizd coś jej przypominał.

Ach, tak. Podobnie gwizdał tamten masywny czajnik we Lwowie.

Izabela, wtedy jeszcze Baczko, po raz pierwszy urodziła się we Lwowie dwunastego września tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku – zodiakalna Panna, więc porządna, skrupulatna, dokładna, wybredna, samodzielna i obowiązkowa, od dziecka bardzo chuda i raczej wysoka, obdarzona przez Boga lub przypadek spiczastym nosem, ładnymi oczami, ustami mającymi pewien powab, za to rzadkim i brzydkim owłosieniem. Z czasem dostała szerokich bioder i kształtnych pośladków; piersi miała przy tym mniej niż małe. Trzypiętrowa kamienica przy Brajerowskiej 4 kojarzyła jej się przede wszystkim z gwizdem czajnika i fikusami, wznoszącymi ohydnie lśniące liście pod sam sufit, pochylającymi się nad nią, szepczącymi do niej, ocierającymi się o falującą firanę. Bała się tych fikusów.

Taty nigdy nie znała, a ten, który pojawiał się w zasłyszanych pod kuchennym stołem opowieściach, wydawał się jej tak poważny i wspaniały, że aż kamienny, zupełnie nieprawdziwy. Adolf Jerzy Warszawski prócz tego, że jej ojcem, był też Żydem, robotniczym działaczem, dziennikarzem, publicystą i posłem na Sejm; zakładał Związek Robotników Polskich, emigrował do Paryża i Moskwy, siedział w Cytadeli, w lipcu trzydziestego siódmego podczas czystek partyjnych aresztowało go NKWD i życie Warszawskiego niespodziewanie się urwało – karę śmierci wykonano natychmiast. Z kochanką, Jadwigą Baczko, widział się zaledwie kilka razy, odsunął ją od siebie aż do Lwowa, ciężarną, kłopotliwą; obsypał pieniędzmi i lekceważeniem, o córce zapomniał.

Mama Izabeli pochodziła spod Sochaczewa, ze wsi Wikcinek, wokół której na stu dwudziestu czterech hektarach rozpościerała się odziedziczona po krewkim Zoroastrze ojcowizna Baczków. Jadwisia nie umiała czytać ani pisać, a życiorys miał jeszcze ładnych parę lat na to, by przygiąć ją do ziemi i wsunąć na jej dłonie sfałdowane rękawice wiejskiej dorosłości.

Oczy Jadwisi były wielkie jak stawy, tonęła w niej połowa chłopów żyjących w Wikcinku, tonął trzydziestosiedmioletni wtedy wikary, co wieczór padający na kolana i błagający w ciszy czarny drewniany krzyż, by zabrał od niego to brzemie rozrywające mu trzewia, utonął wreszcie Warszawski, człowiek dostojny i z innego całkiem świata. Ten kamienny pan tato z matczynej opowieści, snutyh wieczorami przy mocnej herbacie.

Po otrzymaniu zapewnienia, że środków do życia przez jakiś czas jej nie zabraknie, Jadwiga Baczko niczego już od życia nie śmiała oczekiwać, a jednak spotkało ją we Lwowie to szczęście, że poznała Sabinę Woller, mówiącą po polsku żonę laryngologa, przystojnego pana Samuela, która wkrótce stała się jej wierną przyjaciółką. Podobnie jak w Jadwidze, w Sabinie także rozwijał się wtedy mały i śliski załazek człowieka – żartowały nawet, że tego samego dnia urodzą. Jak to czasem bywa, na żartach się nie skończyło i dwunastego września obydwie, z trudem chwytając powietrze, wydały na świat po ludzkiej istocie. Spomiędzy białych ud Sabiny wyłonił się Staś o wyłupiastych oczach, jeden z najtęższych polskich umysłów w historii literatury. Z łona Jadwigi wyślizgnęła się tylko Izabela.

Dwadzieścia trzy lata później, już w Warszawie, w tej samej Izabeli po raz pierwszy zakiełkowała myśl o samobójstwie, która jak chwast porastała jej głowę już do końca życia. Było to drugiego sierpnia, dokładnie tydzień przed pamiętnym wieczorem u Załogów, Warszawa padała tymczasem na kolana pod ogniem karabinów maszynowych i grzechotem wielkich czołgów SS. Tamtej środy Iza wraz z matką wyszły popatrzeć na powstańców, którzy w niemieckich strojach, ale z polskimi insygniami i koślawymi orzełkami na wymiętolonych czapkach przechodzili sąsiednią ulicą po zdobyciu Umschlagplatzu. Ludzie płakali i rzucali kwiaty.

Izabela nie płakała, rzucać niczym także nie miała zamiaru. Pożerana przez palącą zazdrość, przyglądała się chłopcom, tym uśmiechniętym i tym obojętnym, na których cześć wznoszono wiwaty i którzy z całą pewnością mieli w życiu jakiś cel – wzniosły czy głupi, nieważne. Ona nigdy żadnego celu w życiu nie miała i tamtego upalnego dnia przyszło jej na myśl, by podbiec do któregoś z tych maszerujących piękniśków, przyłożyć sobie lufę jego broni do oka i chłodnym metalowym spustem zamknąć za sobą drzwi w tym świecie pełnym kochliwych Leszków Trzeciaków, złowieszczych fikusów i ciał leżących na ulicach.

Jej mama pracowała wtedy jako kawiarka w Gospodzie Sportowców i wmawiała sobie, że wcale nie podkochuje się w swoim przełożonym. Trzykrotnie załatwiała córce płatne zajęcia, ta jednak za każdym razem kazała jej w atmosferze blamażu sprawę odwoływać. Izabela dużo wtedy czytała, głównie biblioteczne skarby przynoszone mamie przez sąsiadkę; pochłaniała wszystko, co wpadło jej w ręce, ale o największe dreszcze przyprawiały ją romansowe powieści francuskie – po lekturze większości z nich nie mogła spać w nocy. Obżarta takimi książkami spoglądała drugiego sierpnia na kroczących powstańców i jeden z nich, szczupły, z krzywo zrosniętym nosem po złamaniu, z mięsistymi wargami i wysokim czołem, przyciągnął jej wzrok na dłużej. On sam patrzył na nią bezwstydnie, uśmiechnął się, pomachał i zniknął zaraz w tłumie sobie podobnych.

Ich drogi życia przecięły się ponownie przypadkiem dwa lata później, kiedy podczas prywatek śpiewało się już *Maki na Monte Cassino* i *Rozszumiały się wierzby płaczące*, a z truchła zgwałconej Warszawy, spomiędzy cegieł, można było wygrzebać nie tylko zwłoki, ale też złote ruble, szkocką wełnę czy nawet befsztyk z połędwicy. Ona pracowała wtedy jako kelnerka w restauracji powstałej w podziemiach Hotelu

Europejskiego, a w soboty można ją było zobaczyć na dansingu Kongo; on zarabiał na cudzoziemcach, którzy napływali do Polski, by zakładać filie linii lotniczych, przeprowadzać akcje dobroczynne albo wywozić za granicę materiały dziennikarskie.

Wiele nie mówili. Po wymianie spojrzeń i uśmiechów padli sobie w ramiona i nic by w tym wielkiego nie było – w ramiona wpadano sobie wtedy przy byle okazji – gdyby nie jego dłonie na jej twarzy i jego usta przyciskające się do jej ust. Z tej ulicy, na której zetknęły się ich życiorysy, mogli iść choćby do kawiarni Kruszynka albo do literackiego Kopciuszka. Poszli tam, gdzie chodziła większość – w ruiny.

W całym czterdziestym szóstym osłonecznione ułamki ścian i kikuty żelaznych belek konstrukcyjnych świadcowały miłosnym schadzkom tak samo często jak łóżka, a zwisające z murów marynarki łopotwały na znak triumfu pożądania nad okupantem.

Zerwała z niego jedwabną koszulę z monogramem i rozłożyła na fragmencie muru przypominającym nagrobek. W podnieceniu on powtarzał coraz szybciej kłamliwe „Kocham! Kocham!”, ona mówiła mu do ucha rzeczy, których się przez następne lata wstydziła.

Palili potem jego philipy morrissy, które pokazał jej z dumą, i prosto z butelki pili jego czarnorynkowy koniak – kieliszek tego cuda kosztował równowartość tygodniowej dyrektorskiej pensji – który pokazał jej z dumą jeszcze większą.

Ona mówiła niewiele, on czuł się w obowiązku mówić bez przerwy: o cudzoziemcach, o planach na przyszłość, o rodzicach i o młodszym bracie.

– On jest wariat, trzeba mu pomagać. Jednego dnia potrafiłby wiedzą zawstydząć naukowców, a innego podchodzi na ulicy do obcej kobiety i mówi jej takie rzeczy, że ucho więdnie...

Kiwała w milczeniu głową, wyciągając z paczki kolejnego philipa morrisa.

– Kaziu, nasz drogi Kaziu... Uwierzysz, że on żyje z kulą w głowie?

I zaraz serce jak werbel, a potem bezwstydnie chciwe pytania: jak wygląda, co robi, gdzie mieszka i czy pracuje, a jeśli tak, to gdzie. Wydobyła z Mikołaja wszystko, co mogła, po czym padli ponownie na jego koszulę, ale to już nie było to samo.

Chwyciła się jego mocnych, żylastych ramion opartych o nadpaloną belkę i patrząc w niebo, na chmury i ptaki płynące po błękitach, starała się nie patrzeć mu w twarz. Z szyi Mikołaja Człapki, kołysząc się rytmicznie nad jej głową, zwisał złoty łańcuszek z krzyżykiem. Próbował podarować go jej na odchodne, ale Izabela prezentu nie przyjęła. Krzyżyk był maleńki, raczej brzydki...

...a na jednym z ramion matowy. Ignacy przejechał po nim dłonią, wsłuchując się w nocną ciszę; nie spał już od prawie półgodziny.

Stres zaciskał mu się na brzuchu, a z ciemności powoli wyłaniały się kolejne kształty: szafka przyczajona pod oknem, złowieszcze wieże z książek i stół jak gigantyczny pająk. Zastanawiał się, czy walka między chęcią pozostania w łóżku na zawsze a poczuciem obowiązku, by jednak zacząć jakoś dzień, zakończy się kiedykolwiek odmiennym niż zwykle wynikiem. Tym razem znowu zaskrzypiało łóżko, znowu boscie stopy zaklaskały o panele, znowu ręce zacisnęły się na parapecie, a oczy upewniły się, że za oknem nic się nie zmieniło. Znowu jak duch między kuchnią a pokojem, znowu bulgot wody uwięzionej w nowoczesnej obudowie, znowu nieprzyjemny dotyk spodni na udach siłą wyrwanych spod kołdry, znowu kawa, zasuwka, balkon, płomyk nad stalowym krzesiwem zapalniczki.

Latarnie wyginały się w dół, żółte kule światła ciążyły ku chodnikom, pojedyncze samochody cicho przemykały obok innych, śpiących na miejscach parkingowych, chodnikiem przebiegł kot, tuż obok wiatr kartkował darmową gazetę. Większość ludzi pogrążona była we śnie, ich ciepłe ciała wtulały się w poduszki i w inne ciepłe ciała, ich oddechy ulatywały w ciemność, a budziki cierpliwie oczekiwały poranka. Tylko sny szalały, kolorowe, szybkie i nielogiczne. Ignacy nigdy nie pamiętał własnych.

Umył zęby i osuszył pędzle szmatką. Zasnęta jak zawsze zakrętka lnianego oleju nie chciała puścić, ścisnął mocniej – puściła; opięty płótnem blejtram stuknął o blat stołu, a farby jak glisty wypełzły z tubek na drewnianą paletę. Łyk kawy.

Stanął u stóp pokracznego drzewa, wieszając na nim liście i ptaki. Kolejne gałęzie wyginał ku dołowi, wczepiając je w ziemię i obwiązując długimi paluchami trawy. Pies, słońce, klatka dla królików i opałowe drewno. Pomiedzy gałęziami karłowatego drzewa miejsce na dom, ale na razie pusta faktura białego, zagruntowanego płótna. Dom wymyślił Ada.

Po dwóch godzinach, kiedy miasto za oknem zaczynało rozjaśniać się i brzęczeć, odłożył pędzle, zdjął ze stołu obraz i obrzucił wzrokiem te, które wisiały na ścianach. Większość przedstawiała to samo: dwoje ludzi pomiędzy ściągniętymi ku ziemi gałęziami drzewa, wielki kudłaty pies, króliki i trawa. Widok z góry, z boku i z perspektywy żabiej. Niebem pływały ławice ryb i czarne kalmary, w oddali pioruny wyrastały z ziemi jak płonące krzewy, a przy brzegach obrazów, jakby zza kadru, przyglądały się temu wszystkiemu płaskie twarze bez oczu, fikusy i kolorowe kruki, obwisłe pozszywane gęby, bezzębni starcy i twarze odwrócone brodami ku górze – odwrotniaki.

Jeszcze tylko chwila na łóżku, by smakować ulgę, jeszcze ostatnie łyki zimnej kawy i zęby sklezione przez moment połową tabliczki wygrzebanej spomiędzy papierów czekolady, jeszcze papieros na balkonie i ostatnia walka, by odeprzeć pokusę powrotu pod kołdrę.

Codziennie od ósmej do szesnastej na trzecim piętrze sześciokondygnacyjnego budynku przy ulicy Bukowskiej, na biurowym krześle Perfect profil GTP, za biurkiem Ogi Office, przed monitorem Fujitsu, z rękoma na klawiaturze HP i myszce tej samej marki, z telefonem Cisco po prawej, a trzema przezroczystymi kuwetami po lewej stronie, obracał się wśród innych trybików jednej z korporacyjnych machin. Po odejściu z poprzedniej pracy, z ukończonym kulturoznawstwem i coraz gorszym mniemaniem o świecie, nie wiedział, jaką zawodową drogę obrać; zanim zdążył zdecydować, ojciec porozmawiał ze znajomym, dyrektorem biura, który obiecał zająć się Ignacym, przeprowadził z nim rozmowę i wbił do głowy dwie wzniosłe biznesowe maksymy plus jeden cytat z Piłsudskiego.

Droga do pracy zajmowała Ignacemu trzydzieści minut, niezależnie od wykorzystywanego środka lokomocji, zwykle więc spacerował. W okolicach parku Wilsona wypowiadał na głos słowo „czekolada” i starał się wymawiać je jak najdłużej, co poprawiało mu nastrój i przez kolejnych kilkanaście minut myślał o rzeczach przyjemnych. W spożywczym niedaleko pracy kupował drożdżówkę z budyniem, a jeśli nie było, z kruszonką.

Siedział przy biurku tyłem do okna, wypijał w biurze trzy kawy: o ósmej trzydzieści, o jedenastej i o piętnastej, a na parkingu przed budynkiem wypalał trzy papierosy, jednego po każdej kawie.

Codziennie czytywał w pracy efemerydy i odwiedzał stronę, na której użytkownicy opisywali swoje sny, wchodził na blog chłopca geniusza,



który mnożył w pamięci matryce i sześciocyfrowe liczby, a potem na blog męczyzny tarzającego się publicznie we wspomnieniach próby samobójczej. Przeglądał też zwykle witryny z horoskopami, wpisy na dwóch forach astronomicznych i strony poświęcone współczesnemu polskiemu malarstwu.

Około dwunastej wyczekiwał chwili, kiedy w małej kuchni nie było żadnego ze współpracowników, po czym pospiesznie zjadał w niej drożdżówkę. O szesnastej czuł się zwykle jak torba wypełniona zaschniętym cementem i przywracał się do życia myślą o ciepłej pościeli.

Tego dnia czas upływał szybciej: kiedy nie patrzył w róg monitora, minuty znikwały i przeskakiwały się nawzajem, a słońce za oknem wydawało się oszukiwać. Plany na wieczór, scenariusze, które opracowywał w ujęciach tabelarycznych, możliwe dialogi, zagadnienia, odpowiedzi, słowne natarcia i odwroty; powtarzał je w głowie, powtarzał, powtarzał, powtarzał.

Kiedy wracał do domu, chodnik sam uciekał mu spod butów, a mijani ludzie byli ciągiem połączonych kończyn i szarych głów, nie istnieli. Usiadł na ławce, w usta wetknął papierosa i patrzył na kiwające się wolno korony drzew zawieszane nad alejkami parku. Raz jeszcze uważnie przestudiował wydrukowaną mapę, na której długopisem zaznaczony był budynek przy ulicy Dożynkowej, starannie podpisany jako Dewizka.

Z realizacją planu na wieczór wiązało się spore ryzyko wygłupienia się i bezpowrotnej utraty szansy na spotkanie z Adą, ale była to jednocześnie jedyna okazja, jaka dotąd mu się przytrafiła. Brunona przecież nie poprosi.

Nie bez trudu zebrał się w sobie i ruszył w stronę domu. Szum miasta oddalił się, tylko auta przemykały obok, jedno, drugie, trzecie, i tylko cienie ludzi mijaly go z różnych stron, jeden, piąty, dziesiąty, i tylko zamazane witryny zapraszały go do kolejnych małych sklepów spożywczych, do

pierwszego, drugiego, trzeciego – do czwartego wszedł i kupił dwa lechy mocne.

Zjadł pół mlecznej czekolady, wziął prysznic i przebrał się w czystą koszulkę. Leżąc na łóżku z komiksem w dłoni, wypił dwa piwa i poczuł, że zdenerwowanie powoli zaczyna z niego uchodzić. Powtórzył w myślach plan i wyszedł z mieszkania.

Fragles mieszkał w akademiku Dewizka i szczerze dzielił się swoim życiem prywatnym na Twitterze, Facebooku, Google+ i Foursquare. Przyjaźnił się z Adą. W internecie można było zapoznać się z jego planami na najbliższe kilka dni: czwartkowy wieczór to wyjście do Muchos Patatos; piątek to próba przygotowania się do kolokwium z prawa publicznego międzynarodowego, a sobota – impreza w Dewizce.

Dzięki znajomości planu zajęć grupy szesnastej studiów dziennych na wydziale prawa (postępowanie karne, ćwiczenia, piątek, 7:30), Ignacy wiedział, że w Muchos Patatos Ady raczej nie będzie, za to z rozmowy, którą podsłuchał przed uczelnią, wnioskował, że w sobotę powinna pojawić się w akademiku.

W tramwaju nie było wolnych miejsc siedzących, a uchwyt, którego się przytrzymał, okazał się opluty. Wysiadł przy placu Wielkopolskim i ze zwieszoną głową ruszył w stronę klubu.

Po kolejnym piwie poczuł się nieco lepiej. Coraz mniej zależało mu na powodzeniu. Zamówił pięćdziesiątkę wódki i jeszcze jednego żywca w butelce.

Fragles pojawił się pół godziny później w towarzystwie dwóch chłopaków i gdyby nie kolczyk w nosie, Ignacy nie skojarzyłby go ze zdjęciem z portalu. Usiedli przy barze.

Fale ludzi przepływały w tę i z powrotem, drzwi toalety trzaskały regularnie, z głośników wylewała się muzyka latino, a ochroniarze siedzący

przy drzwiach na barowych krzesłach wyglądali jak śmiertelnie znudzone żelowe figurki.

W końcu chuda sylwetka Fraglesa ruszyła w kierunku drzwi. Ignacy upił duży łyk piwa, po czym odstawił je i śladami chłopaka udał się na zewnątrz, gdzie dwie osoby raczyły się tytoniowym dymem, a trzecia, przyklejona plecami do ściany, odsuwała właśnie zapalniczkę od czerwonego żądła papierosa; tą trzecią osobą był Fragles. Obejmując ustami biały filtr davidoffa, Ignacy przetrząsał kieszenie.

– Przepraszam, masz ognia? – zapytał po chwili.

Chłopak bez słowa wyciągnął zapalniczkę i przysunął ją w stronę twarzy Ignacego, który lewą ręką osłaniał płomyk, a prawą przytrzymywał w ustach papierosa. Starał się, żeby drżenie palców wyglądało jak najbardziej naturalnie.

Z tego, co później mówił, wynikało, że nie zapamiętał niczego. Przygotowany scenariusz zrealizował się sam, w niekontrolowany sposób, więc niby to noc spędzona na oglądaniu serialu, dalej niby konkrety, niby obojętność, faza rozmowy o niczym, potem niby powrót do wspólnego hobby, a chwilę później finał – zaproszenie na piwo.

Usiedli w czwórkę, każdy zaopatrzone w żywca i pięćdziesiątkę gorzkiej żołądkowej. Ignacy pił i słuchał opowieści o dziewczynach, zdobytych i tych, które dopiero zostaną zdobyte, o samochodach, o uczelni, o wrednych profesorach, jednym gorszym od drugiego, ale przede wszystkim o przeżytych imprezach, wypitych oceanach alkoholu i kilometrach sześciennych wciągniętego w płuca marihuanowego dymu, śmiał się z żartów i z udawaną obojętnością opowiadał przygotowane wcześniej anegdoty. Zaproszenie na imprezę do akademika padło dopiero po kilku godzinach, kiedy przy stoliku siedziały już dodatkowe cztery osoby, a Ignacy ledwie trzymał się na krześle.

Półtorej godziny później przyjemny chłód owiewał mu stopy. Wystawił na balkon taboret, nogi oparł o barierkę i jadł mleczną czekoladę, wsłuchując się w ciche brzęczenie zawieszzonego nieopodal neonu.

Czy nadal nosi włosy spięte w kucyk, czy może rozpuściła je albo w ogóle zmieniła fryzurę i skrywa teraz czoło pod grzywką? Czy zmieniła kolor? Nie przypuszczał. Miała wąskie usta i jasną karnację. Prawie się nie malowała. Delikatnie podkreślała tylko oczy.

Ciekawe, czy zmieniła się od tamtego poranka. Schudła? Przytyła?

Ada była raczej niska i miała kobiece kształty. Piersi ani duże, ani małe, szerokie biodra, na obecnie obowiązujący kanon kobiecego ciała zdecydowanie zbyt szerokie.

Zdarzały się chwile, kiedy wściekał się na siebie, że w ogóle dał się porwać takiemu uczuciu – kiedyś obiecywał sobie, że nigdy się nie zakocha. Nie mógł jednak nic poradzić, więc najpierw próbował temu ulżyć. Obserwował ją, robił zdjęcia i skrupulatnie przeczesywał społecznościowe portale i strony uczelni w poszukiwaniu informacji na jej temat. Na komputerze utworzył folder z ukrytym atrybutem i umieszczał w nim wszystko, co dotyczyło Ady. Miał w nim już sto osiemdziesiąt dwa różnego rodzaju pliki. Kiedy zrozumiał, że na ulgę liczyć nie może, najwyżej na szaleństwo, zaczął obmyślać plany.

Po zjedzeniu czekolady jak zwykle czuł się jak cukier rozpuszczany w herbacie: miał ochotę otulić się czymś ciepłym i leżeć tak, ale nie zasypiać. Przyniósł kołdrę na balkon, owinał nią nogi – nic, tylko wsadzić w usta termometr, zapalić marię mancini i czytać do rana *Czarodziejską górę*. Może więc wcale nie był chory na Adę? Może to wszystko tylko mu się wydawało? Może sam wykreował w sobie potrzebę zakochania się, potrzebę fascynacji kimkolwiek?

Co, gdyby tamtego dnia podeszła do ławki jakaś inna dziewczyna?

Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że zostały mu góra dwie godziny snu. Położył na balkonie koc, nastawił budzik i nakrył się kołdrą. Zaraz też w zatoczce zatrzymał się autobus i westchnął sennie, przerywając na moment swą całonocną podróż.

Sen trwał dosłownie chwilę.

I piątek.

Ludzie na ogół kochają piątki; wydaje im się, że kolejny zwiastuje najwspanialszy weekend w ich życiu. Ignacy piątków nienawidził.

Dni powszednie, schwytane w imadło rutyny, dawały mu poczucie bezpieczeństwa i pewność, że nic go nie zaskoczy. Poranne malowanie, praca, kawa i papierosy, drożdżówka, szybki obiad w drodze do domu, a potem już tylko książki, filmy, komiksy. Swoją przyszłość widział właśnie tak: kolejne dni jak z kserokopiarki, poranki i wieczory zlepione tak, by nie można ich było potem rozróżnić.

Piątek z reguły stanowił niewiadomą. Mogły być imprezy w mieszkaniu na górze albo, rzadziej, na dole, schadzki urządzone przez Brunona i jego prośby o podwózkę na rynek, telefony od rodziców, od czasu do czasu firmowe pikniki; zdarzyły się też dwa wyjścia z ludźmi z firmy do kina.

W pracy ledwo wysiedział, na zmianę śpiący i targany emocjami. Kiedy wreszcie dotarł do domu, zagrzebał się pod kołdrą i przespał dwie godziny. Potem wziął prysznic i poczuł się potwornie. Snuł się po mieszkaniu z kubkiem kakao, próbował czytać, oglądać i palił jednego za drugim. Brunon najwyraźniej spał.

Współlokator Ignacego miał dwadzieścia sześć lat i prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Kilka razy w tygodniu jeździł na siłownię, w szafkach pod zlewem trzymał pękate wiaderka białkowych i kreatynowych suplementów diety, a ubiór uważnie dobierał w taki sposób, aby jak najbardziej podkreślał wypracowywaną latami sylwetkę. Nosił

kilkudniowy zarost i fryzurę, którą niektórzy nazywali warszawską, z krótkimi bokami i starannie wymodelowanym nieładem. Twarz miał surową, szczękę szeroką, a na policzkach ślady po trądziku. Spomiędzy oczu zwisał wielki, garbaty nos.

Pochodził z Mosiny, nie miał rodzeństwa, jego ojciec pracował w firmie ochroniarskiej, a matka, była przedszkolanka, większość czasu spędzała w klinikach i szpitalach; rak piersi.

Ignacy nie lubił miewać teorii na temat ludzi, których znał, co oczywiście wcale nie znaczyło, by ich na temat wszystkich nie miał. Także rodziców Brunona – uważał, że cierpieli na kompleksy związane z pochodzeniem, wykształceniem i wykonywanym zawodem, usiłowali więc różnymi metodami podnosić swój społeczny status. Sposobów na to jest mnóstwo, chwyтали się więc rozmaitych; wśród nich było także pchanie syna pod górę. Studia na dobrej uczelni, modny samochód i kupione u dewelopera mieszkanie, które do odbioru miało być co prawda za ponad rok, ale o którym mówić można było znajomym już od dawna, nowoczesny telefon, dobre kosmetyki, drogie ciuchy, nowy laptop co pół roku i kieszonkowe, od którego niejednemu studentowi zakręciłoby się w głowie.

Ignacy usiadł przy stole, zwiesił głowę nad kartką papieru i po raz kolejny spisał wszystkie gesty i słowa, których zamierzał jutro użyć.

Utrwalał je, przegrupowywał i rozpościerał na kolejnych kartkach w drzewiaste algorytmy, różne dla odmiennych scenariuszy spotkania. A jeśli nie przyjdzie? Istniało takie ryzyko i należało się z nim liczyć. Ignacy był pewien, że znajdując się już na imprezie, będzie marzył o tym, aby Ada się tam nie zjawiała.

Ile jeszcze razy odtworzy w głowie dzień, w którym ją poznał?

Była wtedy niedziela, ósma rano, Ignacy czuł jeszcze na skórze ciepło po wziętym prysznicu; włączył komputer i wślizgnął się pod kołdrę,

wyposażony w bezprzewodowe słuchawki i kubek gorącej czekolady.

Zadzwoił Brunon. Że ma nadzieję, że nie obudził, że wielka prośba, że impreza, utknął, tutaj psy nie mają już czym szczekać, więc, jak już wspomniał, wielka prośba, strasznie daleko, pół dnia autobusem, kluczyki i dokumenty w przedpokoju – podjechałby?

Wsiadając do auta Brunona, Ignacy rozmyślał o własnej asertywności, nadającej się jedynie do spuszczenia w toalecie. Piętnaście minut jazdy, papieros jeden, drugi, trzeci, potem telefon, „zaraz będę!”, może jeszcze dzień się uda uratować. Słońce dźwigało się powoli nad dachy wieżowców, było ciepło, sucho i niedzielnie, nic, tylko leżeć w łóżku i wychodzić czasami na balkon. Wyciągnął się na ławce, w myślach powtarzał „czekolada”. Niech już schodzi, niech schodzi.

– Chyba pierwszy raz widzę odwrotniaka.

Otworzył oczy. Dziewczyna. Uśmiechała się, a przez jej jasne włosy przeświecało słońce.

– Proszę? – zapytał, nie podnosząc się z ławki.

Odwrócona twarz dziewczyny przechyliła się na bok.

– Odwrotniak. Jak patrzysz na czyjaś twarz do góry nogami, to w pewnym momencie widzisz ją odwróconą, nos jest powyżej oczu, na czole są usta, ale widzisz tę twarz, tyle że straszną. To ty przyjechałeś po Brunona?

Podniósł się, wstał z ławki i chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Ledwo was spuścić z oczu! – Zza dziewczyny wyłonił się Brunon z butelką pepsi w ręku. – Zaraz na ławeczkę!

Ignacy wyciągnął dłoń w stronę blondynki. Zanim się przedstawił, jej ciemnowłosa koleżanka, ostrzyżona na zapałkę i naszpikowana kolczykami, pociągnęła ją za bluzkę, wskazując nadjeżdżający samochód.

– No to my idziemy.

– Do zobaczenia – powiedział Brunon, wciskając butelkę w wyciągniętą rękę współlokatora.

Z tego, co działo się później, Ignacy pamiętał jedynie strzępy: samochód gasnący przed skrzyżowaniami, opowieść Brunona o tym, jak zaliczył kogoś na imprezie, oślepiająco jasne słońce wpadające przez przednią szybę i jeden wielki sztorm w głowie.

Wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia.

Ale trzeba będzie wstać. To dzisiaj.

Mijając bezszelestnie, piątek zamienił się w sobotę.

Ukryte w koronach drzew ptaki koncertowały od samego rana, a słońce, które wyskoczyło znad horyzontu, wydawało się większe niż zwykle. Ignacy leżał na łóżku i czuł, jak w miejscu żołądka obraca się w nim powoli kula kolczastego drutu.

Mijały kolejne godziny, wskazówka zegara zjadała pogodną sobotę, a on leżał, przywalony stresem, utrwalając w myślach opracowane scenariusze.

Wychodził z domu trzy razy, za czwartym udało mu się nie zawrócić.

Ulica Głogowska szczyrzyła się nowym lśniącym torowiskiem, a ściśnięte kamienice po obydwu jej stronach rywalizowały o miano najbrzydszej.

Ignacy palił bez przerwy, wciskając jednocześnie drugą dłoń głęboko w kieszeń dzinsów, i niecierpliwie rozglądał się dookoła: mijani ludzie byli wyraźni do przesady, ich twarze wyostrzone, a miny twarde, jakby ulepione z gipsu.

Kolejne krople potu spływały po zgarbionych plecach, wsiąkając w koszulkę i spodnie, wskazujące palce orały twardą skórę wokół paznokci kciuków, a żołądek stał w ogniu.

W ciągu dwóch kwadransów spędzonych na ławce w cytadeli Ignacy próbował wyobrazić sobie siebie w najgorszych możliwych sytuacjach –



rak jelita grubego, wydalanie przez usta, utrata wszystkich kończyn, upublicznienie treści pisanych na komputerze listów, popadnięcie w astronomicznie wielkie długi – a potem porównywać je z obecną, aby uwypuklić jej błahość. Niewiele to jednak dawało i perspektywa uczestnictwa w nadchodzącej imprezie w akademiku wydawała się najgorszą rzeczą, jaka może się człowiekowi przydarzyć.

Szedł więc dalej, włókł się przez zadbane park, na przejściach dla pieszych rozbudzał samochodowe klaksony, patrzył na swoje stopy i szedł jeszcze wolniej, mijał ludzi niewyraźnych niczym wykonane na wysłużonym biurowym kombajnie kopie samych siebie i budynki wyglądające jak tekturowe makiety scenografii filmu o zbyt niskim budżecie.

Kiedy dotarł do akademika, jego żołądek był już zwęgloną kulą.

Dlaczego jej nie odwiedzał? O tak, z pewnością broniłby się, przywołując poprzednie wizyty złożone w jej małym gdańskim mieszkaniu, odpierałby ataki, uśmiechał się wstydliwie, wyliczałby, odchodził od tematu, bagatelizował, ale mimo wszystko nie miałby w tym starciu szans. Izabela przekuwała swój wolny czas w klarowne zeszytowe statystyki: w dwa tysiące dziewiątym był u niej dwukrotnie, rok później ani razu, w jedenastym wpadł tylko na chwilę, wracając od rodziców, w tym roku jeszcze go nie widziała. W tym czasie tylko raz został u niej na dłużej niż dwie godziny (2,11), pozostałe dwie wizyty trwały krócej niż półtorej (1,26 i 0,17), za każdym razem spieszył się na pociąg, mimo że w dwóch wypadkach mógł wybrać późniejszy. Rozmawiali przez telefon, owszem, owszem, ale kto do kogo dzwonił? Spośród pięciu rozmów odbytych w dwa tysiące jedenastym cztery razy telefonowała ona! Za każdym razem kończył on, za każdym razem nie później niż po siedmiu minutach.

Jej Ignas, ten, z którym godziny trwonila kiedyś na włóczeniu się po mieście, z którym potrafiła pół dnia przesiedzieć na ławce, z którym w niedzielę kursowała między mieszkaniem a budką z włoskimi lodami, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem...

– Jaki teraz? – pytała.

– Truskawkowy. Albo pół truskawkowy i pół śmietankowy! – Odebrawszy z jej rąk chłodną zdobycz, otwierał buzię i przywierał do topniejącego loda całymi ustami, patrząc na nią, aż w końcu, kiedy nie mógł dłużej wytrzymać, wybuchał śmiechem i w zastraszającym tempie pożerał truskawkową, waniliową lub czekoladową masę.

- I co wczoraj robiłeś? Byliście na grzybach, tak?
- Nie, nie byliśmy jednak.
- Więc co robiłeś?
- Byłem na placu zabaw.
- Z mamą?
- Nie. Trochę sam, a trochę z ciocią.
- Z jaką ciocią?
- Z ciocią Basią.
- Aha. A jaka jest ta ciocia? Fajna?
- Fajna. Tata ją lubi najbardziej. Śpią razem, jak przyjeżdża do nas.
- Kto śpi razem?
- Tata z ciocią Basią. A mama z wujkiem Pawłem. Tak jak z wujkiem Jurkiem, tylko że on ma taką brzydką rudą brodę.

Czasami wahała się przez zadaniem mu pytania w obawie, czy z beztroską miną, beznamiętnym głosem znad lodu, waty cukrowej albo drożdżówki nie powie jej czegoś, co ją zwali z nóg. Wtedy marzyła tylko o tym, żeby zapewnić mu jakie takie życie, żeby przenieść to cudowne jabłko jak najdalej od jabłoni, i nie przyszłoby jej do głowy, że tak jej kiedyś będzie za to odpłacał.

Po Kazimierzu obiecała sobie, że już nigdy nie będzie w tak żarłoczny sposób zabiegała o względy żadnego mężczyzny, nawet wobec Karola, własnego męża, przez całe dwadzieścia osiem lat małżeństwa udało jej się zachować pełen życzliwości chłód. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że w wieku lat dziewięćdziesięciu jeden, z endoprotezą biodra, cętkowana mrowiem wątrobowych plam, na wpół ślepa i z zagrożoną szufladą pamięci po raz drugi w życiu zaatakowana zostanie przez wyniszczające pragnienie obcowania z jakimś mężczyzną. I jeszcze to uzasadnione podejrzenie, że w ciągu wypełnionych jej oczekiwaniem sobót i niedziel, podczas godzin

sklejonych niedbale z miliona minut każda, jej wnuk nic nie robił. Co najwyżej malował obrazy.

Czyli właściwie nie robił nic.

Uśmiechnęła się pod nosem – co powiedziała by Kazimierz, gdyby poznał tę jej myśl? Krzyczałby na cały głos: „Malowanie obrazów nazywasz nicnierobieniem?!”.

– Malowanie obrazów nazywasz nicnierobieniem!? – wrzasnął w czterdziestym siódmym spocony i lekko podpity Kazimierz Człapka.

Było to ich pierwsze spotkanie: patykowata ona i wieprzowato spasiony on, wpatrzona w niego ona i niedostrzegający jej on, uwielbiająca już wtedy ona i wściekły, szamoczący się, wykonujący gwałtowne gesty, rozjuszony, a mimo to przepełniony dziką radością, energiczny, wypełniający całe pomieszczenie on.

Przyszła do niego z Leszkiem Trzeciakiem, okupującym ostatnie miejsce na liście osób, które chciała poprosić o tę przysługę, jednak lista liczyła łącznie dwie osoby, a tą pierwszą był Stefan Rzepecki, od trzech miesięcy żarliwie romansujący z butelką.

Z korytarza, w którym królowały zapachy kotów i smażonej słoniny, wstąpili do obszernego pokoju – tu o panowanie bój toczyły wonie stęchlizny, potu i parówek w sosie pomidorowym. Szafa ścienna zavalona książkami, fotel o poręczach jak wybite zęby, kolorowe biurko i imitująca styl biedermeier komoda nieśmiało wychylały się zza zawalających cały pokój sztalug i płócien.

Największy obraz wisiał krzywo na suficie, a przedstawiał atak żołnierzy na wioskę zamieszkaną przez dwugłowe istoty. Atakowani mieli na sobie tylko spodnie i krawaty, ich ciała były białe, a zamiast głów z szyi wyrastały im kłęby kolczastego drutu. Nadjeżdżające czołgi wyrzucały z luf poszarpane, ogniste pióropusze.

Najbliżej drzwi stało oparte o ścianę płótno, na którym w filiżance kawy pływał na wznak topielec kobiety; z obrazu naprzeciw spoglądało na Izabelę stado kolorowych kruków wzbijających się w powietrze nad rozdziobanej mapy, na kolejnym karłowate drzewo wrastało w ziemię zakrzywionymi gałęziami, na jeszcze innym po błękitnym niebie pływały czarne glisty.

– Nic podobnego – odpowiedział w końcu Leszek Trzeciak, wymownie spoglądając na Izabelę. – Chodziło mi...

– To co, ja jestem w takim razie nierób? – przerwał mu olbrzym i rozejrzał się po pokoju, obrócił się raz w jedną, raz w drugą stronę, klepnął się dłonią w czoło i podszedł do szafy. Ze środka wydobył zgniecioną paczkę pall malli.

– Pan mnie nie zrozumiał. Jak już wspomniałem, przyprowadziłem Izabelę Baczko, która chciałaby obejrzeć pańskie prace. Jest zainteresowana kupnem.

Mężczyzna odwrócił się i z papierosem zwisającym z ust wbił wzrok w Izabelę, która po raz pierwszy od kiedy znalazła się w pokoju, mogła wreszcie dokładnie mu się przyjrzeć.

Człapka miał na sobie stare welwetowe spodnie kończące się stanowczo zbyt wysoko nad nagimi stopami. Masywny brzuch przelewał się przez rzemienny pasek i rozpychał żołnierską koszulę, której barwa mogłaby stanowić przedmiot czasochłonnego dochodzenia. Gdyby chcieć skomplementować twarz Człapki, można by, używając pewnej dozy przesady, rzec, iż była ona przeciętna. Tłuste, zaczesane do tyłu włosy płynnie przechodziły w wysokie zakola, czoło zaś wyglądało, jakby spłynęło w dół, tworząc coś w rodzaju cegły skrzyżowanej ze zgniłym pomidorem. Był to nos Kazimierza Człapki. Pod tym wstrząsającym organem rozpościerały się mięsiste usta, jeszcze niżej zwisała lawina

podbródków. Człapka sprawiał przy tym wrażenie, jakby wszystko w jego byczej fizjonomii nieustannie się poruszało.

– Pani chce kupić mój obraz?

– Powiedzmy, że się nad tym zastanawiam.

– A jeśli się pani zastanowi ze skutkiem pozytywnym, to co ja dostanę w zamian?

– Z reguły, jeśli się nie mylę, artyści zadowolają się pieniędzmi.

– Skąd taki wniosek?

– Bardziej niż pieniądze artyści kochają tylko samych siebie, a i to nie zawsze; zresztą, nie chce pan pieniędzy?

– Czy mogę być z panią szczery?

– A jeśli powiem „nie”?

– To i tak będę, ale jakżeby było przyjemnie być szczerym po odpowiedzi twierdzącej.

– A czy koniecznie chce pan, aby było przyjemnie? Ja tu chcę kupić...

– Dobrze już, dobrze. Wie pani co? Z wielką ochotą zaciągnąłbym panią za włosy do łóżka i tak wymęczył, żeby pani nie mogła usiąść przez następny tydzień. Chudziutka pani jest, takie chudziutkie też się możecie podobać, ja na przykład lubię. Można chwycić, zamknąć w dłoni.

Leszek poczerwieniał na twarzy, bez słowa zbliżył się do wyższego o głowę Kazimierza, z biurka wziął słoik i po chwili wahania rozbił go na jego głowie. Malarz runął wielorybim cielskiem na ziemię, Izabela krzyczała, a w krzyku tym, przepełnionym złością nie na Człapkę, ale na Trzeciaka, wylała z siebie wszystko, co zawsze o tym drugim myślała.

– Nigdy więcej mnie o nic nie proś – powiedział czerwony na twarzy Leszek i wyszedł.

– Znacząca sztuki... – powiedział z uznaniem Kazimierz. – Bitny mocno. On miał pani doradzać?

- Tak.
- I co?
- Proszę?
- No, kto teraz doradzi?
- Ja nie chcę kupić żadnego obrazu.
- To on już rzeczywiście niekoniecznie potrzebny.

Kolejne dni zlepiły się w pamięci Izabeli w jedno zalane półmrokiem wspomnienie: ona, dwudziestosześcioletnia, i trzydziestosiedmioletni Kazimierz, przez większość czasu w zapadniętym łóżku, spleceni ze sobą, gwałtowni, żarłoczni, jej palce myszkujące nieustannie w jego włosach, poszukujące wybrzuszenia, którego nie dało się wyczuć, jej usta na różowej bliźnie znaczącej czoło, jego olbrzymi brzuch, do którego, śpiąc, lgnęła jak do pieca, noce spędzane na rozmowach. Opowiadał jej o światach, które nie istnieją, i o ich zmyślonych mieszkańcach, ona atakowała te światy, a on ich bronił, potem to wspólnie malowali. Nieraz, gdy zapadła w sen, on rwał te obrazy na strzępy. Któregoś razu zamalował ją całą na białą i długimi pociągnięciami języka z powrotem odkrywał jej prawdziwy kolor, aż rozchorował się i godzinami w konwulsjach wyrzucał z siebie zawartość żołądka. Kiedy po raz pierwszy o poranku zjawił się Mikołaj z jedzeniem i starymi gazetami, Izabela ukryła się pod kołdrą, wmawiając kochankowi nieśmiałość – potem przekuli to w rytuał. Z restauracji ją wyrzucono, wychodziła już tylko w soboty do dansingu, a potem biegiem wracała do cuchnącego mieszkania, siadała z wielkoludem i prosiła: opowiedz, opowiedz. I opowiadał, krainy wyrastały przed nią, słońca zapełniały nieprawdziwe nieba, na tle obskurnych ścian pięły się góry albo falowały morza, biegali ludzie, snuły się potwory. Kazimierz mógł mówić godzinami i godzinami mówił, nigdy natomiast nie rozmawiali o swoim spotkaniu, o tym, co było między nimi i w co się mogło przerodzić. Czasami cały

dzień nie jedli nic, innym razem opychali się niemal do nieprzytomności, zawsze dzięki odwiedzinom Mikołaja. Po jego wizytach olbrzym kładł się na ziemi z naręczem starych gazet i wtapiał się w nie na całe godziny, ona siadała wtedy na nim, nuciła coś, masowała go i wsuwała mu palce we włosy. Wypukłości po kuli nigdy nie znalazła.

Po jakimś czasie zaczął wymykać się w nocy z mieszkania; wracał wieczorem, wesoły lub milczący, z kieszeniami pełnymi kasztanów lub oczyma czerwonymi od płaczu. Nie pytała, a on nie mówił, jakby te wyjścia w ogóle nie miały miejsca; wpadał do mieszkania i od razu rzucał się do przyrządzania ulubionych parówek w sosie pomidorowym albo walił się w milczeniu na łóżko, albo rzucał się na Izabelę i zdierał z niej ubranie.

Któregoś razu wyszła za nim. Kazimierz wcale nie opuścił kamienicy – ruszył schodami w górę, jego ciężkie kroki wydobywały z desek ciche stęknienia aż do czwartego piętra, potem Izabela usłyszała krótki zgrzyt, a następnie zapadła cisza. Ostrożnie weszła na ostatnie piętro i na zmianę obserwowała dwoje drzwi, aż płynące z góry powietrze owiało jej głowę. Podniosła wzrok i przez kwadratowe ślepie dachu ujrzała cętkowany gwiazdami skrawek smoliście czarnego nieba. Wspięła się po podrdzewiałych szczeblach wmurowanych w seledynową ścianę i wystawiła głowę na podmuchy wiatru niosącego zapach gołębi. Kazimierz Człapka kuczał na skraju dachu, wpatrzony w rozciągające się przed nim miasto; przerośnięty, milczący gargulec.

Podeszła do niego i siedzieli tak w milczeniu przez długi czas, aż Kazimierz wyciągnął przed siebie rękę i wskazał światło w jednym z okien przeciwległej kamienicy. Opowiedział jej o mieszkającym tam chłopcu, który w powstaniu stracił obydwie nogi i którego głowa od dwóch lat w całości zaprzątnięta była marzeniem o lataniu. Przy pomocy dziadka malec konstruował skrzydła i mechanizmy mocowane na plecach, całymi



dniami leżał w łóżku i z zamkniętymi oczami frunął wyobraźnią ponad ulicami Warszawy, aby zamęczać potem matkę i siostrę opowieściami o tym, co widział i co jeszcze zobaczy. Kiedy Kazimierz skończył, Izabela wskazała na inne okno i z ust olbrzyma popłynęła kolejna historia. Pokazywała kolejne budynki, okna i ciemne uliczki, a on natychmiast opowiadał historie mieszkających tam ludzi. Raz prosiła, by historia była wesoła, innym razem żądała tragedii, a Kazimierz opowiadał, roztaczając przed nią zmyślone, bajkowe życiorysy.

Zeszli z dachu dopiero, kiedy ozłocił się horyzont na wschodzie; wrócili do mieszkania, a olbrzym przyparł ją do ściany i dysząc ciężko, otoczył ramionami. W głowie wirowały jej strzępy usłyszanych opowieści o chłopcu wyniszczanym żądzą latania, o hodowcy kolorowych kruków, o zakochanym mężczyźnie pokrytym bliznami i o domu utworzonym wewnątrz drzewa.

Zamknęła oczy i oparła dłonie o ścianę.

Mur był chłodny...

...i jakby wibrował.

Ignacy oderwał od niego rękę; ponura w swej kanciastości bryła akademika sterczała tam, jakby nigdy nic, jakby wcale nie była miejscem, w którym tego wieczoru można było poznać Adę. Ignacy stał i patrzył, a im dłużej patrzył, tym bardziej chciał zrealizować wreszcie niszczące go marzenie, a im bardziej tego spełnienia pragnął, tym większą miał ochotę uciec.

Uporczywa myśl pełzła mu przez głowę, opędał się od niej – starając się jednocześnie nie uciec – ale ta pełzła dalej, niestrudzona, a brzmiała: „oszalałem”. Wreszcie nie wytrzymał.

Rzucił się pędem ku skrytemu w bezpiecznym półmroku ciągowi murowanych garaży i przywarłszy do obitych blachą drzwi, powtarzał po

cichu jak zakłęcie:

– Czekolada, czekoolaaada, czeeekoolaaada...

Ogarnęła go nagle pewność, jasne i niezbite przekonanie, że istotnie jest kretyńcem, i to najprawdziwszym, skończonym, a kiedy tylko to sobie uświadomił, kilkoma mechanicznymi ruchami poprawił na ramionach koszulę i w poczuciu nadciągającej klęski ruszył z powrotem.

Stanąwszy w progu Dewizki, znowu zmuszony był jednak podjąć haniebną rejteradę, pobiegł więc raz jeszcze w garaże, tym razem przyciągając ciekawy wzrok starszej pani przechadzającej się nieopodal z owczarkiem niemieckim.

Drżącymi dłońmi wsunął w usta papierosa, liznął go wydobytym z zapalniczki płomykiem i gorączkowo wessał chmurę kojącego dymu. Już troszkę lepiej, już dobrze, wmawiał sobie, aż wreszcie zdeptał niedopalonego peta i podjął próbę trzecią, wybierając jednocześnie numer Fraglesa. Błagał w myślach, by ten nie odebrał, nieokreślony adresat tych raptownych modłów zignorował je jednak i po drugim sygnale z wnętrza telefonu odezwał się zagłuszony muzyką głos.

Czteroosobowy pokój w Dewizce przecinał na dwoje wysoki i błyszczący regał wyjęty z Peerelu, zawałony stosami bindowanych podręczników, plastikowymi talerzami i zakurzonymi butelkami; jego szczyt wieńczyła misterna konstrukcja z kapsli i srebrnych pudełek po unimilach. Pod kaloryferem w pozycji między embrionalną a boczną ustaloną leżał chłopak z grzywiastą fryzurą à la wczesny Pattinson; z nosa wystawały mu pokruszone paluszki i żółte chrupki. Na rozrzuconych kocach siedziało kilkanaście osób, otaczając kręgiem zdobioną bogato maszynę fajki wodnej, której prążkowany wąż wędrował od ust do ust, a w powietrze unosił się gryzący zapach.

Cztery stojące za regałem łóżka pokrywała mozaika ubrań, laptopów, przezroczystych toreb i ludzi. Ignacy chwycił podany mu plastikowy kubeczek, w którym chwilę później zachlupotała whisky z odrobiną coli. Pił dużymi łykami, muzyka wciskała mu się w uszy.

Przysiadł z boku, po drugiej stronie regału, i z uśmiechem poprosił umięśnionego sąsiada o dolewkę, a potem pił dalej, odwzajemniał uśmiechy i bełkot, śmiał się, kiedy było trzeba, i często wychodził do ubikacji, gdzie chował w dłoniach twarz i powtarzał sobie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Palił papierosy, rozmawiał z ciągiem osób zlanych w jedną, słuchał muzyki, rechotał, używał wyrazów, których nie zwykł używać, w obawie przed blamażem spróbował też skręta.

Nachodziły go marzenia o znalezieniu się w innym miejscu, we własnym pokoju albo lepiej w opuszczonym budynku przy Kargowskiej, dokąd poszedł kiedyś z trzema kolegami ze studiów w przerwie między zajęciami i dokąd chadzał później już samotnie, kiedy chciał się odepchnąć od świata i pobyć sam ze sobą, a może i nawet nie ze sobą; stawał wtedy przed otworem okiennym, którego z jakichś względów nigdy oknem nie zdołano wypełnić, i omiatał wzrokiem rozblyszczony tysiącami świateł Poznań, tłumiąc w sobie pragnienie krzyku, którym mógłby sobie zedrzeć gardło, a potem je wypluć.

Wreszcie wstał, podszedł do drzwi i położył rękę na klamce, która w tej samej chwili ustąpiła pod naciskiem dłoni kogoś z zewnątrz. Otworzył drzwi i stanął naprzeciwko Ady.

Wszystko potem osunęło się na niego z mocą lawiny, a kolejne godziny minęły w mgnieniu oka.

Następnego ranka, leżąc, wspominał urywki z całego swojego życia, drobne mignięcia, które wydawały mu się prawdziwe. Pełen radosnego podniecenia głos upośledzonego nastolatka, który wybiegając z oszklonego

budynku w centrum miasta, życzył siedzącemu w recepcji młodemu ochroniarzowi „Jeszcze raz wesołych świąt!”, dumny z posiadania takiego znajomego i nieświadomy pobłażliwej miny, rozciągniętej między szeroką szczęką i uniesionymi brwiami tamtego. Furię w oczach wysiadającego z czarnego passata kierowcy, który po potrąceniu pijanego rowerzysty dopadł go na trawniku i kopał tak długo, aż tamten stracił przytomność. Nagłe i niesamowicie wesołe pragnienie zabawy malujące się na twarzy chłopca, któremu przysadzisty kolega zastąpił niespodziewanie drogę, wyskakując z krzaków i próbując odebrać utyłaną w błocie piłkę.

Ignacy uważał, że ten radosny i szczery wzrok chłopca był jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie w życiu widział. Kilka razy, kiedy nachodziły go refleksje na temat własnej śmierci, utwierdzał się w przekonaniu, że odklejając się ostatecznie od tego świata i zapadając w czerń, chciałby pamiętać tamtą chwilę, widok naprawdę szczęśliwego chłopca z piłką.

Było tak do poprzedniej nocy. Dwie, trzy, a może i cztery godziny po tym, jak postanowił wyjść z akademika i spotkał się w drzwiach z Adą, wszystko uległo gwałtownemu przewartościowaniu.

Teraz jednak musiał się podnieść, musiał wstać, musiał wszystko zapisać. Prosto z łóżka w bielejący ekran laptopa, spod zamkniętych powiek w pulsujący kursor, tak bardzo już naładowany, że aż wołał o to, by wyłączyć z niego słowa. Szybko zatem Pulpit, skrót do dysku D, folder Dokumenty, w nim Inne, tam Pozostałe, w środku Stare, wewnątrz wreszcie A, tam folder Listy, a w nim nowy plik o nazwie list24.doc. Dwadzieścia trzy listy zalegające w pamięci komputera, dwadzieścia trzy powody do wstydu, dwadzieścia trzy obrazy tego, co miał w środku i co było ohydne. Pisał do niej te listy od dnia, kiedy ją poznał, choć trudno było mu wmawiać sobie,

że Ada jest ich jedyną lub choćby główną adresatką; w listach do drugiego człowieka nie zdobyłyby się na aż tak odrażającą szczerość.

Zaspany, przesuwał pulsującą kreskę w prawo, w prawo i w prawo, blok czarnego tekstu spływał w dół lśniącej strony, świat poza tą stroną roztopiał się gdzieś daleko, w ciągu kilku chwil myśli zyskały przejrzystość, a palce coraz sprawniej zmierzały do celu, do leworęcznych Ctrl+S i Alt+F4.

Laptop zamykał, jak zwykle, z palącym wstydem.

Znowu łóżko.

I wspomnienie poprzedniego wieczoru. Ślizganie się pamięcią po pojedynczych słowach, składanie w głowie obrazów twarzy Ady schwytych jak na stop-klatce i przeskakiwanie od uśmiechu do uśmiechu na dłuższą metę prowadziło go tylko do coraz większych wątpliwości i rozdrażnienia, postanowił więc pozbierać obraz ubiegłego wieczoru w jedną całość.

Dłoń na kłamce.

Po drugiej stronie Ada, z nią jej dwie przezroczyte koleżanki, jakieś zamieszanie w korytarzu, pytanie, czy wychodzi, a tak, wychodzi, oczywiście że wychodzi, ale tylko na moment, na stację, po papierosy, no więc czy coś komuś kupić?

Pech chciał, że jedna z przezroczystych kupiła nie to wino, które chciała, musiała wrócić, wyszli więc razem, ona w imadle imprezowych konwenansów – co studiuje, gdzie się bawi i takie tam – on milczący, ponury. Kolorowy Orlen zabłysnął, kiedy wynurzyli się z przejścia podziemnego, płaski i niski, jakby ktoś przygniół go gigantyczną ręką do wyłożonego kostką placu.

Obładowani zapasem papierosów, napojów i alkoholu wrócili do akademika, milcząc już bez skrępowania, wbiegli po schodach, przed drzwiami Ignacy znieruchomiał.

Pomyślał, że klamka w złotym kolorze, wytarta i zwisająca miękko na wysłużonej sprężynie, może poprowadzić go ku różnym scenariuszom dalszej części wieczoru. Zaraz też w głowie wystrzeliły mu myśli, które ledwie rejestrował:

Czy naciśnięcie klamki ma jakikolwiek wpływ na to, co go czeka po drugiej stronie drzwi?

Czy niedbałe i gwałtowne chwycenie jej w spoconą dłoń nie kłóci się z perspektywą znajdującą się gdzieś za nimi Ady?

A czy dotknięcie jej z czcią i szacunkiem może prowadzić do mieszkania, w którym jej już nie ma?

Nacisnął, pchnął drzwi i przepuścił dziewczynę przodem, biegając wzrokiem po korytarzu i pokoju z przekonaniem, że jeśli jej tu nie ma, to chyba nie da rady wrócić do domu, już prędzej woli sobie coś zrobić, niż być tak szybko złamanym, ale nie, nie wolno tak, będzie, przecież ona tu będzie.

Była.

Przywdział na twarz uśmiech, błagając w myślach, by nie okazał się ten uśmiech uśmiechem głupim, otworzył piwo i ruszył przez pokój, który teraz wydał mu się całkiem niebrzydki, a twarze ludzi jakby trochę przyjemniejsze.

Siedziała przy ścianie przeciwległej do tej, o którą on opierał się poprzednio, i przysłaniając dłonią usta, śmiała się z czegoś, co obserwowała na telefonie siedzącego obok niej chłopaka, jednego z dwóch kolegów Fraglesa z wieczoru w Muchos Patatos. Sam Fragles, oparty nonszalancko o parapet, przypominał teraz Ignacemu wszystkich tych bon vivantów, o których czytał czasem w powieściach sprzed pół wieku: sylwetkę miał prostą, twarz jakby doprowadzoną już nieco do porządku, wzrok

rozbiegany i pełen radosnych iskierek, głos donośny, a śmiech jeszcze bardziej.

Ada i chłopak od telefonu spojrzeli na Ignacego, ten, nie znalazłszy żadnego rozsądniejszego wyjścia, utrzymywał mizerne pozory, że niby nie widzi, że niby spogląda gdzieś w drugi kąt pokoju i przysłuchuje się house'owej muzyce.

Usta Ady raz po raz łączyły się z plastikowym kubkiem, jej dłoń zakładała kosmyki włosów za ucho, z oczu biła jakby wesołość, a stojąca obok butelka różowego carlo rossi w trzech czwartych zawierała już powietrze. Ignacy bez skrępowania patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym gwałtownie odstawił piwo i ruszył w stronę drzwi.

Pod toaletą tłok, na ziemi kolaż z kurtek i butów, obok nagle ona, przyklejona do końca chybotliwej kolejki.

Ruszył, ścisnął klamkę, odwrócił się i jednym krokiem był przy niej.

– Przepraszam... – zaczął, wkładając ręce do kieszeni i natychmiast je wyciągając. – Mogę cię porwać na moment?

– Porwać?

– No... tak.

– No... to proszę – odparła. – Porywaj, byle nie na długo.

– Może wyjdziemy... na korytarz może? Co? Na chwilę tylko?

Milczała.

– No to chodźmy – powiedział i wyciągnął dłoń, by poprowadzić Adę za sobą, szybko jednak ją cofnął.

Stanęli naprzeciw siebie, ona z zachęcającym uśmiechem na twarzy, on z uśmiechem kretyńskim. Milczeli.

W obronnym geście uniósł wreszcie obie dłonie, czerwień wylała się spod ubrania na szyję i dalej, na policzki, ale i ona uniosła zaraz ręce i odezwała się pierwsza:

– Słuchaj, jeśli masz zamiar mnie poderwać, to naprawdę szkoda nafty.

– Nie! – wypalił. – To znaczy... Poderwać, nie! Ja nawet...

– No to...? – Uśmiechnęła się.

– No to... – powtórzył i uśmiechnął się znowu. – Nie, przepraszam, muszę iść.

– Nic nie rozumiem.

– To był ten scenariusz, który najrzadziej ćwiczyłem. Prawdę mówiąc, nigdy go nie opracowałem do końca.

– Aha...

Wzruszył ramionami.

Ona też wzruszyła.

– Więc jednak chciałeś mnie poderwać.

Kolejne wzruszenie ramion.

A potem opowiedział jej o wszystkim: spotkanie na ławce, szaleństwo, spalający go żar, wielogodzinne tkanie planu, który wreszcie doprowadził go tutaj, po to tylko, by się idiotycznie przed nią pouśmiechać.

– Nie wierzę – powiedziała. – Nie ma takich świrów.

Westchnął. Zamknął oczy.

Ona tymczasem opuściła ręce wzdłuż ciała i bez słowa zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem, raz wolniej, raz szybciej, to zatrzymywała się, to znowu ruszała nagle ku drzwiom, powstrzymując się szybko, aż w końcu, po kilku minutach ciszy, stanęła naprzeciw niego i spojrzała mu w oczy.

A potem popłynął z niej potok: że co on sobie w ogóle myśli, że teksty jak ze słabej komedii, że jej w ogóle nie zna, że jak śmie, że ona już takich spotykała, że takich miała, szczególnie jednego, który ją teraz zostawił i któremu musiała pokazywać życie kawałek po kawałeczku, a jak już



pokazała, to ją wyrzucił nawet nie jak wyżutą gumę, ale jak papierek, przez który się w ogóle do tej gumy dostał.

Krzyk, jak wybuchł, tak też implodował, znowu zapanowała cisza i słycać było tylko przepływający przez drzwi rozwodniony warszawski hip-hop o byciu bogatym.

– Słuchaj – podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu, a wyraz jej twarzy jakby zelżał – nie chcę ci sprawiać przykrości, chyba zbyt ostro zareagowałam. Po prostu daj sobie spokój.

– Nie wiem tylko, dlaczego tak się wściekasz. Ja sobie z tym później nie poradzę.

– Nie wściekam się. Chodzi, mój drogi, o to, że ja nie mam nic przeciwko takim nieśmiałym facetom jak ty, ale już nieraz miałam z takimi do czynienia i wiesz co, są jeszcze gorsi, to znaczy wy jesteście, niż ci przystojni i pewni siebie podrywacze, bo ty jesteś mną teraz zauroczony, a jak się umówimy i dam ci się przelecieć, to zauroczysz się mną już kompletnie, zaczniesz wariować, świata poza mną już nie zobaczysz i będziesz gotów wszystko dla mnie poświęcić. I w tym momencie bajki większość kobiet się zniechęca, bo życie z takim melepetą, rozumiesz, uogólniam teraz, nie mówię konkretnie o tobie, no więc życie z kimś takim to jest nuda, że aż się rzygać chce. Jak ci ktoś za bardzo nadskakuje, ustępuje, przytakuje i jeszcze, co najgorsze, służy, to najczęściej masz ochotę taką osobę udusić, masz jej ochotę ubliżyć, sprawiać przykrość. I tu się pojawia problem: „najczęściej”. Bo ja jestem – i uwierz mi, że szlag mnie przez to trafia – taka, że kiedy ktoś mi daje wyrazy szaleńczego uczucia, to ja po pewnym czasie daję mu to samo, a nawet więcej. Taki już mam feler, mój egzemplarz komuś tam – wskazała na sufit – nie wyszedł, ale wierz mi, że niczego tak nie pragnę, jak być oziębłą suką i łamać serca

jak chrust. I teraz wyobraź sobie, kochany mój... jak ty masz na imię?  
Przepraszam cię, zapomniałam.

– Ignacy.

– To wyobraź sobie, Ignacy, że ja odwzajemniam nagle twoje wielkie uczucie, a nawet zaczyna zależeć mi na tobie bardziej niż tobie na mnie. Co wtedy robisz? „Och, kocham cię nadal, nawet mocniej niż wcześniej!”. Jakby z takich zdań się dało lepić, to już bym z nich miała pałac. Zaczynasz odsuwać się, jesteś coraz chłodniejszy, a to ciepło, które tracisz, nie znika sobie ot tak, ja je absorbuje i zaczynam szaleć tak jak ty szalałeś na początku. W końcu przypadkiem spotykasz dziewczynę, która jest ode mnie może nawet i brzydsza, i głupsza, ale nie jest mną, NIE JEST MNĄ, rozumiesz? I wszystko się kończy, bo ty masz mnie już dość i to jest schemat, którego nie da się obejść, dlatego proszę cię, nie dziw mi się, że tak zareagowałam, ale szlag mnie trafia, kiedy uderzają do mnie mężczyźni twojego pokroju. Parę miesięcy temu rozstałam się z chłopakiem, o! żebyś ty widział, jak on mnie chciał na rękach nosić na samym początku, kujon, który nagą kobietę widział przede mną tylko w telewizji.

Westchnęła głośno i poklepała go po ramieniu.

– Dobra, słuchaj, przepraszam, wyżyłam się na tobie.

– Nie szkodzi.

– No właśnie. „Nie szkodzi”. Taki sam jesteś. Taki sam.

Ignacy pokiwał głową i ruszył w stronę schodów, ona za nim.

– Taki sam, nawet tak samo się poddajesz. Masz papierosa?

Przytaknął.

– Poczęstujesz?

Poczęstował. Siedzieli na schodach, w milczeniu, nad ich głowami blado świeciły rzadkie gwiazdy.

– Jakbyś miał mi dać jakiś powód, dla którego miałabym chcieć umówić się właśnie z tobą, to co byś mi powiedział?

– Wszystko już zapomniałem.

– Aha...

Patrzył, jak żar zjada bibułę ciasno otulającą tytoń, dookoła noc wkradała się tam, gdzie gasły ostatnie światła, a dym skręcał się przed jego twarzą w szarą podobiznę replikacyjnych widełek DNA.

– Mógłbym ci na przykład coś namalować. Albo opowiedzieć.

I zaraz wstyd, płomień na twarzy, nic, tylko zapaść się pod ziemię.

– Oglądałam ostatnio film, w którym trójka obcych sobie ludzi prowadziła grę polegającą na tym, że każdy odgadywał przeszłość dwóch pozostałych – powiedziała, przeczesując obiema dłońmi wylewające się z kitki włosy, po czym wskazała palcem okno w budynku naprzeciw. – Opowiedz mi na przykład, kto tam mieszka, o, tam. Chcę, żeby to była romantyczna historia.

– Mieszka tam kobieta... – zaczął, wyjmując z paczki kolejnego papierosa i częstując Adę. – Mieszka tam kobieta, ma trzydzieści siedem lat, a na imię Edyta, jest trochę zawiedziona swoim życiem, chociaż bardzo dobrze zarabia jako adwokat. Kocha się w koledze z pracy, żonatym Jacku, który przyjaźni się z nią, ale wydaje się nie odwzajemniać niszczycielskiego uczucia, które płonie w Edycie. Czasami umawiają się na kawę, wtedy ona wytacza artylerię uśmiechów i sztuczek, którymi stara się obrócić tę przyjaźń w coś więcej, bo nie obchodzi jej już żona Jacka ani ich mała córka, kiedyś bardzo ją obchodziły, ale teraz nic już nie ma znaczenia oprócz pożerającego ją od środka uczucia.

Ada przerwała mu uniesioną dłonią i wskazała szczupłą, obładowaną torbami sylwetkę zmierzającą różnym krokiem ku otoczonej betonowym murkiem baterii śmietników.

– Niech on też będzie w tej opowieści.

– To Filip. Kilka lat wcześniej Edyta zerwała z nim, chociaż byli ze sobą związani przez sześć lat, a on oświadczył się jej pewnego wieczoru po kolacji, którą dla niej przygotował. Ona bała się, że w końcu taki wieczór i taka kolacja nadejdą, bo już dawno wypaliło się w niej to, co ją kiedyś do niego przyciągało. Odmówiła, wykręciła się, ale od tego czasu zaczęło się psuć, wreszcie postanowiła zerwać z nim i tak też zrobiła. Filip próbował racjonalizować jej decyzję i doszedł do wniosku, że był dla Edyty niewystarczająco interesującym mężczyzną – ona prawnik, on pracownik fizyczny, ona miłośniczka Seferisa i Pucciniego, on fan programów puszcanych na TVN. Zapisał się więc na studia zaoczne, kupił kilka książek z internetowej listy stu najważniejszych powieści i ściągnął dużo muzyki klasycznej. Walczył krótko, a potem zajrzał do kieliszka i wzroku już nie odwrócił; z pracy go wylali, a że nie miał już rodziców, wkrótce został bez nikogo i bez niczego. Którejś nocy, kiedy spał pijany w opuszczonym budynku, ktoś pokrył jego ciało siatką wulgarnych tatuaży. Na drugi dzień postanowił, że odłoży pieniądze na garnitur, buty, koszulę i jedwabny krawat. Po jakimś czasie poznał swojego imiennika, pokrzywionego i poznaczonego bliznami kloszarda, który był chudy jak szczaw i prawie nie jadał. Jego ciało także pokrywały tatuaże, całe mnóstwo, wszędzie też widniały ślady po oparzeniach, grube jak palec sznyty, gdzieś tam bielily się też blizny po otwartych złamaniach. Filip ma już ponad tysiąc siedemset złotych i jutro wyjdzie od fryzjera ostrzyżony i ogolony, potem popędzi do galerii handlowej, gdzie dokona upragnionego zakupu. W stalowym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie poczeka kilka godzin przed budynkiem sądu, aż zobaczy ją wychodzącą z Jackiem. Widząc, jak dziewczyna obdarza tamtego uśmiechem, który on sam tak dobrze zna, poczuje, że coś w nim pęka.

Odrzuci pojedynczą różyczkę, ścisną w spoczonej dłoni, z szyi zerwie krawat i pobiegnie przed siebie, byle dalej od ludzi, aż zaszyje się w krzakach w parku, odnajdzie kamień, rękę położy na ławce, a drugą, tę z kamieniem, uniesie nad głowę.

– I co?

– I spuści go na dół, tyle razy, ile będzie trzeba, by tę rękę złamać. Robi to od lat, za każdym razem, kiedy uzbiera, wyżebrze i nakradnie na garnitur i buty, rusza przed budynek sądu albo tu, przed jej blok, i zawsze kończy się tak samo.

– Czyli że ten drugi Filip to on?

Skinął głową i podał jej papierosa.

– Ładne to było, ale trochę ckliwe, nie uważasz?

Ignacy wzruszył ramionami.

Ada pochyliła się i podniosła coś z chodnika.

– To teraz opowiedz historię tego czegoś. Ale niech to będzie smutne, a zarazem wesołe. Niech będzie o kimś starym i młodym, o kobiecie i mężczyźnie. Niech opowiada o czymś niesamowitym, ale nie do końca. Niech tam będą narodziny i niech tam będzie śmierć. Tylko nie za długo. Niech to się dzieje piętro niżej, w mieszkaniu pod tym, w którym żyje ta, jak jej tam...

– Edyta.

– Edyta. Boże, ale się spiłam.

Ignacy spojrział na brązowy okruch leżący na wyciągniętej dłoni.

– To jest strużyna. Taka, wiesz, co powstaje przy ostrzeniu ołówka. Za tamtym oknem siedzi przy stole starsza kobieta, Eugenia, spogląda na gruby album ze zdjęciami, zsuwając nerwowo brązowy kapeć z lewej stopy i rozmyślając o synu, który kilka minut wcześniej wyskoczył przez okno. Rozpuszczalna kawa paruje z kubka postawionego starannie na środku

korkowej podstawki. Kobieta przełyka teraz, właśnie w tej chwili, odrobinę kofeinowego ciepła i przenosi wzrok za okno. Bibułkowo cienkie kartki szeleszczą, kiedy unosi okładkę dłonią, w której trzyma kilka zdjęć i ołówek, ten, z którego pochodzi nasza strużyna. Pierwsza strona albumu, zdjęcie w prawym górnym rogu, ukosem biegnie przez nie ślad złamania, pod złamaniem akurat rączka ośmiomiesięcznego Łukasza i brodata twarz wujka. Wspomnienie jak ochlapane mlekiem. Eugenia wyławia z niego szczegóły, grzebiąc w pamięci i wdychając ciepły zapach kawy. Kiedy się urodził, nie przypuszczała, że stanie się kiedyś tak kruchy, a ona będzie musiała przyjąć rolę klosza. Uśmiechał się zawsze na pół gwizdka. Jego śmiech był ułamkiem śmiechu innych dzieci. Kiedy wujek trzymał go na kolanach i fryzował się starannie przed czekającym go zdjęciem, Łukasz skorzystał z chwili nieuwagi i odepchnął się od jego kolan, pędząc nagle ku podłodze. Tego dźwięku nie zapomniła przez długi czas, głuche łupnięcie, głowa jej Łukasza o drewno. Widziała wtedy oczy małego, kiedy tak spadał, dostrzegła w nich fascynację i dziecięcą radość. Eugenia przewraca kartkę i trafia na zdjęcie, na którym Łukasz z dumnie wypiętą pierśią pozuje przed tatą. Właśnie wychodzi na przebierany bal w szkole. Ma obcisłe spodnie uszyte przez ciocię, ciasny sweter i tekturowe skrzydła przytwierdzone do pleców. W połowie albumu trafia na zdjęcie z wigilii, Łukasz z ręką w gipsie, bo tydzień wcześniej na wsi spadł z dachu. Podobno gonił kota. Kilka kartek przed tymi, które nadal pozostawały puste, kobieta zatrzymuje się na dłużej, patrząc na fotografię całej rodziny w Ciechocinku. Aparat trzymał przypadkowy turysta, męczył się prawie minutę, ona tłumaczyła z uśmiechem, tu pan odsuwa, tu przytrzymać, teraz, o, żeby palcem tylko nie zasłonił. W tym czasie Łukasz zniknął, zdjęcie niekompletne, dopiero po wywołaniu okazało się, że wszyscy na nim byli. On wysoko na drewnianym balu tężni, dziesięć metrów nad chodnikiem,

spogląda nie w obiektyw, ale w odległą ziemię. Kobieta każde zdjęcie podpisuje ołówkiem, który ostrzy kuchennym nożem, strużyny wyrzuca do śmietnika. Dzisiaj nie zdążyła, zostały na stole, Łukasz obracał największą z nich w dłoniach, to właśnie ta, którą podniosłaś z ziemi. Stał tak jeszcze w butach, kiedy powiedziała mu, że ojciec przeszedł do finału „Jeden z dziesięciu”, że może nawet zarobi na tym wygłupie jakieś pieniądze. Marzenia się spełniają, powiedziała, a on w milczeniu, jak stał, otworzył okno, wskoczył na parapet i już go nie było. Pod oknami chodnik, z zewnątrz Eugenia usłyszy zaraz jakieś podniesione głosy, ale to niczego nie przesądzi, wręcz przeciwnie, poczeka więc i nie podejdzie do okna, uniesie kubek z kawą, smaku wcale nie poczuje, przewróci strony dalej i poczeka. Dotrze do ostatniej i ogarnie ją przerażenie, bo o pustych kartkach nic nie wie. Co je zapełni? Jakie zdjęcia? Zamknie szybko album, włączy telewizor, złoży przed sobą dłonie na stole i w tej chwili usłyszy krótki, podwójny dźwięk domofonu.

– No, niech ci będzie. Miałeś to wykute na pamięć?

– Nie, przecież...

– Dobra, dobra. Słuchaj, ja już lecę.

Wstał za nią, ale uniosła tylko dłoń i zamknęła oczy.

– Nic nie mów. – Położyła palec na ustach. – Jak chcesz jutro pamiętać ten wieczór tak, jak pewnie chcesz go pamiętać, to teraz już daj sobie spokój, bo nie będzie czego wspominać.

Nie odwracając się, pomachała mu po przejściu kilkunastu kroków, po czym zniknęła za garażami.

Wrócił do domu pieszo.

Nie myślał...

...o niczym. Wydawało się, że nie myślał o niczym, nie zastanawiał się, tylko mówił, opowiadał, jakby wszystkie te słowa i zdania znał na pamięć.

Wylewało się z niego. Izabela wymyślała już wszystko, zadawała mu najtrudniejsze zadania, niech będzie stu bohaterów, niech giną, niech zmartwychwstają, niech będzie o tym, ale zarazem nie o tym, niech to, niech tamto – największe kłody rzucała mu pod nogi, a on bez zastanowienia zaczynał opowiadać.

Z czasem zrozumiała, że wszystkie te historie, te życia, miłości, zdrady i wędrówki, te światy zielone oblane słońcem, skryte pod ziemią i te najbardziej absurdalne, nieistniejące, że to wszystko się marnuje, znika, rozplywa się w zapomnieniu. Kazimierz nie potrafił wrócić do raz opowiedzianej historii, nie umiał powtórzyć losów ludzi, o których mówił ledwie przed godziną. Światy, które gwałtownie i impulsywnie tworzył, tak samo szybko obracał wniwecz.

Zaczęła je zapisywać. On nie miał nic przeciwko temu, śmiał się tylko, przeglądając książki, których marginesy gęsto zapełniała drobnym pismem.

– Chciałabyś, żebym uwierzył, że to ja opowiedziałem? – pytał ją czasami.

Mikołaj przychodził we wtorki i w soboty, za każdym razem chowała się przed nim i wstyd pożerał ją wtedy od góry do dołu. Jedli wciąż to samo, ona wychodziła tylko w soboty do Konga, razem nie wychodzili wcale, czasami tylko na dach lub przed kamienicę, fałszować ludzkie życia i ganiać wychudłe koty. Zapytała kiedyś, czy mu się podoba, ale nie odpowiedział, śmiał się tylko długo i głośno, a ona stała tak przed nim i udawała, że i ją to śmieszy. Innym razem, kiedy leżeli nadzy, spleceni ciasno pod wilgotną kołdrą, przejechała po jego bliźnie palcem, a potem językiem.

– To tam jest, prawda? – zapytała.

– Kula?

– Tak.



Skinął głową.

– Jesteś dumny, że to wtedy zrobiłeś?

– Jestem.

– A nie myślałeś o tym, żeby wtedy walczyć? No wiesz, za ojczyznę i tak dalej.

– Nie. Ojczyzna to jakieś brednie.

– To mało patriotyczne wyznanie.

– Nie jestem patriotą.

– Pytałam poważnie.

– Odpowiadałem poważnie.

– To dlaczego jesteś dumny?

– Bo nie każdy ruszył na czołg i przeżył, to dość oryginalne. Kiedyś w dwadzieścia minut zjadłem trzy kilo gotowanych ziemniaków. To dopiero było oryginalne! Ale żeby w to mieszać patriotyzm?

– Bo tak cię właśnie wszyscy przedstawiają w tych opowieściach o twoim heroicznym wyczynie. Rzucił się sam jeden, z gołymi rękoma, na niemiecki czołg. Przecież Kazimierz Człapka był wzorem dla wielu, którzy się potem w samobójczych pędach rzucali na wroga! A ty nawet nie jesteś patriotą?

– Skądże. Jak w trzydziestym siódmym graliśmy w piłkę z Jugosławią czy rok później z Brazylią, to ja się nie mogłem nadziwić, że tu wszystkich aż roznosiło z nadziei na wygraną Polski. Ja nie rozumiem. Tylko dlatego, że się tutaj przypadkiem urodzili? Przecież w tej Brazylii mogą mieszkać dużo przyjemniejsi ludzie niż u nas.

– Sport to jest coś innego. Ale tradycja?

– Tradycja to jest coś takiego, że jak człowiek się gdzieś urodził, to uważa, że to konkretne miejsce powinien czcić. A czy on sobie sam wybrał to, że się tam urodził? Żeby jeszcze to była jego świadoma decyzja: ze

wszystkich ziem najbardziej mi się podoba ta ziemia, zamieszkać na niej i uważać ją będę za świętą. Ale nie, każdy broni tego miejsca, gdzie go rzucił ślepy los. To tak, jakby się rudzi od zawsze bili z blondynami tylko z powodu barwy włosów.

– Spłycasz. To nie o to chodzi, gdzie się urodziłeś, ale z czym się czujesz związany. Z jakim krajem, z jakimi wartościami, z jaką kulturą.

– I chcesz mi powiedzieć, że u nas nikt się akurat wielką Rosją nie zafascynował ani Chinami, ani Ameryką, tylko wszyscy Polską, tak zupełnie przypadkowo, wszyscy co do jednego. Tu im się ze wszystkich miejsc na świecie najbardziej podoba. A z setek kultur to właśnie naszą uznali za najbardziej szlachetną. Wszyscy!

– Mnie nie o to...

– Nie ich zasługa ani nie ich wina – przerwał jej. – To jest problem taki sam jak ci rudzi kontra blondyni.

– Tak samo można zanegować przywiązanie do rodziny. Że bez sensu, bo sobie jej składu nie wybieraliśmy. Jakby ci ktoś atakował rodzinę, broniłbyś. Dlaczego?

– To nie to samo.

– Ha!

– Ja mogę powiedzieć, że taka czy inna kobieta jest od mojej matki ładniejsza, że ktoś miał lepsze dzieciństwo, że czyjś ojciec jest bardziej niż mój utalentowany. Ale żeby ktoś tak powiedział o ojczyźnie? Że gorsza od Niemców? Że głupsza od Francji? A w życiu!

– Bzdura za bzdurą. Powinieneś się nazywać Kazimierz Bzdura. Przecież narzekamy bez przerwy! To o czym ty opowiadasz?

– Ja nie narzekam!

– Ale nie mówimy o tobie! Mówimy o tak zwanym ogóle.

– Ja w tym ogóle też jestem.

- Chryste...
- Nie cierpię takich rozmów.
- Możemy nic nie mówić.
- Nie chcę nic nie mówić!
- To czego chcesz?
- Mówmy.
- Dopiero mówiliśmy. Chcesz jeszcze?
- Mówmy, ale nie o tych pierdołach, od których już mi gniją uszy.

Izabela oparła się o ścianę, otoczyła ramionami nogi i złożyła brodę na kolanach.

– No to rozmawiajmy – zaproponowała. – O czym?

– Powiesz mi coś, czego mi najbardziej nie chcesz powiedzieć. Ja też ci powiem.

Milczeli, on patrzył na nią, szukając w jej ruchach podpowiedzi, czy zgodzi się dla świętego spokoju, czy zgodzi się naprawdę. Przygryzła wargę, podniosła wzrok.

- Ty pierwszy.
- Nie wierzysz mi?
- Wierzę.
- Więc ty pierwsza.

Pokiwała głową, popatrzyła mu w oczy i powiedziała, że zna Mikołaja. Powiedziała o ruinach, o koniaku i papierosach, o płomieniu, który zgasł, zanim zdążył zapłonąć, o jego żarliwych wyznaniach miłosnych i krzyżyku, który chciał jej dać, ale którego nie wzięła, i o tym, że to od niego wyciągnęła ten adres.

Słuchał jej z beznamiętną miną, z rękoma założonymi na plecach, z unoszącą się powoli i równie powoli opadającą pierśią, ze wzrokiem

utkwionym to w niej, to w jakimś punkcie za oknem, a kiedy skończyła, od razu zaczął mówić.

Był kiedyś na piaszczystych połaciach ziemi w pobliżu Siedlec, godzinami brnął tam przez trudny teren, pełzał i czołgał się, leżał na plecach, śmiał się, śpiewał i patrzył w niebo. Zakochał się w tym krajobrazie pustki, gdzie nic nie odrywało go od siebie i własnych myśli, gdzie nie atakowały kolory i kształty, gdzie nie było ludzi, tylko on, on sam, on. Pochłaniał później książki podróżnicze, szukając w nich wzmianek o pustyniach wgrzyzionych w zielono-niebieską kulę świata, i marzył, aby kiedyś odwiedzić którąś z nich, stanąć na wypalonym niczym i pogrozić pięścią całemu gęstemu światu, zaśmiać mu się w twarz. Przez kilka lat odbył w głowie niezliczoną ilość wypraw do azjatyckich Lut i Gobi, Thar i Kyzyl-kum, wędrował w myślach po afrykańskiej Saharze i Kalahari, grzązł w piaskach Mojave, Sonory i Atacamy. Miał już trochę pieniędzy, głównie skradzionych, które zbierał na wyprawę do Azji; w wyświechtanym atlasie o tłustych, pachnących smalcem stronach rysował krótkie odcinki tras, na które mógłby już sobie pozwolić. Raz sprzedał się dwóm byłym powstańcom i zarobił grosze, nawet nie połowę z tego, co mu obiecali, ale zapał w nim nie zgasł, wciąż gotów był zrobić wiele, prawie wszystko, żeby wykupić się stąd, żeby z banknotów wybudować sobie drogę do piaszczystego, cichego i spalonego morza. Powiedział jej, że w ciągu pierwszych dni, które spędzili razem, zastanawiał się, ile kilometrów mógłby dorysować w wyniku tej znajomości, ile pieniędzy mógłby jej ukraść i przeznaczyć na podróż.

Milczeli później, ona w łóżku, on przy oknie; miasto na zewnątrz spało, z mieszkania na górze dobiegało rytmiczne skrzypienie sprężyn, wreszcie Kazimierz zapalił światło, wyjął pędzle i stanął przed płótnem.

Malował dzbanek pełen kobiecych nóg. Różnokolorowe pantofelki odcinały się ostro od szarego, popękanego tynku w tle.

– Nie rozumiem – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Skoro te pustynie to dla ciebie taka ważna rzecz, nie rozumiem, dlaczego nigdy ich nie malujesz.

– Malowałem. Dziesiątki, jeśli nie setki razy. Wszystko to były bardzo nieudane rzeczy, większość darłem albo zamalowywałem po kilku pierwszych maźnięciach.

Kiwała głową, przyglądając się niedbałym ruchom wielkiej dłoni: prosta w kolanie noga w czerwonym bucie, nie, zamalował, jeszcze raz, szybciej, zamalował znowu, za trzecim razem wyszła najgorzej, zostawił taką.

– Niektórzy wielcy malarze nie potrafili na przykład namalować konia – powiedziała. – Albo szkła.

– Ależ ja potrafię. Konia, szkło, pustynię. Chodzi o to, że chcesz pokazać bezkres czystej, wypalanej ziemi, rozgrzane powietrze, za którym wszystko płynie, i niebo naprężone nisko nad ziemią, tak płaskie i błękitne, jakby miało pęknąć, a wychodzi ci zwyczajna pustynia.

– Chciałeś mnie okraść?

Potwierdził ruchem głowy.

– A teraz?

– Maluję.

– Czy myślisz, że teraz też byłbyś zdolny mnie okraść? Dla swojej pustyni?

Jeszcze jedno skinienie.

Ubrała się, kilka rozrzuconych ciuchów zwinęła w kłębek, książki z notatkami wcisnęła pod pachę, obrzuciła wzrokiem wazon pełen nóg i wyszła.

Kazimierz Człapka malował jeszcze przez dwie godziny.

Na zewnątrz...

...szczekał pies.

Sączące się przez lukę między zasłonami południowe słońce wykrawało ze ściany blady prostokąt, który zdawał się mieć jeśli nie magiczne, to przynajmniej hipnotyczne właściwości. Ignacy nie odrywał od niego wzroku, przewijając w głowie kolejne sceny z poprzedniej nocy.

Przez zamknięte drzwi docierały dźwięki słuchanego przez Brunona jazzu, przez okno wsączał się uliczny szum, a gdzieś z góry docierał wizg odkurzacza. A więc wszystko dzieje się nadal, pomyślał i zauważył, że trzęsą mu się dłonie. Po co więc szaleńczo starać się o Adę, wychodzić z siebie, przekraczać siebie, stawać się innym sobą, nie sobą, po co, skoro wszystko będzie toczyć się dalej, jakby nigdy nic się nie stało, niezależnie od tego, czy Ada pokocha, czy uzna za żalostnego wariata? Po co malować obrazy, zostawać artystą wielkim jak ten z marzeń, zdobywać uznanie krytyki, sprzedawać płótna po kilkadziesiąt tysięcy za sztukę, wyjeżdżać na stypendia, po co odbierać od kuriera twarookładkowe egzemplarze albumów własnych prac czy wielostronicowe efekty wysiłków biografów? Po co odchudzać się, rzucać palenie, po co starać się o lepszą pracę, chodzić do fryzjera i wymieniać garderobę? Mijani na ulicy ludzie niczego nie zauważą, Ignacy-zdobywca-nagród-bogacz-zwycięzca-konkursów-posiadacz-willi-mąż-Ady-ojciec-Jej-dzieci niczym nie będzie się dla nich różnił od Ignacego-samotnika-melepety-ćwoka, zobaczą tylko tego, którego sam im pokaże; Ignacy-samotnik ubrany w drogi garnitur i ze lśniącym roleksem na nadgarstku będzie zwycięzcą, zdobywcą prestiżowych nagród – sunący chodnikiem w zamyśleniu i w dresie okaże się przegranym.

Oddychał coraz szybciej, zastanawiając się, czy cokolwiek w wyglądzie jego twarzy, w spojrzeniu, w postawie, może sugerować, że przeżył w nocy

to, co przeżył, że nie czytał po raz tysięczny do trzeciej w nocy, że nie malował, nie oglądał wygrzebanych w sieci starych filmów, ale postępował odważnie, szaleńczo, spontanicznie, że był na imprezie, na którą dostał się podstępem, rozmawiał z Adą, rozmawiał z nią długo, nie o pogodzie, ale o zmyślonych życiorysach. Nikt nie zauważy. Będzie tym samym Ignacym, co wczoraj.

Wyskoczył z łóżka i otworzył komputer, gorączkowo przetrząsając papiery na stole w poszukiwaniu papierosów, kiedy muzyka nabrała mocy: to Brunon, zza uchylonych drzwi, i pytanie o kino – jakie kino, pyta nieobecny wzrokiem – no kino, chyba się przejdę, masz ochotę? Mam, o dziwo, mam, daj mi piętnaście minut, zaraz będę gotowy, dobra, okno otwórz, ledwo oddychać idzie.

Trzask, drzwi już zamknięte, papieros w ustach, ekran komputera jaśnieje, na nim hipnotyzujące błyski czarnej kreski, palce na klawiaturze.

list25.doc

*Ado – po pierwszym słowie wstaje, płynie pod okno, łapcie podnoszą szorstkie włosy dywanu, zapala papierosa, ale zaraz gasi go i podbiega do stołu, pisze dalej: tak bardzo się wstydzę pisać, więc piszę szybko, a potem próbuję zapomnieć. Nie napiszę znów o tym, że mam rodziców hedonistów i bolesne wrzody żołądka, że lato w tym roku przegryza się przez świat zbyt wolno, jakby nic już po nim nie miało nastąpić, że znajomych odrzuciłem już wszystkich, niektórych sprawiedliwie, a innych bezmyślnie, ani o tym, że w nocy spać coraz częściej nie mogę, wyciągany ze snu chrzęstem obracanych w głowie nieznośnych myśli, nie napiszę. Wszystko to wiesz, wszystko to wiesz już dwadzieścia cztery razy, a takiego wstydu jak ten, dwudziesty piąty, chyba jeszcze nie było.*

Wstał i do kuchni, kawa, brązowy pył do kubka i zaklinanie pulsującej czerwonej lampki czajnika, już, już, no dalej, nareszcie, wraca, zasuwka

w lewo, kawa na stół, kolejne zdanie, chociaż jedno.

*Dziś będzie chyba krótko, zaraz wychodzę z Brunonem, ale w takim stanie wyjść nie mogę, pęknę gdzieś między ludźmi w kolejce albo wessie mnie ciemność kinowej sali, serce mi zgnije do reszty, nie mogę. Chodzi o to...*

Zamyka oczy i wymiata z głowy to wszystko, co zaczęło nagle uwierać: że znajomy z pracy zmusił dziewczynę do ślubu, kiedy zaszła w ciążę, że ją teraz zdradza, zdarza mu się uderzyć, córka go nie obchodzi, ją też już raz uderzył, że on sam, Ignacy, może kiedyś ożeni się również, ale z własnej woli podzieli życie z kimś innym, że z uczucia ulepi córkę i co wieczór będzie jej wraz z żoną pokazywał świat, który oni zdążyli już poznać, a potem ktoś zobaczy ich wszystkich, dwie rodziny, z daleka czy z bliska, i ich nie rozróżni.

*Spać przez to nie mogę – pisze, uderzając rytmicznie w klawisze – patrzeć na ludzi trudno, kto jest kto, który to Ignacy, a który to tamten, jak rozróżniać, jeśli w ogóle rozróżniać, ale jeśli nie, to po co to wszystko? I dlaczego tak mnie to rwie od środka? Brunon kiedyś powiedział mi, że swoją postawą, tym, jak to nazwał, rozmemłaniem, nie tylko siebie samego pogrążam, ale wymuszam też na otoczeniu wrogie nastawienie. „Dla wielu ludzi to ty aż się prosisz o to, żeby ci wywinąć jakiś chamski numer, rozumiesz?” – tak powiedział, a później dodał jeszcze, pamiętam to dobrze: „Jesteś dla innych najwdzięczniejszą ofiarą, bo się wszystkim tak strasznie przejmujesz”.*

Nagle z furią wciska backspace, bieleje ciało pod skrajem paznokcia, a kursor zjada napisane zdania, pożera je od tyłu, wreszcie nie zostaje nic, pusta strona, on wstaje, ręce zaciska w pięści, w jednej z nich materiał firanki, podrzeć czy nie podrzeć, nie drze, wraca do laptopa, pije kawę i pisze od nowa.



Za czwartym razem udaje mu się nie zmazać, zachowuje plik i zamyka go, laptop gaśnie. Ignacy patrzy na drżące dłonie, wyjmuje z szuflady czekoladę i wgryza się w twardą słodycz, miażdży ją zębami i łąduje w łóżku. Ręka dotyka blatu szafki, sunie po okładkach książek, wybiera jedną z nich, *Odwrotniak*, Izabela Grycz, nie, tego czytał nie będzie, mdli go, zna już na pamięć, tylko nie *Odwrotniak*, odrzuca książkę daleko od łóżka i zastyga, szczęki sklezione deserowym wyrobem Goplany.

Więc może zadzwoni, tak, coś trzeba zrobić, zapomnieć o liście, zdusić wstyd, zadzwoni do babci, już nie dlatego, że chce, ale z poczucia obowiązku, mimo że babcia coraz bardziej uciążliwa w rozmowie, coraz bardziej dziwaczna – nic, tylko narzeka, że tak rzadko się widują.

Obrócił telefon w palcach raz i drugi, może jednak sobie darować? I tak zacznie się od wypomnienia, ostatni raz dzwoniłeś wtedy i wtedy, rozmawialiśmy tyle i tyle, później nie odbierałeś ode mnie, a w Gdańsku nie bywasz już wcale.

Obracał telefon w rękę, w myślach obracał słowa, co powiedzieć tej babci zniedołężniałej, na jaki temat pchnąć rozmowę, żeby dało się zachować pozory normalności, jak się przywitać, o co zapytać na początku i wreszcie jak bezboleśnie zakończyć.

Westchnął, wybrał numer z listy kontaktów, palec na zielonej słuchawce, raz, dwa, trzy, nie odbierze, cztery, rozłączyć się czy jeszcze chwilę, pięć, sześć, jak długo on sam na starość będzie podchodził do telefonu, jak długo szukać będzie okularów, jak długo w bezsilnej złości na samego siebie przerzucać będzie poduszki na wersalce, więc poczeka jeszcze, siedem, osiem, wreszcie odebrała.

Wzrok Izabeli od dziewięćdziesiątego szóstego zaczął bezpowrotnie popadać w ruinę, od dwóch lat w ogóle nie pozwalał już na czytanie, a od kilku miesięcy zagadką pozostawały nawet krowiaste cyfry na wyświetlaczu stacjonarnego telefonu stojącego samotnie na rachitycznej szafce w przedpokoju.

Właśnie myła włosy. I jak na złość, drrrryń, drrrryń, drrrryń, raz za razem staroświecki dźwięk wypełnił mieszkanie, zerwała się więc, oparła o pralkę, idzie, już idzie, mija futrynę, kolejne drrrryń, już zaraz będę, wypowiada myśli na głos, wargi zaciskają się, jeszcze tylko kilka kroków, jest. Słucham?

Patrzy na numer telefonu, tańczą czarne glisty na zielonym tle, nie widzi nic, to pierwsze to chyba osiem, nie, nie osiem, trzy, albo sześć, tak, raczej sześć, po drugiej stronie cisza i nagle jego głos.

Co słyhać, jak zdrówko, pytania jak ciosy, szybkie, niedokładne, żadne nie trafia do celu, żadne nie chce nawet trafić, to są ciosy markowane, zadawane z grzeczności, zawodnik znowu podstawiony. Odpowiada w skrócie: że biodro, ale tak jak zwykle, że zakupy ma nowe od wczoraj, masło orzechowe, Boże, jak ona dawno nie jadła masła orzechowego, że poza tym bez zmian, jak to w tym wieku, już się tylko czeka, no, ale co tam ja, stara, powiedz, co u ciebie, czytasz co ciekawego, byłeś gdzie, no i jak szkoła?

Jaka szkoła, babciu, aaa...

Widzisz, no tak, śmieje się, a strach oblewa ciało, wylewa się ze środka i spływa w dół, pnąc się równocześnie do góry, tak tu podbiegłam, włosy

myłam, no, przecież wiem, nie chodzisz już do szkoły, więc jak ci się powodzi?

A to, to i tamto, próbowała słuchać, przeciągać, dopytywać, on zmierzał prosto do celu, tak i tak, no to i tamto, banał goni banał, aż w końcu znienawidzone: będę kończył.

Będzie kończył, oczywiście.

Ignacy, jej mały Ignacy, który tyle razy znajdował tu schronienie, tyle razy stawał pod jej drzwiami, z rodzicami albo i bez nich, za każdym razem znajdując u babci ratunek.

Cześć, mamusiu, mówiła Ania, gdy tylko Izabela otwierała drzwi i już samo to „mamusiu”, którego prawie nigdy nie używała, było wystarczająco złowieszcze. Przyprawiliśmy ci towarzystwo. Ignas, co ty, nie ucałujesz babci? Proszę, o, jak ty kochasz swoją babcię! Jak nikogo na świecie! Słuchaj, mamu, wyskoczyła nam pilna sprawa, musimy wyjechać, ale tylko na jedną noc, jutro Ignasia odbierzemy, dobrze?

Stała tak przed jej drzwiami, nie patrząc na Izabelę, i tylko ślizgała się rozbieganym wzrokiem po ścianach klatki schodowej, a oczy miała przy tym jak ze szkła, i tylko wciskała dłonie głęboko w kieszenie ciasnych dżinsów, a te dłonie trzęsły się jej okropnie. Marek stał wtedy zwykle na półpiętrze, z plecakiem lub pękata torbą, zmarnowany, ale jakże miły, uprzejmy i zgięty w ukłonach – ze spierzchniętych ust uprzejmości mu się wręcz wylewały. Żegnali się z nią błyskawicznie, w pośpiechu, zapewniając przy tym, że ma się nie martwić, przyjadą jutro, najpóźniej pojutrze, ale to gdyby się wydarzyło coś wyjątkowego, bo postarają się jutro. Ignas z obojętną miną, pochylony nad trzymaną w rękę zabawką, przemykał do mieszkania, a Ania, nie zbliżając się do Izabeli – i tak gorzałą śmierdziało od nich na odległość – czyniła ręką gest, jakby na wpół machała, a na wpół szczypała powietrze, i zaraz ich nie było.

Ignas, jej mały Ignas, z którym siadała potem na kanapie i prosiła, by jej pokazał zabawkę, i z którym wybierała się zaraz do sklepu, żeby mu kupić coś dobrego na kolację.

A teraz rozmawiali niecałe dziesięć minut, dokładnie nie wiedziała, czas mierzony we wnętrzu urządzenia był tam, tkwił na wyświetlaczu, ale spowijała go upiorna mgła jej starości; wściekła, postanowiła, że kupi lupę, wielką, niechby tak dużą jak jej głowa, znowu będzie wszystko widzieć, kupi, znaczy poprosi panią Kasię.

Pani Kasia, ta złota pani Kasia raz w tygodniu robi zakupy, czasem wpadnie z szybką wizytą, zapyta, czy czegoś nie potrzeba, czy w czymś aby nie pomóc, złota pani Kasia. Gdyby tylko nie te kilka przypadkiem uchwyconych spojrzeń, gdyby tylko nie te kilka pytań, rzuconych mimochodem podczas rozmowy na tematy najbliższe z bląhych. Nie, nie wolno pozwolić jej się tu zadomowić, nie wolno zbyt zacieśniać z nią kontaktów, nie ta pani Kasia, to inna, zawsze się jakaś pani Kasia znajdzie do przyniesienia zakupów, zwłaszcza za te pięćdziesiąt, sto złotych miesięcznie. O lupę więc Izabela jej nie poprosi, może Ignas przyjedzie wreszcie, święta wiecznie uciekać jej po kartkach kalendarza nie mogą, nadejdą, nadejdzie też spotkanie z wnukiem. Na lupę tych kilka miesięcy można przecież poczekać.

Odkłada telefon, sunie do łazienki, w głowie zupa z usłyszanych zdań, wszystko wymieszane, trzeba będzie zaraz zapisać, co najważniejsze, bo uleci, zginie, ale, ale – co też miała zrobić? Miota się między pralką a koszem na brudy, papier toaletowy na spłuczce, na maść jeszcze nie ta godzina, kąpała się wczoraj, więc to też nie to, wreszcie – rzut oka na lustro – no tak, myła przecież głowę.

Wodą z kubka polewa przyklepione do białej skóry marne wspomnienie włosów, jasne odrosty długie na palec, trzeba ufarbować, a zresztą po co,

może wcale nie trzeba, woda spływa po plecach, wsiąka w bluzkę, nogi bolą od niewygodnej pozycji, krawędź wanny wciska się w udo, żeby tylko na wodzie się nie poślizgnąć, myśli, ale wreszcie koniec, owija głowę ręcznikiem, wychodzi z łazienki, wzdycha.

Złość spada na nią nagle jak niespodziewany grad, bębni o głowę, przygina do ziemi; sama nie wie, skąd ta złość i na co, chyba na niego, na Ignasia, aż jej słabo, musi przytrzymać się futryny, odczekać, przed oczami wiruje ciemne konfetti, oddycha głęboko, powoli. Już za młodu zdarzało się jej wpadać w obezwładniającą furję: kiedy trzeba było wyrwać korzenie z przyjemnego Lwowa, kiedy matka siłą wypychała do pracy, kiedy uciekła tamtej nocy od Kazimierza; o tak, myśli, wtedy była gotowa roznieść to pogruchotane miasto w pył.

Przez ciemną Warszawę pod niebem zapchany chmurami wróciła wtedy do mieszkania matki, minęła znajomy kikut bramy i usypisko gruzu, wspięła się po rozklekotanych schodach, chuda matka bez słowa otworzyła drzwi, popatrzyły na siebie w milczeniu. Za to w mieszkaniu niespotykany zwykle gwar, w jednym z pokoi trzech mężczyzn, jeszcze tylko tydzień, wyjaśniła matka wypranym z emocji głosem, dla zarobku, tylko tydzień i jadą do Łodzi, to jacyś tłumacze.

W tej kwestii tłumacze słowa dotrzymali i wkrótce już ich nie było, pozostawili po sobie nawet wysprzątaną pokój, za to pieniędzy Jadwiga nie zobaczyła, została jej tylko śmieszna zaliczka i złość na samą siebie. Izabela tymczasem wsiąknęła w życie, które prowadziła najchętniej: łóżko, kołdra, książki i nastrój taki, że dałoby się go wykręcać niczym mokrą szmatę. Tylko praca na dansingu wydawała się jeszcze ją interesować, chodziła do Konga w każdą sobotę, biegała między stolikami, odpierała ataki mężczyzn pijanych i tych, którzy upić dopiero się chcieli, a zarobione pieniądze oddawała matce. Odwiedził ją raz Krzysztof Załoga,

porozmawiał chwilę, zaprosił na wódkę i jasno dał do zrozumienia, że znalazłaby się może i jakaś praca, poważniejsza, normalna praca, Izabela przez całą rozmowę spoglądała jednak za okno i myślała o historiach zmyślanych przez Kazimierza, o jego potężnym brzuchu i śmiechu wybuchającym jak granat. Zadbany Krzysztof Załoga z przyszyżoną brodą i pachnący poznańską przemysłówką wydawał się jej nieprawdziwy; rzeczywisty był tylko Człapka, on tkwił w samym sercu Warszawy, bez niego to miasto nie miałoby po co istnieć, bez niego wszystko było bez sensu, żyć bez Kazimierza Człapki wydało jej się nagle niemożliwe.

Wróciła do niego jeszcze tego samego wieczora, w mieszkaniu jak zwykle zapach parówek w sosie pomidorowym, on przed płótnem, wzrok wbity w grube plamy farby złożone w twarz kobiety. W jej twarz.

Nie odwrócił się, zsunął pędzel po wątkach nagich ramionach, umoczył kciuk w czerwonej farbie i na przesadnie smukłej szyi zawisł wisior z coraz bledszych odcisków. Izabela zamknęła za sobą drzwi, usiadła na łóżku, z komody wzięła papierosy, zapaliła, zsunęła buty i otuliła się kołdrą. Milczeli tak co najmniej przez godzinę, on malował jakby od niechcienia, ona paliła jednego za drugim, spoglądała za okno, przypatrywała się ścianom. W nocy kochali się, ona gryzła, szarpała, wbijała mu w ciało paznokcie, on przyciskał ją do zapadniętego łóżka, jakby chciał rozgnieść, połamać kości, przez usta wyssać serce.

Kolejne tygodnie znowu zlepiły się w jeden, dni i nocy nie sposób było rozróżnić, tylko łóżko, dysputy na dachu, obrazy, te malowane i te rozdzierane w szale, a także parówki w sosie, znoszone przez Mikołaja w potwornych ilościach. Do rozmowy o pustyni nie wrócili ani razu, podobnie jak do wyznania o znajomości Izy z młodszym z braci Człapków. Kolejne daty przepływały obok nich, bezimienne i niezauważone, rocznice i święta nie istniały, chrzest Warszawy usiłującej podźwignąć się na kolana

jednym oknem wpadał, drugim ulatywał, czas spędzali prawie wyłącznie we dwoje, tylko w soboty Izabela wychodziła na kilka godzin do pracy.

Któregoś wieczoru wybrała się do matki, która czuła się coraz gorzej, bo nogi nie dawały jej żyć, opuchnięte bele pełne bólu, powtarzała, nie nogi. Rozmawiały przez chwilę, Jadwiga w łóżku, przykryta kołdrą po szyję, Izabela rozbiegana od ściany do ściany, roznoszona energią, niecierpliwa, wreszcie powiedziała jej: Bardzo się zakochałam.

Opowiedziała matce wszystko, od historii zasłyszanej przy stole u Załogów, przez spotkanie z Mikołajem i fortel z koneserką sztuki, po uczucie, jakie ją teraz łączyło z tym niezwykłym człowiekiem, niezwykłym, mamó, naprawdę niezwykłym! Wyznała to, o czym nie mówiła wcześniej nikomu, wątpliwości pominęła, jakie tam zresztą wątpliwości, niech się matka cieszy, niech wie, że jest szczęśliwa.

– Wiesz, mamó, wydaje mi się, że może już niedługo będziesz miała zięcia – zakończyła i usiadła na skraju łóżka, wpatrując się w papierową skórę obciągniętą na matczynej twarzy i ściskając w ręku brzeg prześcieradła.

Jadwiga Baczek kiwała głową, uśmiechała się i na zmianę powtarzała, jak bardzo się cieszy i jak ją te nogi boją, te cholerne nogi.

Wkrótce nadszedł maj, a z nim ogólnopolski bieg narodowy na przełaj na dystansie czterech i pół tysiąca metrów – biegacze z pędzącym jak szatan Józefem Wierkiewiczem na czele mijali otwierające się lub otrząsające tylko z pyłu sklepy, uczelnie, składy fabryczne, chemiczne laboratoria, gabinety kosmetyczne i fabryki korków; Czytelnik wydawał właśnie swoją setną książkę, drukowano nowe znaczki i organizowano uroczyste akademie ku czci powstańców getta, a cotygodniowy „Przekrój” czytało ponad pół miliona osób.

W sobotę czwartego maja Izabela jak zwykle wyłuskała się z objęć śpiącego Kazimierza i jak co tydzień pospieszyła do pracy, ale zamiast wrócić nad ranem, w mieszkaniu zjawiała się już po dwóch godzinach.

Kazimierz odszedł od okna i spróbował przytulić ją, ale wrzasnęła i cofnęła się, opierając plecami o drzwi.

Podszedł bliżej.

Odepchnęła go...

...ale czy naprawdę?

Ignacy wspominał tamten wieczór tyle razy, że sam już nie wiedział, czy rzeczywiście Ada była wtedy taka opryskliwa, czy sobie to wyolbrzymił, czy naprawdę użyła tylu wyzwisk, czy podkoloryzował w głowie jej słowa, czy w końcu jej ostatnia prośba, żeby już nic nie mówił, była szczerą, czy stanowiła część jakiejś gry? Siedział z Brunonem w jednej z ośmiu sal kinowych jednego z pięciu poznańskich multipleksów, otoczony zapachem solonego popcornu i nachosów z sosem serowym, a znajdujący się przed nim ekran bezskutecznie próbował pożyć jego uwagę. Po dwóch godzinach spędzonych na analizach przebiegu rozmowy z Adą opuścił salę razem z resztą widzów, Brunon chciał wiedzieć, czy mu się podobało, a tak, podobało się, niezłe, no mnie też, dobrze, że wyskoczyliśmy, tak, tak, też się cieszę.

Powietrze na zewnątrz składało się prawie wyłącznie ze spalin, Ignacy przeprosił, muszę zadzwonić, jasne, dzwoń, więc zaraz ręce jak podłączone do prądu, papieros w usta, telefon w dłoni, w kieszeni, w dłoni, w kieszeni, wreszcie w dłoni i palec na jej numerze, zadzwonić, nie zadzwonić?

Przerywany sygnał torturował mu głowę, nogi słabły, oddech przyspieszał, aż wreszcie po drugiej stronie rozległ się jej głos:

– Słucham.

– Cześć, z tej strony Ignacy.



– Ignacy?

– No, Ignacy, z imprezy, to znaczy, poznaliśmy się w akademiku.

– A tak... cześć.

Chodził w tę i z powrotem, czując, że wygina twarz w kretyńskim uśmiechu.

– Dzwonię, bo zastanawiałem się, czy mimo wszystko nie miałabyś ochoty wyjść gdzieś na kawę.

– Yyy... a skąd w ogóle masz mój numer?

Żar dotarł do filtra, Ignacy wyrzucił niedopałek i wyszarpnął z kieszeni twardą beżową paczkę.

– Poddałaś go na Facebooku – wyrzucił z siebie, a twarz aż bolała go od uśmiechu.

– Aha, no tak. Ale co mówiłeś? Bo mi coś przerywa.

Zęby na filtrze, walka z zapalniczką, wreszcie dym w płucach i ręka kreśląca łuk papierosem.

– To znaczy, próbowałem cię zaprosić na kawę.

– Na kiedy?

– No... na przykład na jutro?

– Jezu, niech ci będzie. Ale zadzwoń jeszcze, okej? W razie jakby mi coś wypadło.

– Tak, jasne, zadzwonię. To co... to do jutra?

– Do jutra.

Schował telefon i wypalił jeszcze dwa papierosy, zanim wrócił do Brunona. Wsiedli do samochodu i niewiele więcej pamiętał: jechali, rozmawiali, miasto za szybami było jakieś kanciaste, ostre i zbyt wyraźne, serce to trzepotało, to znowu wydawało się w ogóle nie bić, wpadli jeszcze do sklepu, dopiero przed domem doszedł jakoś do siebie.

Nie miał ochoty malować, nie chciało mu się czytać, laptopa włączył, ale zaraz go zamknął, nawet leżenie wprawiało go w zdenerwowanie, więc chodził po pokoju, to uśmiechał się sam do siebie, to przystawał i chwycił się za włosy, sycząc cicho przez zęby, stawał na balkonie z papierosem i kiwał głową, wpatrując się bezmyślnie w płynące dołem biało-czerwone wstęgi samochodów.

Zaparzył kawę i długo siedział przy stole, obserwując ciekawą piankę przy brzegach kubka i dochodząc do wniosku, że nie pamięta, kiedy ostatnio w ciągu dnia uśmiechnął się tyle razy. Wdychał zapach mocnej kawy, a po każdym nagłym uśmiechu krzywił się, kręcił głową i syczał przez zęby, powtarzając szybko: – Nie, nie, no nie. – Kiedy skończyły się papierosy, wstał i w łapciach wyszedł do znajdującej się w tym samym budynku Biedronki, wycierpiał kolejkę i uniesione brwi kilku klientów, wreszcie dotarł do kasy i tu dopiero przypomniał sobie, że w Biedronce płatności przyjmowano wyłącznie w gotówce; bliski załamania, przez całą drogę powrotną klepiąc pod czaszką płaczliwe kurwa, kurwa, kurwa, powtórzył cały wysiłek, tym razem już w butach, i kupił w końcu, z braku innego wyboru, pięć paczek białych marlboro.

Zmusił się do postawienia na stole sztalug własnej roboty, wyjął pędzle ze słoika z lnianym olejem, farby wycisnął na paletę i spojrzał na płótno, po czym włożył pędzle z powrotem do słoika i starł farby leżącą nieopodal stołu parą skarpetek.

W nocy zasypiał na kilkanaście minut i budził się z powodu odgłosów nocnej przeprowadzki dochodzących z ulicy albo i bez powodu, spoglądał na zegarek i klął cicho płaczliwym głosem bądź też wstawał i z zaciśniętymi zębami unosił ręce w geście zwycięstwa. Wychodził na balkon i wdychał chłodne powietrze, przesuając wzrokiem po

zaciemnionych oknach, między którymi gdzieś jaśniejszy prostokąt rozbudzał wyobraźnię.

Znowu łomot na chodniku po drugiej stronie ulicy, wybuch śmiechu i donośne pijackie „ciiiii!”, po czym znowu śmiech, ciekawe, jak długo jeszcze zajmie im ta przeprowadzka, pomyślał Ignacy i zatrzymał nagle dłoń z papierosem w połowie drogi między barierką balkonu a rozchylonymi już wargami. Głos jednego z mężczyzn, jego sylwetka, może trochę pulchniejsza niż ta tkwiąca w pamięci, ale wciąż rozpoznawalna, ruchy, śmiech, trudno byłoby się w tym wypadku pomylić: tak, na pewno, kolega z liceum, postrach szkolnych korytarzy, przyczyna wielu wieczorów spędzonych na rozpamiętywaniu doznanych przed całą klasą upokorzeń: Kotlet.

Więc szybko drzwi balkonowe, klamka w dół, czy na pewno zamknięte, na pewno, zaraz też krzesło, laptop, palec uderzający niecierpliwie o lewy klawisz pod touchpadem, i wreszcie list26.doc.

*Droga Ado – zaczyna i wykonuje ruch, jakby chciał wstać od stołu, nie wstaje jednak, zaciska palce na krawędzi drewnianego blatu i zmusza się, pisze dalej: wydaje mi się, że do kamienicy naprzeciwko wprowadza się właśnie mój kolega z liceum, właściwie jaki tam kolega, żaden kolega, raczej prześladowca. On, jak zresztą inni, z którymi chodziłem do klasy, zna mnie takiego licealnego, cichego, zawstydzonego, małomównego, w niemodnych ciuchach i z najgorszą w klasie fryzurą. Teraz ciuchy mam trochę bardziej modne, bo trudno w dzisiejszych czasach ubrać się niemodnie, skoro najbardziej modne jest bycie niemodnym właśnie, ale cichy i zamknięty w sobie jestem nadal. Różnica jest tylko taka, że wtedy taki byłem z przymusu, nie mogłem być nikim innym, nie umiałem podrywać, wagarować, śpiewać w chórze, grać w tenisa ani pić wina za garażami przy szkole, a teraz jestem taki z wyboru – znam inne możliwości,*

*z wielu mógłbym skorzystać, choćby jutro mógłbym się przedzierać w zupełnie innego Ignacego, ale nie chcę, chcę być właśnie cichy i skryty.*

Poza białym ekranem nie widział już nic, z szuflady po omacku wygrzebał zatyczki do uszu, wcisnął je w małżowiny i zaraz palce bezgłośnie zatańczyły po klawiaturze, wskazujący prawej na n, serdeczny na i, wskazujący lewej na c, a potem już jak w transie:

*Nic mnie tak nie doprowadza do szału jak to bezmyślne płynięcie z prądem – ani chwili na myślenie, pojawia się komuś wieczorem wolna chwila, to zaraz ją z pilota, zaraz z głośników, z gazety, książki, klawiatury, byle zabić, byle nie przerywać ciągłego ataku na uwagę. A potem idzie do pracy, bo co innego, potem wraca, więc dzieci, sport, zakupy w Tesco, odwiedziny u znajomych albo i hobby, najczęściej telewizor, spać zbyt wcześnie też nie, jeszcze jeden film, jedna wódka, jeden poziom z zaciskaniem pada i potem głowa do poduszki, a zaraz poranek.*

Ignacy w końcu jednak wstaje, wychodzi na balkon, citroen berlingo nadal stoi tam, jak lśniący upiór z blachy, Kotlet zaraz pewnie się pojawi, na pewno się pojawi, a nawet jeśli nie, to wpadną na siebie już wkrótce, jeśli nie w tym tygodniu, to w następnym albo jeszcze kolejnym, ale spotkają się na pewno. A wtedy? Wraca do pokoju i jeszcze zanim pośladki dotkną miękkiej wyściółki krzesła, palce zawisają nad rzędami przycisków.

*A ja sobie świadomie wybrałem ze wszystkich dostępnych mi opcji, mógłbym być taki lub inny, pracować tu czy tu, z zaangażowaniem lub bez, imprezować albo i nie, uprawiać sport, jaki sam bym sobie wybrał, ale nie chcę, chcę właśnie tak. I teraz mnie taki Kotlet zobaczy i sobie pomyśli: co za złamas, nic się od liceum nie zmienił, nadal taki i taki, a ja przecież taki z własnej woli, nie mylić mnie z tymi, którzy tacy jak ja, ale zupełnie przecież inni. Nie mylić!*

Czerwony na twarzy zatrzaskuje laptop, chwytą głowę w dłonie, ściska, kładzie się w ubraniu do łóżka i przykrywa kołdrą.

– Myśl o drzewie z gałęziami wbitymi w ziemię – szepcze do siebie. – Myśl o domu, który tam będzie, myśl o Adzie mieszkającej w nim z tobą...

Słowa płynnie przechodzą w jęk, a jęk zamienia się w płacz; Ignacy odwraca się twarzą do ściany, kolana podciąga pod brodę i leży tak bez ruchu, aż w końcu, po kilku godzinach, ciało mu wiotczeje, oddech uspokaja się, a z gardła dobiega chrapanie.

Kolejnego dnia spóźnił się do pracy, i to znacznie, bo zamiast o ósmej zjawił się w firmie o dwunastej trzydzieści, co – biorąc pod uwagę dotychczasową żelazną punktualność – nie byłoby może aż tak rażącym występkiem, gdyby nie to, że po wejściu do biura, podpisaniu listy obecności i przywitaniu się ze wszystkimi natychmiast z niego wyszedł i wrócił do domu, nikogo o niczym nie informując. Wręcz przeciwnie – przychodzącemu połączeniu od szefa bezlitośnie ścisnął łeb klawiszem z czerwoną słuchawką.

Stół, opróżniony ze sztalug, książek, laptopa, słoikowych popielniczek i stadnie występujących w całym pokoju opakowań po czekoladzie, wyścielały teraz zlepione taśmą klejącą arkusze papieru. Z kubkiem kawy pod ręką, z dwoma długopisami – jednym w dłoni, a drugim w ustach – z nogą drgającą szybko pod stołem i z plecami wygiętymi w pałąk Ignacy przesuwał wzrokiem po prymitywnych wykresach, nakreślonych naprędce tabelach, strzałkach, podkreśleniach i blokach niewyraźnego tekstu; na samym dole drukowanymi literami napisał: „Role scenarzysty i głównego aktora należy rozdzielać w trosce o zdrowie psychiczne tychże”.

Co jakiś czas spoglądał na telefon, brał go do ręki, upewniał się, czy jest zasięg i czy bateria aby naładowana, wybierał z listy kontaktów numer Ady i tańczył kciukiem ponad przyciskiem wybierania. O piętnastej dwanaście

zadzwoił, przyłożył telefon do ucha i wstał, wyszedł na balkon, wszedł z powrotem do mieszkania, znowu wyszedł i znowu wrócił, w tym momencie odebrała, więc szybko, że się umawiali, że dzwoni, aby potwierdzić, tak jak chciała, a tak, pamiętam, to gdzie byś chciał iść, nie mam zbyt wiele czasu, tak w ogóle, oczywiście, rozumiem, no to może Brovaria, niech będzie Brovaria, może na dziewiętnastą, dobra, to do zobaczenia.

Odrzucił telefon na kołdrę i przyjrzał się dłoni, jakby zamiast telefonu ścisnął przed chwilą między palcami rozgrzany kawałek metalu. Zwinął płachty papieru, zmiął je w wielką kulę, zniósł do śmietnika, postąpił przez chwilę na chodniku, przyglądając się elewacji, po czym wrócił do mieszkania, rozpostarł na stole nowy papierowy obrus i zawisł nad nim z zestawem długopisów i kawą.

O piątej zmusił się do zjedzenia zupki Amino, grzybowej, po czym zjadł jeszcze jedną, a później z szafki Brunona wyjął trzy proteinowe batony o smaku czekoladowo-orzechowo-karmelowym, pożarł je na stojąco, popił półlitrowym brzoskwiniowym jogurtem i położył się do łóżka, włączając przedtem na laptopie *Innuendo* grupy Queen.

Leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, oddychał ciężko przez otwarte usta, przewracał się z boku na bok...

...z pleców na brzuch i z brzucha na plecy, aż wreszcie znieruchomiał z nogami spuszczone na ziemię, gładząc się powoli po piersi.

Otyłość Kazimierza Człapki była otyłością w pełni zamierzoną, czyli piękną. Izabela знаła mężczyzn zwracających uwagę na kondycję fizyczną, znała nawet takich, którzy dbali o linię z pewną pedanterią – choć ci drudzy zawsze wydawali jej się w pewnej mierze podejrzani – i wielu przedstawicieli obydwu tych grup mimo starań nosiło przed sobą brzuchy. Izabela uważała, że to wyjątkowo żalosne. Kazimierz natomiast dźwigał

brzuch monstualnych wręcz rozmiarów, ale nie robił nic, aby go zmniejszyć, przeciwnie – szczylił się swą tuszą. Był taki z wyboru.

– I co? Nie przyznajesz się?

– Pytałaś już sto razy. To nie ja wybiłem szyby w Kongu!

– Ale czy ty nie rozumiesz, że spotkałam po drodze pana Leonarda i że on sam mi to powiedział? „Dobrze, że cię widzę, Iza. Nie idź do pracy, dzisiaj będzie zamknięte, za tydzień może też. Ktoś wybił szyby”. To ja pytam, czy wiadomo kto, a on na to: „Podobno jakiś Człapka”. Więc rozumiem, że on kłamie?

– Kłamie. Ja szyb nie wybiłem.

– Ścierwo jesteś.

Kazimierz wygrzebał się z łóżka, stanął przed nią, olbrzymi, nagi i wściekły, po czym powlókł się do okna, oddychał ciężko przez chwilę i znowu podszedł do niej, tym razem jeszcze bliżej i jeszcze bardziej wzburzony.

– Za takie słowa nosy łamałem.

– Kobietom też? – Czerwień na twarzy Izabeli przechodziła już w bordo.

Kazimierz pokręcił głową z niedowierzaniem, zagryzł wargę i syknął jej w twarz:

– To nie ja zbiłem te szyby! Sama jesteś ścierwo!

Z szerokiego zamachu uderzyła go otwartą dłonią, nie trafiła dokładnie, cios zsunął się po zarośniętym policzku i zahaczył o nos, na twarzy Kazimierza wykwitać zaczęła różowy odcisk jej dłoni. Człapka uniósł odruchowo prawą pięść i zacisnął zęby, ale zawahał się, lewą ręką chwycił Izabelę za żakiet i przysunął nos do jej nieruchomej twarzy. Popatrzył na nią chwilę, opuszczając pięść wzdłuż ciała, po czym odepchnął ją i wrócił do łóżka.

– Nie ja zbiłem te szyby – mruknął, owijając się kołdrą.

– Nie wierzę! Co ja ci takiego zrobiłam, co? To dlatego, że się wtedy pokłóciliśmy? Bo spałam z twoim bratem? A może to przez to, że cię tu zostawiłam? Przecież wróciłam, sama, z własnej woli! Nie widzisz?

– Do ciebie mówić to jak grochem o ścianę – dotarł do niej głos spod pościeli. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– To jakie jest według ciebie wytłumaczenie?

– Nie wiem!

– A znasz jakiegoś innego Człapkę, który mógłby to zrobić?

Pokój wypełniła cisza, nie słyhać było nic poza trzeszczeniem podłogi w mieszkaniu wyżej. Kazimierz powoli zsunął z głowy kołdrę i długo, wymownie patrzył na stojącą pośrodku pokoju Izabelę, która wyglądała teraz, jakby ktoś spuścił z niej powietrze.

– Nie myślisz chyba, że to on? – zapytała niemal bezgłośnie.

– A kto inny? Ach, tak, przepraszam, zapomniałem. Ty wolisz myśleć, że to ja!

– Ale dlaczego niby Mikołaj miałby wybijać szyby w Kongu?

– Może dowiedział się o nas? O tym, że go wykorzystaliśmy? To takie nieprawdopodobne? Już ja znam mojego braciszka, grzeczny i miły, ale jakby co, to... uuuu, potrafi on, potrafi!

Przegadali tak pół nocy, przerzucając się możliwymi motywami zachowania Mikołaja Człapki, wybuchając na zmianę złością i uspokajając się nawzajem, wygrażając, przeklinając i kreśląc w głowach coraz to bardziej bestialskie i makiaweliczne plany zemsty. Wreszcie Kazimierz zaproponował: pójdźmy, wtargnijmy, wykopię z niego siłą całą prawdę. Izabela leżała przez chwilę w bezruchu i nagle wstała, włos w nieładzie, w oku błysk: idziemy!

Mijali kolejne ulice i zalegające je hałdy gruzu, odrodzony budynek Uniwersytetu Warszawskiego, grupkę pijanych Anglików i rozmaitej barwy



koty buszujące w ruinach, a po trzech kwadransach łomotali już do drzwi mieszkania Mikołaja tak, że drżała futryna.

Otworzył nadspodziewanie szybko. Krzywo zrosnięty nos w mdłym świetle wyglądał jak rozgnieciona połówka ziemniaka, sponad wysokiego czoła zwisały kosmyki rozczochranych włosów, a mięsiste usta opadły ze zdziwienia, upodabniając Mikołaja do wystraszonego zwierzęcia.

Pierwszy atak przypuściła Izabela; najpierw mówiła cicho, ale słysząc pełne zakłopotania wykręty i zaprzeczenia, płynnie przeszła w krzyk, wrzeszczała, co drugie słowo przeklinając, że jak on śmie, że co sobie wyobrażał, jakie prawa do niej rościł i kto mu pozwolił bawić się cegłami w Boga. Kiedy odepchnęła go, wyzywając od kłamliwego śmiecia, Mikołaj stracił nerwy i odepchnął ją także, uniósł palec w geście ostrzeżenia i już miał coś powiedzieć, kiedy do szturmu włączył się Kazimierz. Mówił niewiele, a właściwie nic, ograniczył się do wyvodu pięści, te fruwały na prawo i lewo, mijając cel, i to grubo, wreszcie jednak któraś trafiła, rozległ się chrzęst łamanego nosa, Mikołaj upadł i pociągnął brata za sobą. Izabela próbowała rozdzielić szarpiących się braci. Kiedy obaj zasapali się już i uleciała z nich pierwsza wola walki, podnieśli się z ziemi – Mikołaj w podartej koszuli, Kazimierz z krwawiącym nosem i wargą – Izabela wzięła swojego Człapkę pod pachę i bez słowa wyprowadziła na zewnątrz.

– Myślisz, że to mu da do myślenia? – zapytał, szperając po kieszeniach olbrzymiej marynarki.

– Trochę chyba za ostro go potraktowałeś – odparła, próbując mu wytrzeć krew z podbródka. – Może on jest nieszczęśliwie zakochany, chciał zwrócić uwagę...

– No to zwrócił!

– Ale jednak przesadziłeś.

– Chciałaś iść? To czego się spodziewałaś? Że z nim będę w szachy grał?

Kłócili się do samego domu, później on malował, później darł obraz, później kochali się, a później znowu, później wyszli na dach, aż wreszcie, kiedy na zewnątrz słońce wzniosło już łeb wysoko ponad dach sąsiedniej kamienicy, zasnęli, spleceni nogami i owinięci podartym prześcieradłem.

A potem...

A potem...

Strach popłynął jej w górę po kościach i osiadł w brzuchu, ręce poderwały się do góry, no? co potem? dalej, dalej, no już... kochaliśmy się, słońce odbite od dachu naprzeciw, podarte prześcieradło... co dalej?

Izabela nie pamiętała.

Zaparzyła mocną herbatę, uspokoiła oddech, położyła się na wersalce i włożyła zatyczki do uszu, a w głowie huczało odbite wielokrotnym echem: a potem... a potem... a potem...

W szufladzie pamięci potężnie ktoś przemieszał, to tylko się zakopało, utonęło w nieistotnych śmieciach, zaraz to znajdzie, tak, na pewno, powtarzała w myślach, składając ręce na brzuchu i wyteżając umysł do powrotu do tamtej chwili, do promieni słonecznych wpadających przez okno mieszkania Kazimierza Człapki.

I nic.

Wyrwała zatyczki z uszu, podniosła się – raz, nie, dwa, nie, udało się za trzecim razem – po czym z herbatą w jednej ręce uczepiła się szafy i odczekała chwilę, niech czarne motyle odlecą sprzed oczu, wreszcie odleciały, a wraz z nimi zniknęły zawroty głowy, więc ruszyła przez pokój w stronę kuchni. Tak, to tam widziała ostatnio egzemplarz *Odwrotniaka*, było ich w mieszkaniu pewnie z pięćdziesiąt, a może i ze dwieście, w obwolutach twardych i miękkich, płóciennych i błyszczących, wydania w kilkudziesięciu obcych językach, walały się te *Odwrotniaki* po szafach,

szufladach i regałach, pełno ich było, ale zdecydowała, że pójdzie po tamten.

Pomoże pamięci i przeczyta o tym, co się wydarzyło później, niech to będzie ta moc literatury, o której tyłu jej w życiu mówiło, więc niech im będzie, moc literatury: niedołączna baba szukająca we własnej powieści wspomnień, które jej wypadły z durnej głowy.

Kolejne łyki herbaty i książka w drżącej dłoni. – Nic nie pamiętam, nic a nic. – Dopiero po chwili zrozumiała, że powiedziała to na głos, więc szybko znowu łyk herbaty, jakby wierzyła, że te dwieście mililitrów gorącego płynu może ją uratować.

Otworzyła książkę i rozpląszczyła ją na stole w kuchni, zawisła nad poszarzałymi stronami, nos przy samym papierze, oczy wbite w tańczące za mgłą litery, spomiędzy nich suchy zapach stęchlizny i nic więcej, żadnego sensu, więc okulary, jedne, drugie, wszystko na nic.

Przestraszona, zamknęła książkę i przełknęła ślinę – a co, jeśli sobie nie przypomni?

Wszystko na nic, może się okazać...

...że to naprawdę wszystko na nic.

Nie mógł pozbyć się tej myśli, wierząc się na czerwonym siedzisku wygodnego krzesła w Brovarii. Przyszedł godzinę wcześniej, wypił dwa piwa, przed nim stało trzecie, paczka papierosów pustoszała w szybkim tempie, a wyeksponowane u szczytu sali kadzie i połączone masywną rurą zbiorniki buforowe sprawiały przytłaczające wrażenie.

Z początku siedział twarzą do drzwi, ale szybko zrozumiał swój błąd i zajął miejsce po przeciwnej stronie stolika, co jednak nie przyniosło zamierzonego rezultatu, a narodziło tylko ból szyi. Nieustannie odwracał się i spoglądał przez ramię, każda osoba wchodząca do restauracji była nią,

ale zaraz kimś innym, na widok każdej wykonywał ruch, jakby miał zerwać się z krzesła i natychmiast powstrzymywał się, to nie ona, jeszcze nie ona.

W pewnej chwili doszedł do wniosku, że dziewiętnasta jednak nie nastanie; cyfry zegara w telefonie poruszały się niczym zanurzone w smole, kilka razy wydawało mu się nawet, że złapał je na oszustwie – jak to osiemnasta trzydzieści dwie, skoro jakiś czas temu była, zdaje się, osiemnasta trzydzieści cztery? Chował telefon do kieszeni, a po kwadransie wyciągał z powrotem i rozkładał ręce na widok osiemnastej trzydzieści pięć. Dopił trzecie piwo, z trudem powstrzymał się przed zakupem czwartego, wyszedł na zewnątrz, zapalił papierosa, zapalił drugiego i trzeciego zaraz potem, wrócił, usiadł, ręce na blacie, rzut oka na ekran telefonu – za dwadzieścia siódma.

Kelner chyba go obserwował. Na pewno znał takich jak on, przychodzą godzinę wcześniej i aż chudną w oczach, tak ich zżera stres, pocierają spoconymi dłońmi o spodnie, przewalają wzrokiem po wnętrzu restauracji, choć nie zauważyliby krowy tańczącej na barze, co dziesięć sekund zerkają na zegarek, a potem...

No właśnie: a potem co?

Po półtorej godziny jeszcze walczą, prostują co jakiś czas plecy, oglądają dłonie, dzwonią do kogoś dla zabicia czasu, piszą esemesa, ale po dwóch godzinach z reguły zamawiają kolejne piwo czy setkę, wypijają duszkiem i wychodzą, usiłując udawać, że na nikogo nie czekali. Ale czy Ada też mogłaby go w podobny sposób potraktować, tak ośmieszyć przed samym sobą i przed tym kelnerem zerkającym stanowczo, tak, stanowczo zbyt często w jego stronę?

Wstał zza stolika raz jeszcze, z paczką papierosów w dłoni ruszył w stronę wyjścia i w tym momencie do restauracji weszła ona: na ramionach rozpięty czerwony sweter z cienkiego materiału, pod nim biała

bluzka z czerwonymi napisami, szare spodnie ściśnięte dwoma wąskimi paskami i białe tenisówki z bordowymi sznurówkami. Sylwetka nieznacznie zgarbiona, dłonie w kieszeniach, włosy spięte w kucyk i makijaż taki, że mogłoby go nie być: cienka kreska na powiece, usta bez śladu szminki.

– Cześć – powiedziała, rozglądając się po wnętrzu lokalu. – Uparciuch z ciebie.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, odsłaniając zęby.

– Usiądziemy? – zapytał.

– Nie, będziemy stali.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i pojawił się ponownie, razem z czerwienią narastającą w górę po szyi. Uszy płonęły.

Usiedli naprzeciw siebie, kelner zmaterializował się natychmiast, druga karta, proszę bardzo, czy podać od razu coś do picia, tak, dla mnie jeszcze jednego pilsa! – wystrzelił i przełknął ślinę, Ada spojrzała na niego rozweselonym wzrokiem, kelner patrzył na nią, a dla pani, cieszę się, że przynajmniej pan się mną zainteresował, poproszę herbatę i wódkę z colą.

Kelner skinął głową i oddalił się, Ignacy wyjął z kieszeni telefon, sprawdził godzinę – upchnięte wcześniej minuty wylewały się teraz, goniąc jedna drugą – odłożył go na stolik i zaczął bezmyślnie przesuwac palcem w dół i w górę zroszonego kufła, zbierając na opuszcze chłodne krople wody.

– Powiem ci szczerze, w ostatniej chwili miałam zadzwonić, że jednak nie przyjdę. Ale Elka mi mówi, idź, może jest fajny jednak, a jak nie, to się przynajmniej napijesz darmowego drina.

Ignacy wypuścił z siebie powietrze, uniósł brwi i znowu się uśmiechnął.

– No tak, trzeba przyznać, że twoja koleżanka trzeźwo podeszła do sprawy.

– Ale tak naprawdę to zdecydowałam się przyjść, bo mnie zaciekawileś tym, jak opowiadałeś wtedy zmyślane historie. To mi przypomniało taką książkę, romansidło, które dawno temu czytałam. Ale nieważne. Spotkałam się z tobą tak trochę na siłę, więc jak chcesz, żeby z tego nie wyszła jakaś totalna katastrofa, to się będziesz musiał postarać.

– A zdradzisz mi, co to za książka?

– Nie, bo zaraz zaczniemy gadać o książkach, a gadanie o książkach jest prawie tak samo wstrętne jak rozmawianie o pogodzie albo o tym, co się zdawało na ostatniej sesji.

– Nie masz zamiaru tego ułatwić, co?

– Ani trochę. – Uśmiechnęła się pięknie. Kelner postawił przed nimi napoje.

– To mi rujnuje prawie wszystkie scenariusze – powiedział Ignacy, kiedy mężczyzna na powrót wniknął za ladę.

– Scenariusze?

– A co, jeśli przygotowałem się do tego spotkania i opracowałem poszczególne scenariusze rozmowy, których mógłbym używać w zależności od tego, co powiesz na początku i jak się zachowasz, a wszystko tylko po to, żeby cię jakoś zainteresować, zaimponować ci, zrobić na tobie wrażenie?

– Powiedziałabym, że to chore. Jak z filmu o psychopacie.

Ignacy uśmiechnął się, zasłonił się kuflem, jeden łyk, drugi, trzeci, ona sączyła powoli wódkę z colą i patrzyła na niego wyzywająco.

– Czyli to, że się teraz przyznałeś do tych przygotowań, to też jest zaplanowane.

– Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli ta rozmowa okaże się niestandardowa, oryginalna, żadnego: skąd pochodzisz, czy masz rodzeństwo i jaki jest twój ulubiony film, rozumiesz, dlatego takie

przyznanie się do tych opracowanych scenariuszy przenosi naszą rozmowę na inny poziom. Dlatego tak czy inaczej pewnie bym tego elementu użył.

– Brzmi coraz bardziej jak z filmu o psychopacie. – Ada odstawiła szklankę z drinkiem i wyprawiła palec w okreśną podróż po jej krawędzi, pochylając się równocześnie w stronę Ignacego. – A może wymyśliłeś całą tę historię o scenariuszach tylko po to, żeby móc mi o nich powiedzieć? Tym mi chciałeś zaimponować?

– Nie, ja naprawdę się przygotowałem.

– No dobrze! – parsknęła. – To w takim razie zdradź mi, co jeszcze według ciebie mogłoby mnie zainteresować? Wskocz no z któregoś scenariusza. Powiedz mi coś, czym mnie totalnie zauroczysz.

– Mógłbym ci opowiedzieć wszystko o tym kelnerze. Albo o jego matce, albo o ojcu, siostrze, sąsiedzie, o kasjerce, która go kilka razy w tygodniu obsługuje...

– Nuuuda. To już było.

– Mógłbym się z tobą zdobyć na taką szczerłość, na jaką nikt się z tobą nigdy nie zdobył. Mógłbym ci powiedzieć wszystko. To tak jakbym się tutaj rozkroił i pozwolił ci wszystkiego dotknąć, każdej kosteczki w środku, każdego czerwonego ścięgna.

– Nie, nie, powiedzmy sobie jasno: takie rzeczy nie działają, to znaczy działają, ale na pewno nie tak, jak byś chciał. Uciekłabym po pierwszych pięciu zdaniach.

Ignacy ślizgał się wzrokiem po jej twarzy, unikał spojrzenia w oczy, noga pod stolikiem drgała mu coraz szybciej, wszystko wokół waliło się i sypało, ściany jakby pochyłe, kadzie chyba bardziej nabrzmiące niż wcześniej, a kelner zerkał nieustannie w stronę ich stolika, kąciki ust uniesione, dumny jak paw, bo przewidział, zaszufladkował, ocenił – tak, znał takich jak tendureń.

– Może jednak trzeba było lepiej zacząć od tego, gdzie mieszkam i czy mam rodzeństwo? – Ada wyglądała na zrelaksowaną i coraz bardziej rozbawioną, szklanka z drinkiem opustoszała, filiżanka herbaty zniknęła między troskliwymi dłońmi.

– Nie, to by była na pewno katastrofa. – Przeczesał dłonią włosy i dopił piwo, wymownie spoglądając po tym na kelnera. – Wiesz, pozytywne jest to, że w ogóle o tym rozmawiamy, nie prowadzimy rozmowy o czymś, ale rozmowę o tej rozmowie. Można chyba powiedzieć, że to jest w zasadzie jakiś sukces tych moich przygotowań, ale nie ukrywam, że w pewien niepokój wpędza mnie to, że kompletnie nie wiem, co dalej.

– A właściwie to dlaczego tak cię na mnie wzięło, co? Podobam ci się tak bardzo? Jestem w twoim typie? Jestem twoim typem?

– Nie, chyba nie o to chodzi. – Nie zdołał zdusić w sobie kolejnego uśmiechu. – Coś więcej jakby.

– Coś więcej jakby – powtórzyła, również się uśmiechając.

– Często tak jest, że człowiek zupełnie nie wie. Chwyci go coś, i tyle, na pewno też tak miałaś. Wbrew logice, wbrew chęciom, wbrew zasadom, przekonaniom, pragnieniom, planom, rozsądkowi i wszystkiemu.

– Czyli jakbyś mógł, tobyś to z siebie wykroił. Tę fazę na mnie.

– Wiesz, to nie jest tak, że... No tak, pewnie wykroiłbym. Chociaż teraz to mi się wydaje strasznym pomysłem.

– Bo masz tę fazę. Ale jakbyś nie miał...

– Ale mam.

– No masz, nie da się ukryć. – Uśmiechnęła się, dokończyła herbatę i odwróciła się do kelnera, który złowił jej spojrzenie i powoli wyłonił się zza lady.

– Lubisz malarstwo? – Ignacy wyciągnął papierosy i położył na stole obok telefonu; beżowa paczka jak znak zapytania przed twarzą



nadchodzącego pewnym krokiem mężczyzny.

– Oj, dryfujemy w banał?

– Czy podać coś jeszcze? – Kelner znowu jak zjawia, biały notesik w kieszeni, ręce założone za plecami, uśmiech na ustach bardziej niż uprzejmy.

– Poprosimy dwie setki wódki i dwie cole.

– Oczywiście. – Lekkie skinienie głową, obrót na pięcie, raz, dwa, trzy i już go nie było.

– Nie lubisz wódki? – zapytała Ada, unosząc brwi i przekrzywiając głowę.

– Nie, to znaczy nie to, że nie lubię.

– No lubisz czy nie?

– Tak, lubię!

– To dobrze. I omijaj banały, za dobrze się zaczęło, żebyś mi tu teraz wyjeżdżał z malarstwem.

– Nie o to chodzi. Może to ci się wyda głupie...

– Oj, zaraz tam głupie! – przerwała mu i przysłoniła dłonią roześmianą twarz. – Przepraszam, mów dalej.

– Boję się, że za którymś razem wstanę w końcu i stąd wyjdę, a potem sobie tego nie wybaczę.

– O, i to by było głupie. – Ręka Ady popęzła przez stół i znieruchomiała na dłoni Ignacego. – No dalej, mów, co chciałeś powiedzieć, słucham.

Spoglądał przez chwilę na jej dłoń, która zaraz wycofała się w okolice opróżnionej szklanki, a potem zastukał kilka razy w paczkę papierosów, kiwając nieznacznie głową.

– Wymyśliłem sobie coś – powiedział wreszcie. – Świat, krainę, nie wiem, coś w tym stylu, mam to wszystko namalowane, maluję jeśli nie

codziennie, to co drugi dzień, prawie tylko to maluję. Wyobrażałem sobie, że ty mogłabyś wymyślić nazwę.

Miejsce pustych szklanek na blacie między nimi zajęły dwie setki i dwie cole, a brak popielniczki wydawał się jednoznaczną odpowiedzią na postawiony kartonowy pytajnik.

– Nazwę czego? – zapytała Ada. – Wydaje mi się, że coraz mniej cię rozumiem.

– Może to moja wina. – Westchnął. – Jeszcze raz. Chodzi o to, że wymyśliłem sobie coś, ten, nazwijmy to, świat, i praktycznie codziennie o nim myślę, powtarzam w wyobraźni to, co wcześniej stworzyłem, żeby nie zapomnieć, i dodaję nowe szczegóły. Od pewnego czasu mogę się po tej krainie poruszać, z każdym tygodniem i miesiącem coraz bardziej swobodnie. W centralnym punkcie tego świata jest grube, masywne i niskie drzewo, którego gałęzie wygięte są w dół, a ich wierzchołki wrastają w ziemię. Pomiędzy nimi będzie dom, jednopiętrowy, z kominkiem, poduszkami na podłogach, obrazami na ścianach i wysokimi regałami pełnymi książek, a po spiralnych schodach będzie można wchodzić na czubek drzewa i spoglądać stamtąd na świat dookoła. Obok tego domu znajdują się klatki dla królików i duża drewniana buda, w której sypia olbrzymi kudłaty pies. Sam dom jeszcze nie istnieje, tak samo jak nazwa tej krainy, bo marzyło mi się, żebyś to właśnie ty ją wymyśliła.

Ćwierć zawartości szklanki Ady zniknęła, a sama Ada kręciła głową z niedowierzaniem.

– To jest najbardziej dziwaczna randka, na jakiej byłam w całym swoim życiu. A uwierz mi, że na paru dziwnych byłam.

– Ja już stawiam wszystko na jedną kartę. Mówię szczerze, nie mam już teraz wyjścia.

– No, no, najskuteczniejszy scenariusz, tak? Jezu, ale jak ty w ogóle wpadłeś na to, żeby wymyślać sobie teksty na randkę?

– To już nie jest scenariusz, przysięgam, ja teraz niszczę większość zasad, którymi miałem się dzisiaj kierować. Wszystko robię nie tak: zbyt otwarty, zbyt szczerzy, wypowiedzi zbyt emocjonalne, a do tego te wpadki, że pierwszy zamawiam piwo albo sprawdzam godzinę na telefonie. Tu już nie obowiązują żadne scenariusze.

Zapadła cisza, dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści, minuta, dwie, siedzieli tak naprzeciw siebie i milczeli, atmosferę można by chwycić w dłoń i rozgnieść. Wypili, co było do wypicia, i milczeli dalej, Ignacy roztrzęsiony pomiędzy dwoma pustymi szklankami, paczką papierosów, kieszeniami i telefonem, Ada prawie nieruchoma, z brodą ujętą w koszyk dłoni i ze wzrokiem utkwionym w przeciwną ścianę ponad jego głową.

Wreszcie poprosiła, by opowiedział jej o tym świecie coś więcej, i poszło jak zza pękniętej tamy: słońce wbite na stałe w płachtę nieba tuż nad horyzontem i odwracające się na noc plecami, ławice ryb i czarne kalmary dryfujące nad ziemią, pioruny wyrastające z ziemi jak płonące krzewy, a dokoła płaskie twarze bez oczu, fikusy i kolorowe kruki, obwisłe, pozszywane gęby, bezzębni starcy, powykęcane twarze i odwrotniaki.

Mówił i mówił, kiedy regulował rachunek i wychodził z lokalu, mówił, kiedy szli Starym Rynkiem i Garbarami, mówił, kiedy stali w Żabce w kolejce z koszykiem piw i chipsów, mówił tak, mówił, mówił, a kiedy skończył, siedzieli na jednej z ławek wbitych w alejki Cytadeli.

Potem mówiła ona. O tym, że rozwiedzeni rodzice, mama w Pile, tata w Luboniu, przeciągający ją raz w jedną, raz w drugą stronę, o tym, że dwa długie nieudane związki, jeden jeszcze trochę licealny, ale drugi już poważny, dający nawet nadzieję na trwałość, ale nic z tego nie wyszło i ona dobrze już wie, że ludzie są zbyt pokręcani, by się ze sobą wiązać na dłużej

niż kilka lat, o taka na przykład jej siostra, więcej rodzeństwa nie ma, tylko ją, więc ta jej siostra to już z Jarkiem siedem lat jest po ślubie i co? Coraz bardziej się tylko od siebie odsuwają, nic się niby złego czy też bardzo złego nie dzieje, ale jednak są od siebie coraz dalej, no i czy o to w tym wszystkim chodzi, by się związywać ze sobą i się później wobec siebie nawzajem stawać coraz bardziej obojętnym?

Mówiła o wszystkim tym, co jemu kojarzyło się z banałem, a potem o wszystkim tym, o czym nawet nie przyszłoby mu do głowy rozmawiać, pili kolejne piwa, jedli chipsy, cebulowe i fromage, oglądali zdjęcia w telefonach, słuchali z nich muzyki, wreszcie pocałowali się i wtedy odsunęła go, wstała i pożegnała się. Chwilę później już jej nie było.

Dźwięk esemesa. Otworzył.

Od niej.

„Niedźwiady”.

Palce na chwiejnej klawiaturze, seria błędów, jeden za drugim, i w końcu udało się, odpisał: „Nie rozumiem”.

Odpowiedź, prawie natychmiast:

„Przejeżdżałam kiedyś przez miejscowość o takiej dziwacznej nazwie. Więc tak go ochrzcij. Ten świat. Niedźwiady”.

O aparycji pani Kasi rzec by można wiele, ale nie sposób byłoby zarzucić jej pospolitość, a to dlatego, że prócz całkiem zwyczajnych brwi, oczu, nosa i ust pani Kasia posiadała również zęby, które przy odpowiednim wyeksponowaniu – najczęściej w trakcie finezyjnie szerokiego uśmiechu – w zaskakujący sposób upodabniały ją do krokodyla. Gdyby chcieć nazwać rzecz po imieniu, należałoby powiedzieć, iż zęby pani Kasi były po prostu monstrualne.

W zwierzęcej urodzie pani Kasi nie byłoby może nic aż tak godnego uwagi, gdyby nie dość kłopotliwa cecha charakteryzująca tę trzydziestoczteroletnią bezrobotną żonę znanego warszawskiego DJ-a, a mianowicie gwałtowność w poruszaniu się. Niezależnie od czynności wykonywanej w danym momencie przez panią Kasię, jej ciało w wyjątkowo frywolny sposób pozwalało sobie wyczyniać istne wygibasy – kiedy pani Kasia kroczyła chodnikiem, wyglądała, jakby próbowała podrapać się w kilku miejscach naraz, kiedy buszowała między regałami sklepu, można by sądzić, iż knuje coś niedobrego, natomiast kiedy rozmawiało się z nią twarzą w twarz, odnosiło się wrażenie, że pani Kasia w zwolnionym tempie stepuje. Jak wiadomo, stepujący krokodyl samym swoim istnieniem nie tylko przeczy godności całego tego szlachetnego gadziego gatunku, ale też sieje zwątpienie co do tego, czy na otaczającej rzeczywistości można w ogóle polegać, ba – czy można było polegać na niej kiedykolwiek!

Tak więc stłumiwszy falę zdziwienia, która wzbierała za każdym razem, ilekroć pani Kasia pojawiała się w drzwiach jej mieszkania, Izabela

obdarzyła sąsiadkę uprzejmym uśmiechem i odsunęła się, otwierając przy tym drzwi i gestem zapraszając ją do środka.

– No? – Pani Kasia pofrunęła ku sąsiadce z otwartymi ramionami i zamknęła ją w uścisku, całując soczyście w obydwie policzki. – Jak zdróweczko? Dopisuje nam?

– Ach, wie pani.

– Sąsiadka już mi tu banialuków nie wciska, widzę, że młodnieje w oczach. – Spomiędzy warg wychynął nagle krokodyli uśmiech, na którego widok nogi Izabeli niezmiennie traciły swą naturalną stabilność, jednak ów wstrząsający widok zniknął, kiedy tylko pani Kasia przybrała poważną minę i rozpoczęła standardową, natarczywą rundę troskliwych zapytań, kręcąc się równocześnie po przedpokoju i kuchni, zbierając śmieci, ścierając kurz z najniższych półek i wrzucając brudne naczynia do zlewu. – No, co tam trzeba? Śmieci są? Są. To już, bierzemy. Naczynia? Znowu się zostawia surówkę? Co kupić, pani Izabelo, przede wszystkim, co kupić! Chlebek, widzę, że się kończy, u Walkowiaka mają teraz taki dobry orkiszowy, kupię pani; coś jeszcze? Mleko, jaja, krakowską suchą i te serki ziarniste co zwykle? Zanotujemy, zanotujemy, jakaś kartka jest? Dziękuję, czyli: chleeeebek, mleeeeeeko, kraaaakowska, a właśnie, musztardę pani jeszcze ma? Ketchup? Dobrze, ketchup dopiszemy.

Niecałe dziesięć minut później naczynia, wbrew woli ich milczącej właścicielki, były już pozmywane, dwa starannie zawiązane worki śmieci wspierały swoje pękate niebieskie brzuchy o ścianę, pralka wypełniała łazienkę dostojnym buczeniem, a pani Kasia – jej ciało rozpedzone, gotowe i chętne do działania – zainkasowawszy banknot z niebieskim lewym profilem Kazimierza Wielkiego, zawiązała buty, ucałowała sąsiadkę raz jeszcze, po czym zniknęła w czeluściach pachnącej płynem Clean Magic klatki schodowej.

Przez cały gwałtowny pobyt pani Kasi w mieszkaniu w głowie Izabeli brzęczała nieznośnie jedna myśl: poprosić o tę cholerną lupę czy nie poprosić? Poprosi – zdobędzie upragniony przedmiot, który otworzy przed nią kapryśną bramę wspomnień, ale jednocześnie zdradzi się, przyzna do postępującej ślepoty, obnaży wyrwę w systemie obronnym mieszkania; nie poprosi – zachowa pozory panowania nad własnymi zmysłami, ale jednocześnie nie wiadomo na jak długo pozbawi się możliwości powrotu do czterdziestego szóstego, skazując się na grzęźnięcie w nieznośnej czerni niepamięci.

Pani Kasia poszła, dylemat zniknął, lupa jak widmo, a Izabela wściekła na siebie, na sąsiadkę, a przede wszystkim na wnuka, który mógłby kiedyś przyjechać, odwiedzić i kupić jej tę zasraną lupę. Włączyła telewizor i zapadła się w fotelu, udając sama przed sobą, że jej na wspomnieniach z czterdziestego szóstego zupełnie nie zależy.

Nie było jeszcze jedenastej, a przed jedenastą w telewizji lecą programy, których scenarzyści muszą masowo umierać ze wstydu, inaczej sobie tego Izabela nie wyobrażała; na ekranie dwuwymiarowe, kolorowe popiersia z uśmiechami naciągniętymi na ponure gęby zabiegały o uwagę, a w głowie nic tylko: lupa, lupa, lupa. Skoro nie ma lupy ani innego sposobu, trzeba będzie przypomnieć sobie, żadnych ułatwień w postaci powieści-pamiętników, przecież do cholery nie jest jeszcze tak stara, żeby nie pamiętać takich rzeczy. Byli u Mikołaja, tak, bracia się tam pobili, owszem, wrócili później do domu, ona i on, ona i Kazimierz, Kazimierz Człapka, wrócili więc, było już bardzo późno, gdzie tam późno, wcześniej było, bo to już prawie ranek, tak, teraz pamięta, położyli się, a potem...

A potem...

A potem...

Nic. Ani śladu wspomnienia, ktoś jej zredagował życie, wymazał to, co by się mogło nie spodobać, usunięto, wycięto, wyrwano, bo jak inaczej wytłumaczyć, że wszystko inne pamięta, że Karolka pamięta, że małżeństwo, córeczkę, jej bunt za buntem i całonocne załamywanie rąk nad tym małym diabłem, że wnuka nawet pamięta, jego narodziny i pierwsze dni w szkole, te prawie trzy lata, które przemieszkał u niej, bo w domu się nie dało, tak, tak, to wszystko pamięta, ale w czterdziestym szóstym dziura.

Przyciskiem na pilocie spuściła czarną kurtynę na telewizorowych błaznów, świadomych i nieświadomych własnego błazeństwa, na te białe uśmiechy, czyste kuchnie, skuteczne tabletki i rodziny tak szczęśliwe, że chciało się rzygać.

Mogłaby się pomodlić.

I zaraz śmiech, tak, to by było dopiero, ona i splecione dłonie, wargi mrużące bezgłośnie prośby i błagania, kręgosłup zgięty jak u zjeżonego kota, o tak, to by dopiero było. Wyrwała się z miękkich objęć fotela i po krótkiej, uwłaczającej walce z grawitacją ruszyła w stronę łazienki, uśmiechając się szelmowsko, a kiedy wychodziła z pokoju, zerknęła na stary krzyż, który nie wiedzieć czemu od lat towarzyszył porcelanowej zastawie za drzwiczkami oszklonej gablotki. I przystanęła nagle, rażona tym widokiem, uśmiech spelzł jej z twarzy, krzyżyk, tak, krzyżyk, coś było z tym krzyżykiem od Mikołaja, zaraz, pomarszczone ręce chwytają się futryny, zaraz, nie ruszać się, nie rozpraszać, ten krzyżyk jakąś rolę na pewno wtedy odegrał, zaraz, ale jaką – tego już z szuflady pamięci za nic wygrzebać nie mogła.

Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzała w myślach, co z tym krzyżykiem, co z nim – na pewno wtedy, w ruinach, nie wzięła go od Mikołaja, to pamięta doskonale, nie wzięła, ale skoro tak, to jak go mogła wiele lat później ofiarować Ignacemu, wcisnąć mu go w małą dłoń tego dnia, kiedy



powinien mieć Pierwszą Komunię, ale nie miał? Tak, to w tym musiało tkwić sedno sprawy, to od tego rozwinie się kłębek ze wspomnieniami, to tu należy zacząć kopać.

Ze spodniami dresowymi opuszczonymi do kostek, z nagimi łydkami pociętymi sinozieloną siatką żyłaków, z łokciami opartymi na kolanach i białą klapą sedesu wbita w plecy skupiała wszystkie myśli na tym małym przedmiocie, na złotym krzyżyku, od którego wszystko teraz zależało.

Był zwyczajny, pospolity, mógł mieć najwyżej dwa, trzy centymetry długości, jedno z ramion zaszło...

...matem, a czas prawie zupełnie zamazał próbę znajdującą się na odwrocie. Noc nie chciała się skończyć, serce nie zamierzało zwolnić galopu, sen najwidoczniej postanowił nie pojawiać się w najbliższym czasie, a głowa nie przestawała pulsować od natrętnych pytań: ile w tym wszystkim było żartu, a ile ukrywanej powagi, ile autentyzmu w ławkowej rozmowie rozciągniętej na długie godziny, ile uśmiechu w uśmiechach i ile zgrywy z niego samego, bo może cała ta randka była jedną wielką zgrywą?

Bawił się tak złotym krzyżykiem i wsiąkał w zalegającą wokół ciemność, aż w końcu, nad ranem, zasnął na kilka godzin. Przebudził się spocony, wstał, zapalił i zgarbiony powłókł się do kuchni.

Wisiał nad białobrazową miską, w której kilkadziesiąt cynamonowych płatków tonęło w odmętach dwuipółprocentowego mleka, i grzebał łyżką w tej coraz bardziej miękkiej brei, usiłując wywołać w sobie choćby cień głodu. Co jakiś czas spoglądał na telefon służbowy, eksponujący informacje o dwóch nieodebranych połączeniach, z których jedno nadeszło około dziewiątej, a drugie jakoś wpół do dwunastej – zerknął na zielone cyfry utkwione w czarnym rogu mikrofali: trzynasta dwadzieścia dziewięć.

Pokiwał głową, przemieszał płatki raz jeszcze, po czym wylał je do kosza na śmieci i podszedł do okna. Ręce zaciśnięte na brzegu parapetu, czoło

wsparte o przyjemnie chłodną szybę, wzrok wbity w pęknięcie na długiej wstędze asfaltu. Stał tak minutę, dwie, pięć, aż zmęczył się tym stanem i wrócił do pokoju, opadł ciężko na krzesło, wyłuskał z paczki papierosa, odsunął płachty papieru, na których widniały wciąż niewykorzystane algorytmy wczorajszej randki, i sięgnął po laptop.

Wydawało mu się, że nie zostawiał go na stole, że kiedy wychodził z mieszkania, na blacie rozpościerały się tylko zapisane, połączone ze sobą kartki, a komputer leżał na podłodze, na pewno na podłodze – trzeba będzie Brunonowi, jak tylko wróci do domu, stanowczo oświadczyć, żeby nie wchodził do jego pokoju; tak, stanowczość, stanowczość, powtarzał sobie, uruchamiając komputer i przeglądając zdjęcia Ady, a potem przejrzał je ponownie i rzucił się na łóżko, odblokowując telefon: obydwa nieodebrane połączenia były od kierownika.

Kiedy chciał już odłożyć telefon na szafkę, poczuł rozchodzącą się po dłoni wibrację, w urządzeniu wiadomość, a wraz z nią w głowie kawalkada myśli: kierownik żądny wyjaśnienia nagłej i jakże bulwersującej nieobecności, zwolnienie dyscyplinarne jako jedyny słuszny wymiar kary, do tego obowiązkowo wizyta w mieszkaniu i kilka gorzkich słów na temat sprawionego zawodu, zmarnowanej szansy, wstydu przyniesionego firmie i braku szacunku, za który prędzej czy później zawsze trzeba płacić, a podczas tej rozmowy, prowadzonej w proggu, nagła obecność Kotleta na klatce schodowej i jego kpiący uśmieszek, tak, pamiętam cię, wiem, jaki jesteś, i wiem teraz, gdzie mieszkasz, Kotlet znika, a po chwili przyprowadza rodziców Ignacego: matka w szerokich spodniach i chuście na głowie, ojciec w tenisówkach, obcisłych džinsach i wyblakłej koszulce, oboje kręcą głowami i z politowaniem powtarzają: „I co ci z tego przyszło?”.

Znieczulony na najgorsze, wyświetlił na ekranie treść wiadomości, nie od kierownika, od Ady, najchętniej zlizaby słowa z ekranu, przepisał je, wytatuował na podeszwie stopy, to jego, to tylko jego: „Cześć. Nie wiem jak tobie, ale mnie się wczoraj podobało. Jeśli masz ochotę, to możemy się jeszcze spotkać, tylko wyszła mi teraz jedna sprawa, którą muszę rozwiązać. Mam nadzieję, że to się szybko wyjaśni i wtedy się do ciebie odezwę. Dzięki za wczoraj. Ada”.

Z trudem powstrzymał zrodzone nagle pragnienie przepisania całego tekstu na komputer i rozbicia go na poszczególne zdania, wyszukania synonimów składających się na nie słów, rozlanie pod każdym ze wszystkich możliwych wariantów interpretacji, uspokoił się, przeczytał jeszcze kilka razy, zamknął oczy i powtórzył z pamięci.

Opracowywanie odpowiedzi zajęło mu czterdzieści minut, kolejne wersje esemesa rozrastały się w głowie i na ekranie komputera, powtarzane po raz setny słowa przestawały już trzymać się swoich własnych znaczeń, odrywały się od nich, zyskując nowe, zdania, wypowiedane na głos po raz dwudziesty, trzydziesty, potworniały nagle, przestając spełniać swoje funkcje, aż w pewnym momencie Ignacy zrozumiał, że cokolwiek wybierze, będzie to brzmiało jak bełkot, frankensteinowskie monstrum pozszywane ze słów trupów, tworzące odrażającą całość.

A jeśli nie napisze nic, to co pomyśli sobie o nim Ada, co przyjdzie jej do głowy w czasie oczekiwania, kim on sam stanie się w jej oczach? Lawina myśli: taki, taki albo jeszcze inny – trzeba było koniecznie, cokolwiek, najlepiej krótko, nie narażając się na zbędne ryzyko, ale koniecznie, koniecznie napisać!

Więc krótko. Króciutko. Tyci.

„OK”.

Nie.

„Dobrze”.

Nie.

„Dobrze, poczekam”.

Nie.

„Dzięki za SMS, powodzenia, czekam”.

Też nie.

„Trzymam kciuki i mam nadzieję, że wszystko pójdzie po twojej myśli”.

Nie, nie i jeszcze raz nie!

Kolejne próby odpowiedzi znowu jak lewiatany, jeden tłustszy od drugiego, potwory matrioszki, mogące zjadać się nawzajem: szósty pożerający piątego, siódmy szóstego, setny dziewięćdziesiątego dziewiątego. Albo się wyrwie, albo nigdy nic nie napisze, prędzej utka z tych niedoszłych odpowiedzi kronikę swojego obłędu, który – nie miał co do tego większych wątpliwości – czekał tylko na taką okazję.

„OK”.

Wysłać, nie wysłać, wysłać, tak, wysłać, tylko chociaż ze dwa słowa, żeby nie tak sucho, żeby nie pomyślała, że to na odczep się, ale zaraz z dwóch słów cztery, z czterech osiem, z ośmiu jeszcze więcej, ta sama sytuacja co wcześniej, oczy już bolą, kark zdrętwiały, przekleństwa mamrotane coraz głośniej i z coraz większą złością, nagle wysłał, palec na przycisku, dwuliterowy respons poszybował do Ady, telefon na koldrę, twarz ukryta w dłoniach. Cały spływał potem.

W nocy nie spał, pił kawę za kawą, palił papierosa za papierosem, oglądał film za filmem, byle tylko nie myśleć, nie dopuszczać do siebie wstydu po tym żalonym „OK”, po tym nędznym ogryzku wiadomości, po którym odpowiedź już nie nadeszła, bo i jaka miałyby nadejść?

Z rana ni stąd, ni zowąd napadły go myśli o zabarwieniu może nie pozytywnym, ale na pewno nieporównywalnie bardziej pogodnym niż te,

z którymi mocował się ciemną nocą. Myśli te – jak to zwykle pogodne myśli mają w zwyczaju – wystąpiły licznie, a każda z nich okazywała się nietrwała; ustępowały jedna drugiej, przeganiały się, zamieniały, przechodziły ta w inną i z powrotem, skutkiem czego ogólny nastrój utrzymywał się na satysfakcjonującym poziomie, a zarazem żaden konkretny pomysł w głowie nie pozostawał. Z determinacją człowieka na krawędzi albo takiego, któremu do bycia na krawędzi blisko, chwycił się jednak Ignacy tego dobrego samopoczucia i jął wykręcać je niczym ścierkę, mocniej, mocniej i mocniej – w nadziei, że może coś konkretnego wreszcie skapnie.

Starania wkrótce zostały mu wynagrodzone, bowiem stanowczość wobec nagłej zmiany nastroju zaowocowała pomysłem, który mógł pewne rzeczy ułatwić, a może nawet zupełnie wyprostować, mianowicie Ignacy postanowił, że załatwi sobie zwolnienie lekarskie. Kropla geniuszu zawarta w tym niespodziewanym postanowieniu dała mu siłę na szybki prysznic, szybką kawę, krótki, zwycięski pojedynek z żelazkiem, ubranie się i ochocze wyjście z domu. Klinika Luxmedu oprócz zielonego logo miała również recepcjonistki w zielonych fartuchach, zielone ściany i wiszące na nich obrazy, na których w pełnym słońcu lśniły malownicze zielone pagórki i lasy. Siedząc u końca sterylnie czystego korytarza, wpatrując się czujnie w uwieszony nad drzwiami lampion z byczym napisem NIE WCHODZIĆ, Ignacy rozważał jeszcze kwestię, czy korzystniej będzie symulować przeziębienie, czy może jednak grypę jelitową. Wnioskując na podstawie posiadanego – wątlego, bo wątlego, ale zawsze – doświadczenia, uznał, że przewidywany czas rekonwalescencji w przypadku tego pierwszego wygrywa, i to ze sporą przewagą, zatem podjął decyzję, iż cierpi na uciążliwe przeziębienie.

Dwadzieścia minut później triumfalnym krokiem opuszczał przysadzisty budynek kliniki, dzierżąc w dłoni zdobyte z zadziwiającą łatwością zwolnienie, które nie dość, że zapewniało mu wolność do końca tygodnia, to objęło też wstecznie poniedziałek i wtorek, które Ignacy uważał już za stracone. Zdążył ująć kilka kroków, kiedy telefon rozwibrował się dwukrotnie w kieszeni, po czym zastygł w bezruchu, a wyciągnięty na światło dzienne objawił treść wiadomości:

„Jeśli możesz, przyjedź natychmiast. To bardzo pilne. Proszę. Mama”.

Zdumiewająca wiadomość, jako że mama Ignacego nie podpisywała się nigdy „mama”, tylko „Ania”, słowo „proszę” nie należało do jej ulubionych, a esemesów właściwie nie pisała.

Możliwości więc było kilka. Albo rodzice Ignacego wpadli na kolejny pomysł mający na celu wyrwanie syna z kleszczów nudnego życia, albo założyli się ze znajomymi o to, jak będzie brzmiała odpowiedź (z tego co pamiętał, stawka w podobnych zakładach bywała wysoka), albo mama napisała esemesa w stanie dalekim od trzeźwości; ten ostatni wariant wydawał mu się najbardziej prawdopodobny. Schroniwszy się przed wiatrem pod daszkiem autobusowego przystanku, próbował przejrzyć intencje oddalonych o trzysta kilometrów rodziców, ale zanim zdążył na dobre poświęcić się analitycznym rozważaniom, poczuł, że gdzieś w brzuchu rodzi mu się kolczasty kłęb złości i tnie od środka całe ciało, przenika aż do palców i do głowy. Zacisnął zęby i powoli, metodycznie napisał odpowiedź: „Myślę, że nową serię rozbieranych zdjęć, film nagrany podczas imprezy albo wieżę ze skradzionych kart bankomatowych możecie pokazać mi kiedy indziej”.

Wstał z ławki, schował telefon i różnym krokiem wyszedł spod wiaty. Odpowiedź nadeszła chwilę później.

„To nie tak, nie rozumiesz. Przyjedź”.

Zaciskając zęby coraz mocniej i mocniej, pokręcił głową, wziął kilka głębokich wdechów, chłodne powietrze wypełniło mu płuca, a palce poruszały się wolno i spokojnie: „Nie mam czasu, nie przyjadę”.

Odpowiedź nie nadeszła ani po minucie, ani po dziesięciu, ani po godzinie; Ignacy dotarł do domu, zaparzył mocną kawę i zjadł połowę opakowania alpejskiego mleczka, a wszystko to zerkając na telefon: czy się przypadkiem nie zawiesił, czy bateria odpowiednio naładowana, czy na pewno jest zasięg?

Po godzinie i czterdziestu minutach od wysłania wiadomości skapitulował i stojąc na balkonie, owiany chmurą papierosowego dymu, napisał kolejną: „Mnie naprawdę już takie pomysły nie bawią”.

Pół godziny i nic. Nic.

Stał przed szafką i przez chwilę wpatrywał się we wznoszące się na niej chybotliwe wieże z książek; podniósł ciężkie pudełko z wielopłytkową kolekcją spaghetti westernów – świąteczny prezent od babci – i zgniótł nim pędzącego po stole robaka, a potem walił o blat tak długo, aż opakowanie rozleciało mu się w rękach. Zdyszany, wrzucił do plecaka kilka komiksów wybranych na chybił trafił z podłogi, trzy paczki papierosów, nadgryzioną czekoladę i po pięciu minutach siedział już w taksówce, a trzy kwadranse później w pociągu relacji Poznań – Gdynia.

W połowie drogi odłożył komiks, otwarty od początku podróży na pierwszej stronie, napisał esemesa o treści „Przysięgam, że kiedyś rzucę tym pierdolonym telefonem o chodnik” i wysłał go do siebie. A potem zrobił to jeszcze raz. I znowu. Kolejne wiadomości lądowały w skrzynce odbiorczej, a Ignacy z niedowierzaniem ślizgał się po niejasnym wspomnieniu dobrego nastroju, który nawiedził go z rana, a po którym teraz nie było ani śladu. Westchnął głośno, zwracając uwagę siedzącej naprzeciw dziewczyny, zatopionej w ekranie maleńkiego laptopa, po czym

wyszedł na korytarz i wybrał numer do babci; pnie drzew za szybą zlewały się w ciemną smugę, a przerywany sygnał wwiercał mu się w ucho.

Jeden, drugi, trzeci, odbierze czy nie odbierze, czwarty, piąty, może śpi albo jest w łazience...

...szósty, siódmy, ósmy i ochryple, rozciągnięte „słuuuucham?”.

– Cześć, babcia, Ignacy z tej strony.

– Tak myślałam, że to może ty.

– Nie rozmawiałaś, babcia, przypadkiem ostatnio z rodzicami?

– Proszę?

– Z rodzicami. Czy nie rozmawiałaś.

– Głupie pytanie.

– Nie no, po prostu myślałem, że może akurat...

– Nic się, Ignasiu, w tej kwestii nie zmieniło i raczej nie wierzę, żeby się miało zmienić.

– No rozumiem. A jesteś, babcia, dzisiaj wieczorem w domu?

– Nie, wychodzę potańczyć. Pewnie, że jestem. Dawno cię nie było, to nie wiesz, że ja się z domu od paru miesięcy nie ruszam. Czekam, aż mnie nogi nie będą tak boleć i aż mi przejdą te kołowacizny, zawroty głowy.

– Bo będę w Gdańsku, wpadłbym na chwilę pogadać.

– Oj, no to przyjeżdżaj, oczywiście, przyjeżdżaj, tylko poczekaj, ciastek chyba żadnych nie mam, pani Kasia mi teraz nie kupowała, zdaje się... czekaj, czekaj...

– Dobrze, babcia, to ja kupię jakieś ciastka.

– No tak, no tak, to kup, ja ci zwrócę, kup jakieś dobre, takie jakie ty lubisz. A o której przyjedziesz?

– No właśnie nie wiem, pociąg jest na miejscu o dziewiętnastej osiem, ale muszę coś u rodziców załatwić i nie wiem, ile mi tam zejdzie. Pewnie



bym był tak raczej późno, nie wiem, koło dwudziestej pierwszej? Powrotny mam dopiero o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć. Nie za późno?

– Nie, nie za późno. Przyjeżdżaj.

– No to dobra, to jakby coś się miało zmienić, będę dzwonił.

– A, Ignaś? A mogę cię o coś poprosić?

– No pewnie.

– Kup mi, proszę, lupę.

– Lupę?

– Tak, lupę, wiesz, taką najlepiej dużą, żeby mocno przybliżała.

– Lupę, lupę... a gdzie można taką lupę kupić?

– Nie wiem, może rodziców zapytaj?

– Zapytam. No to do zobaczenia.

– Do zobaczenia. I pamiętaj o tej lupie.

– Będę pamiętał. Pa.

Ciągły sygnał zastąpił głos wnuka, słuchawka stuknęła o obudowę telefonu, a Izabela, wsparta o ścianę, popędziła do pokoju – należy wszystko przygotować, tak znienacka przyjeżdża, no, ale dobrze, trzeba posprzątać, herbatę jakąś przyrządzić, a może kawę, dlaczego nie spytała, co woli, powinna była spytać, dobrze, zrobi jedno i drugie, ale zaraz, czy na pewno pani Kasia nie kupowała ostatnio ciastek? Z pokoju do kuchni, szybciej, szybciej, łapcie sunące po podłodze, dłonie wędrujące po ścianach, jakby chciały upewnić się, że mury wokół nadal istnieją, szlafrok niczym płaszcz maga, a sam mag zgarbiony przed rzędem szafek: zdoła ciastka wyczarować czy nie zdoła?

Poszukiwania nie przyniosły żadnego owocu poza zupką błyskawiczną, której kiedyś, w momencie wielkiej potrzeby, za nic nie mogła zlokalizować, poza tym nic, żadnych ciastek, sezamków, nawet paluszków nie było – przysięgła sobie, że nie dopuści już nigdy, aby brakowało

w domu paluszków – przygotowała więc trzy szklanki, w dwóch starannie umieściła torebki z herbatą, na dno trzeciej zrzuciła dwie czubate łyżki sypanej, zagotowała pełen czajnik wody i usiadła przy stole. Co jeszcze?

Oparła ręce na blacie stołu i podźwignęła z krzesła ciężkie ciało, odczekała, aż ciemne płatki wirujące przed oczami rozpląną się powoli, po czym podreptała do pokoju, przetaczając wzrokiem po zarzuconym ubraniach fotelu, rozgrzebanym łóżku i stole niemal ugiętym pod ciężarem gazet i książek.

Rzuciła się w wir pracy, zła na własną powolność i uporczywe bóle w biodrze; ubrania w kostkę i do szafy, pościel do komory w łóżku, narzuta, gdzie ta narzuta – pół godziny strawione na poszukiwaniu narzuty – potem sprzątanie ze stołu, książki na półki, gazety w róg pokoju, tam nikt ich nie zauważy, na koniec odkurzacz i mozolne przesuwanie się z miejsca na miejsce po całym mieszkaniu.

Skończyła kwadrans przed ósmą i spocona, z nogami zdrętwiałymi ze zmęczenia opadła na wersalkę, tylko chwila, chwilka na odsapnięcie i zaraz wróci do pracy, jeszcze kurz trzeba zetrzeć z mebli, łazienkę umyć, sedes koniecznie, w kuchni dobrze byłoby chociaż z grubsza ogarnąć, zaraz, zaraz wstanie. Leżała, spoglądając w ścianę i zastanawiając się, co tu jeszcze należałoby zrobić, może kolację jakąś, tak, powinna przygotować kanapki, a najlepiej coś na ciepło, może kiełbaskę ugrzać, chociaż skoro te ciastka, to jak potem kolację, chyba że wcześniej...

Dźwięk domofonu brutalnie wyrwał ją ze snu; w pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje, leżała i szeroko otwartymi oczyma rozglądała się wokół siebie, próbując rozpoznać otaczające ją przedmioty, dopiero po dłuższej chwili, popędzana kolejnymi wrzaskami domofonu, zsunęła nogi na ziemię i poderwała się z łóżka, raz, dwa, trzy, cztery, litania przeciw

ciemnym plamom odmówiona, można iść, tylko kto to może być o tej porze?

W słuchawce trzaski i szumy, znowu coś się zepsuło, wcisnęła przycisk, drzwi na dole grzmotnęły, a na schodach dało się słyszeć szybkie, regularne kroki. Dopiero kiedy przysunęła się do drzwi i zerknęła przez szklane oko judasza, przypomniała sobie wszystko – szybko przekręciła klucz w zamku i z uśmiechem zaprosiła wnuka do mieszkania.

– O, babcia już w szlafroku – powiedział Ignacy, całując ją w policzek. – Mam nadzieję, że jednak nie przeszkodziłem.

– Chryste! No patrz!

Zapomniała się przebrać, tyle czasu przeleciało jej przez palce, tyle minut zmarnowanych na spoglądanie w ścianę, a ona w szlafroku, włosy niezrobione, skarpety niczym wełniane pomniki wstydu – zupełnie jak stara, niedołączna baba!

Ignacy podał jej ciastka i usiadł na wersalce, Izabela wpadła do kuchni, zaparzyła dwie herbaty i kawę, przyniosła wszystko do pokoju, co jeszcze, co jeszcze, jeszcze cukier, znowu więc biegiem do kuchni, a potem jeszcze raz – po łyżeczkę. Wreszcie zapadła się w fotelu i ze szklanką herbaty opartą na podłokietniku zaczęła wpatrywać się we wnuka. On sztywny, bębniący rękoma o uda; usiłował nadać swojej twarzy naturalny wyraz, czego jedynym efektem był rozciągnięty między policzkami uśmiech, i próbował wytrzymać spojrzenie babci, każda taka próba kończyła się jednak fiaskiem – wzrok Ignacego wędrował po meblach, ścianach, podłodze i słojach na nodze stojącego obok krzesła.

Izabela odbiła uśmiech wnuka i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, niebezpiecznie zbliżając się do granicy oddzielającej uśmiech od drapieżnego wyszczerzania, po czym złożyła dłonie na podolku i wygodnie wyciągnęła przed siebie nogi, a wszystko to nie odrywając wzroku od oczu

gościa. Minęło dziesięć, dwadzieścia sekund, cała minuta i całe dwie, Ignacy zwijał się w sobie jak pół kielbasy na patelni, stukał dłonią o udo, wpatrywał się w fakturę dywanu, nabierał powietrza w płuca i wypuszczał je głośno.

– I jak się czujesz, babcia? – zapytał w końcu, częstując się ciastkiem.

– A jak ja się mogę w tym wieku czuć, Ignas? Byle tylko chodzić, to już dobrze. Powiedz lepiej, co u ciebie. Do rodziców przyjechałeś?

– A, nic ważnego. Nieporozumienie.

Izabela pokiwała głową, westchnęła i sama sięgnęła po ciastko, przeżuła je starannie i powtórzyła cicho:

– Nieporozumienie...

– To nie tak, tym razem to wina kolegi, mojego kolegi. Zrobił sobie ze mnie żart, porozmawiam z nim, jak wrócę. A u rodziców wszystko dobrze, to znaczy, jak zawsze. Jak przyjechałem, ojciec akurat coś rzeźbił...

– Rzeźbił? – przerwała mu, a Ignacy wzruszył ramionami.

– A mama wyglądała dobrze.

– Ona zawsze wyglądała dobrze – Izabela się uśmiechnęła. – Nawet jak wszystko szło źle.

– Mówiła, że chcą wziąć kredyt na jakąś działkę nad jeziorem. Rekreacyjną.

– Tak, w ciągu ostatnich pięciu lat twoja mama odezwała się do mnie tylko raz, zadzwoniła pożyczyć pieniądze, właśnie na jakąś działkę. Aż dziwne, że im jeden pomysł tak długo po głowie chodzi.

– Wyglądała dobrze – powtórzył Ignacy, wstał i wyjrzał przez okno.

– A jak w pracy? – Izabela trzymała tę konwersację za włosy i nie dawała jej utonąć. – Jak sobie radzisz?

– W pracy wszystko w porządku, tak. Super.

– Dają ci tam żyć? W telewizji ciągle mówią, jacy to teraz krwiożerczy są pracodawcy. Wczoraj chyba nawet był taki program.

– Nie, nie przemęczam się zbytnio. – Ignacy usiadł, ręce roztelepane wokół kolan, noga w górę i w dół, w górę i w dół, a twarz pod władaniem tiku. Chwytał ciastko i zaczął obracać je w dłoniach. – Dobrze mi się pracuje.

– No to ładnie, to ładnie. – Od początku rozmowy w jej głowie odbijała się echem jedna i ta sama myśl: „Czy on tę lupę gdzieś chowa, zapomniał dać, czy może w ogóle nie kupił?”, ale nic na razie nie wspominała, niech to nie brzmi tak, jakby jej tylko na tym zależało. – A twój przełożony to nie jest ten jakiś kolega ojca?

– Tak, kolega.

– Ja się zawsze zastanawiałam, skąd twój ojciec ma takich kolegów. On sam chyba nigdy nie miał na sobie garnituru...

– Ja tam nie wiem. – Ignacy wzruszył ramionami.

Kolejne zdania padały, ale równie dobrze mogłyby nie padać, pytanie i odpowiedź, pytanie i odpowiedź, wszystkie błahe, dalekie od tych prawdziwych, które pozostawały niezadane, a pustoszejąca paczka ciastek niczym klepsydra nieubłaganie odmierzała czas. Coraz ciemniejsza noc napierała z zewnątrz na szyby, cisza szczelnie wypełniała miejsca między kolejnymi słowami, osiadając ciężko na wszystkim dookoła. Izabela czuła, że wzbiera w niej złość – czy on z niej sobie żarty robi, czy celowo wyczekuje, igra z nią, czekając, aż sama zapyta o lupę? Nie, nie zapyta, woli dostać ją od niego choćby i na sam koniec, w korytarzu, ale nie będzie o nią prosić i żebrać. Powoli, z minuty na minutę, z kwadransa na kwadrans dwudziesta druga przedzierzgnęła się w dwudziestą trzecią, Ignacy zjadł ostatnie ciastko, poklepał się po udach i westchnął głęboko.

– No, miło się rozmawia, ale będę musiał lecieć. Pociąg mam niedługo.

Przez chwilę Izabela kiwała głową z uśmiechem przyklejonym do obwisłej twarzy, po czym wyrwała się z miękkich objęć fotela, odczekała chwilę i ruszyła za Ignacym do przedpokoju. Wiązanie butów, wkładanie kurtki, frazesy i frazesy, wreszcie trzy buziaki na pożegnanie – w prawy, w lewy, w prawy – już się zbiera, zaraz wyjdzie, uśmiech tylko, trzaśnięcie drzwiami, wyszedł.

Nie kupił jej lupy, nie wspomniał o niej nawet, zapomniał, wyszedł jakby nigdy nic i zostawił ją tak o, bez słowa przeprosin ani wyjaśnienia, sam na sam z dziurawą szufladą przemieszanych wspomnień.

Pędem do okna, firanka na bok, twarz przyciśnięta do szyby, ręce wlepione w gładką powierzchnię jak raki, bo może to taki żart z jego strony, idzie, idzie zamyślony, głowa zwieszona, ręce w kieszeniach, może zaraz przystanie, wyciągnie z kieszeni lupę, obróci się do okna z uśmiechem, aby zaraz pobiec z powrotem schodami, wpaść do mieszkania i podać jej lupę: „No co ty, babcia, myślałaś, że zapomniałem?”. Izabela słyszy swój oddech, no, nie odchodź za daleko, już, już teraz, odwróć się wreszcie... Nagle Ignacy przystaje, sięga do kieszeni, w piersi Izabeli serce grzmoci jak wściekłe, on wyciąga rękę, coś małego błyszczy w niej, Izabela z ulgą przykleja się już cała do szyby i uderza w nią kilkakrotnie. Wnuk podnosi wzrok i widząc ją, uśmiecha się, macha energicznie, po czym pochyła się nad jej lupą, zbliża do niej usta, błyska ogień, papieros wędruje do ust, tak, papieros, nic innego – jej lupa jest tylko zwykłą paczką papierosów.

Bezwiednie uniosła rękę i poruszyła nią kilkakrotnie niczym marionetka w dłoniach pijanego lalkarza, zaraz też Ignacy poszedł dalej, nie odwracając się już i jakby nigdy nic...

...zniknął za rogiem. Wiatr wydawał się dąć ze wszystkich stron naraz, a pomazane żółtym światłem latarni chodnikowe płytki zachęcały do uwolnienia z siebie nerwicy natręctw; Ignacy poddał im się na chwilę,

unikając stąpania po łączeniach, szybko jednak głowę wypełniły mu myśli dotyczące Brunona. Gdańsk przepływał mu przed oczami jak widmo: powolne taksówki, billboardy, strzelisty dworzec kolejowy i zmęczona kobieta za szybą kasy biletowej, ocknął się dopiero na słowa:

– Siedemdziesiąt złotych i pięćdziesiąt groszy, pan wie, że to jest z przesiadką w Inowrocławiu?

– Proszę? – zapytał, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy i próbując nie zerkać na monstrualne przedramiona kasjerki leżące na blacie biurka.

– Przesiadka. – Kobieta poczęstowała go szczerym uśmiechem. – Jest pan w Inowrocławiu o czwartej czternaście, a do Poznania ma pan o piątej dwadzieścia dziewięć.

– Aha, przesiadka... rozumiem... Przepraszam, ile to było?

– Siedemdziesiąt złotych i pięćdziesiąt groszy proszę pana.

Zapłacił, wybąkał podziękowanie, zaopatrzył się w aromatyczną, choć niezbyt dobrą kawę, po czym usiadł obok mężczyzny w garniturze i na powrót pogrążył się w rozmyślaniach. Tak, dał się złapać na numer stary jak świat – Brunon zamienił mu opisy kontaktów w telefonie, numer do mamy opatrzył podpisem „Brunon” i odwrotnie; zgoda, nabrał go po całości, ale po co? Po co współlokator, z którym łączyły go stosunki może i niezbyt przyjacielskie, ale z pewnością poprawne, miałyby wysłać go w bezowocną podróż przez pół kraju, po co miałyby kazać mu trwonić pieniądze na bilety i czas na przyrastanie do pociągowej kanapy? Nawet jeśli chodziło o żart – a było to na razie jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło Ignacemu do głowy – to nie wierzył, żeby Brunonowi odbiło na tyle, by pakować go w podobną sytuację. Nie, musiało istnieć jakieś inne wyjaśnienie.

Czas spędzony na ławce zlał się z czasem upływającym w przedziale, a ten z kolei płynnie przeszedł w czas odmierzany leniwą wskazówką

zegara na dworcu w Inowrocławiu; Ignacy mechanicznie wykonywał czynności, które wydawały mu się konieczne, a w głowie rozgrywał kolejne symulacje rozmowy z Brunonem. Wyobrażenia podsuwała mu najbardziej skrajne scenariusze, od wejścia do pokoju współlokatora w mundurze napoleońskim, z szablą i wyzywającym do pojedynku okrzykiem na ustach po podpalenie całej kamienicy i wysłanie zdjęć wyskakującego z okna Brunona do wszystkich, których znał, w tym Kotleta i Ady – zwłaszcza do Kotleta i Ady.

Po kilku kolejnych nieznośnie długich godzinach spędzonych przy szybie, za którą wstydliwie przemykały czarne wsie i dumnie przebiegały rozświetlone miasta, po trzech kolejnych kawach i dwóch rogalach z czekoladowym nadzieniem, po wybraniu wreszcie jednej z wersji rozwiązania Sprawy Brunona, którą zamierzał wcielić w życie, Ignacy wysiadł na dworcu w Poznaniu o godzinie siódmej szesnaście. Bebesząc kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy na kolejną kawę, trafił ręką na lupę, którą kupił w Gdyni dla babci i o której zupełnie zapomniał; westchnął tylko i wrzucił ją do śmietnika – piętnaście dziewięćdziesiąt pięć brzdęknęło o dno pustego kubła.

Do domu powlókł się jak widmo, nie czekał na tramwaj, tylko stawiał krok za krokiem, ciągnąc stwardniałe ciało na nieuchronną konfrontację ze współlokatorem, aż dotarł na miejsce, wspiął się po schodach, a tuż przed drzwiami adrenalina wprowadziła organizm na wyższe obroty. Wyjął klucz, nacisnął klamkę, otwarte, w głowie raz jeszcze planowany przebieg rozmowy, a na języku pierwsze słowa; wszedł, w mieszkaniu cisza, sprawdził pokoje – pusto.

Nalał do szklanki wody z kranu i opadł ciężko na krzesło w kuchni. Przez jakiś czas wpatrywał się w przezroczystą ciecz, jakby widział coś takiego po raz pierwszy w życiu, w końcu upił łyk – woda była zimna



i wstrętna – po czym ująwszy głowę w dłonie, rozplakał się głośno. Szlochając, zaczął walić otwartą dłonią w drewniany blat, a kiedy uspokoił się trochę – czekolada, czekolaaaada, czekoolaaaada – wstał, wylał wodę do umywalki i popędził do pokoju Brunona. Chwyć! leżący na łóżku laptop, uniósł go nad głowę i w tym samym momencie, kiedy pomyślał, że wreszcie, po raz pierwszy od dawna robi coś, co ma prawdziwy sens, kątem oka dostrzegł kartkę powieszoną po wewnętrznej stronie drzwi wejściowych do mieszkania.

*Ignacy, sorry za ten numer z Gdańskiem. Chyba przesadziłem.*

*Dzisiaj kumpel rzucił pomysł, żeby pojechać na snowboard w Alpy, no i zaraz jedziemy. Nie będzie mnie co najmniej dwa tygodnie, może więcej.*

*Za rachunki oddam ci, jak wrócę.*

*Nie radzę wchodzić do mojego pokoju, coś tam chyba śmierdzi.*

*Trzymaj się.*

*Brunon*

Ignacy przeczytał notatkę kilka razy, po czym poszedł do swojego pokoju, znalazł długopis, skreślił podpis Brunona i starannie naśladowując pismo współlokatora, napisał pod spodem „żałosny palant”. Za pomocą taśmy klejącej powiesił następnie kartkę nad łóżkiem Brunona, ale zaraz zerwał ją i popędził do punktu ksero, gdzie skopiował ją pięćdziesiąt razy; pół godziny później pięćdziesiąt kartek pokryło ściany pokoju Brunona.

Snowboard? W środku semestru? A zimowe buty w szafce w przedpokoju!?

Ignacy postanowił, że jeśli to się potwierdzi, jeśli ten błazen rzeczywiście gdzieś wyjechał, prześpi się którejs nocy w jego łóżku, obejrzy zdjęcia na laptopie i przeszuka szuflady chybotliwego biurka – tak, zrobi to, teraz go już na to stać.

Ale skoro tak, to po co właściwie czekać, mógł to zrobić zaraz, środa wyglądała, jakby stworzono ją wyłącznie po to, by ją przespać, zwolnienie lekarskie miał do końca tygodnia, a czas grał zdecydowanie na jego korzyść – wystarczy pogłośnić dźwięk dzwonka w telefonie i zasnąć, a być może jawie przywróci go obiecany telefon od Ady. Zsunął spodnie, koszulkę wysokim lobem posłał na biurko Brunona, skarpetki i majtki cisnął za łóżko, po czym wślizgnął się nagi pod kołdrę, czując na całym ciele chłód i przyjemne mrowienie.

Zasnął prawie od razu, rozciągnięty na twardym materacu, wtulony w płaską, ubitą poduszkę Brunona, z otwartymi ustami i rękoma rozrzuconymi szeroko na boki. Z klatki niósł się uspokajający dźwięk szczotki stukającej o kolejne stopnie schodów, za oknem powoli przepływały napęczniałe chmury.

Kolejne dni mijały leniwie, minuta po minucie, godzina po godzinie; jakby tylko leżały, przewracając się z boku na bok, jakby żadna siła na świecie nie mogła zagrozić ich kosmicznemu spokojowi. Ignacy wstawał o godzinach, o których nigdy wcześniej wstawać mu się nie zdarzało, po czym przechodził do swojego pokoju i siadał do malowania. Spod pędzla wyrastały mu kolejne wersje drzewa o gałęziach wbitych w ziemię, codziennie kilka nowych słońc zawisało nisko nad horyzontem, każdego dnia kolorowe kruki, stare, pozszywane gęby, odwrotniaki i całe ławice kalmarów wpływały na niebo rozciągnięte nad Niedźwiadami. Zaczął jadać na mieście, rozsmakował się w fast foodach i z gazetą przemierzał miasto, decydując się na konkretną jadłodajnię pod wpływem nagłego impulsu – wchodził, zamawiał danie, które wyglądało na najbardziej niezdrowe, i przelatywał wzrokiem kolejne strony gazety, napychając się do oporu. Książek prawie nie czytał, oglądał za to mnóstwo filmów, zaczął od *Gry złudzeń* z Bette Davis i Josephem Cottenem, zaraz potem włączył *La Stradę*

Felliniego, pierwszą noc spędził wpatrzony w hipnotyzujące oczy Silwany Mangano w *Złocie Neapolu*, a dalej już poszło: *Ludzie i wilki*, *Piękny maj*, *Czerwona oberża* i mnóstwo innych – dziwił się, ile filmów dziennie można obejrzeć, poświęcając na to nie więcej niż połowę wolnego czasu.

W sobotę zaczął myśleć o perspektywie poniedziałkowego powrotu w kleszcze zawodowej rutyny, nachodzić zaczęło go też pytanie, czy Ada nie milczy zbyt długo – a jeśli tak, to z jakich powodów? – i resztkami sił powstrzymywał się od wyściełania blatu biurka kartkami i rozrysowania wszystkich możliwych czy prawie niemożliwych ewentualności.

Niedziela opadła na niego dziwnie nagle – ciężka, przygnębiająca, bez nadziei na cokolwiek; chęć zemsty na Brunonie gasła powoli i nieubłaganie, Ada nie odzywała się już od tygodnia, filmów miał wyżej uszu, a perspektywa powrotu do pracy sprowadzała go na dno złego samopoczucia, ilekroć tylko zahaczył o nią myślami. Marzył o tym, by pozostać w domu jeszcze przez tydzień, jeden mały tydzień w zapachu farb, z jedzeniem na mieście i wieczorami rozpiętymi pomiędzy łóżkiem a monitorem; potrzebował tego, ale było mu wstyd iść po raz kolejny do lekarza, udawać chorobę, udawać, że nie wie, że lekarz wie, że on udaje, nie, to już było ponad jego siły. Nie wyszedł z mieszkania, godziny mijały, a on leżał w łóżku Brunona, przykryty po szyję, bezpieczny w nie swoim pokoju, odcięty od wszystkiego, i jadł kolejne proteinowe batony z zapasów współlokatora, wpatrując się to w sufit, to w szafę wnękową z pomazanym lustrem.

W nocy nie spał. Jadł. Wzdychał. Palił. Chodził po pokoju. Jakaś siła ciągnęła go na balkon, gdzie z rękoma opartymi ciężko o barierkę chciwie lustrował wzrokiem ulicę i chodniki, szukając znajomej sylwetki licealnego prześladowcy z tą samą niezdrową ciekawością, z jaką zagłąda się po pijaku w lufę nabitego pistoletu. Kotlet. Co on by sobie teraz pomyślał

o Ignacym, gdyby go nagle zobaczył, to chude widmo straszące z balkonu w środku nocy, zupełnie nieruchome, gdyby nie wahadłowy ruch czerwonego żądła papierosa. Ale czy Kotlet w ogóle go jeszcze pamiętał? Pamięć prześladowców jest nieporównywalnie krótsza niż pamięć ofiar, może więc nawet by go teraz nie poznał na ulicy, może nazwisko Ignacy Korzeń uleciało mu z pamięci na krótko po ukończeniu szkoły, bo i po co miałoby mu w głowie na dłużej pozostawać?

Wielokrotnie wyrzucał sobie, że tak bardzo zależy mu na opinii ludzi, którymi gardził, i sam tego oksymoronowego niemal fenomenu nie mógł pojąć; pragnął przecież, żeby Kotlet miał o nim jak najlepsze zdanie, chciał także, by podziwiał go, lubił i szanował znienawidzony Jurek z pracy, ten Jurek, któremu najchętniej nigdy ręki by nie podał i którym się tak brzydził.

Zaczął delektować się myśleniem o tym, co by było, gdyby nie poszedł jednak do pracy, gdyby zasnął wreszcie nad ranem i nie wychodził z łóżka co najmniej do południa, gdyby na obiad zamiast drożdżówki z budyniem lub z kruszonką zamówił sobie pizzę, gdyby nie wrastał powoli w wyprofilowane siedzisko biurowego krzesła, ale stał na balkonie tak jak teraz, leżał w pościeli, oglądał filmy albo czytał cokolwiek. Spróbował wyobrazić sobie minusy takiego rozwiązania – gasnąca cierpliwość szefa, ryzyko utraty pracy, a co za tym idzie płynności, narażenie się na bezrobocie i w końcu na ciąg rozmów kwalifikacyjnych; to tak jakby się zastanawiać nad skutkiem odpalenia samochodu: dziura ozonowa, globalne ocieplenie, wymrą gatunki zwierząt, a może nawet sam człowiek. No tak, wiadomo, ale żeby tylko z tego powodu nie odpalać auta?

Dociągnął żar do samego filtra i pstryknął palcami, posyłając niedopałek w dół, na pastwę wiatru, psów, podszew i obcasów, a w głowie natychmiast pleść się zaczęły warianty jego dalszych losów: wpadłszy do studzienki kanalizacyjnej, podziemnymi tunelami przepływa obok

wznoszonych przez bezdomnych czarnych pałaców; podniesiony przez dziecko trafia do mieszkania, a tam do pudełka ze skarbami, które opróżnione zostaje kilkadziesiąt lat później, w świecie opanowanym przez zarazę; przyklejony do buta podróżuje autostopem przez Europę, aby znieruchomić wraz z ciałem turysty okradzionego i zadżganego tuż po powrocie do rodzinnego kraju... Otrząsnął się z tych myśli, wrócił do uśmiechu, a potem zamknął balkon, wyłączył budzik w telefonie i zakopał się w pościeli Brunona – kilka minut później już spał.

Budził się powoli, jakby coś próbowało wyciągnąć go na jawę tak, by nie doznał szoku, dochodziło do niego coraz więcej dźwięków wsączających się do pokoju przez otwarte okno: najpierw odgłosy śmieciarki wybebeszającej kontenery kilka bloków dalej, potem stare techno, od miesięcy katowane bezlitośnie przez sąsiada z parteru, szum samochodów ściśniętych w dwa długie węże pełznące wzdłuż ulicy, wreszcie docierały do niego głosy ludzi rozmawiających na parkingu – wtedy otworzył oczy. Dochodziła dziesiąta, słońce przeświecało przez płaskie chmury, rzucone gdzieś na niebo, w pokoju było chłodno, a skręcone prześcieradło zwisało z łóżka, jakby chciało udowodnić Ignacemu, że jednak coś mu się musi śnić. Otworzył szerzej okno i wsłuchał się w monotony, hipnotyzujący bit; kiwając głową do rytmu, sprawdził telefon – żadnych nieodebranych połączeń, powlókł się więc pod prysznic i długo polewał ciało gorącą wodą, czując, jak schodzą z niego kolejne warstwy łączące go z pracą, obowiązkami, codziennością podzieloną na konkretne etapy, wszystko to odległe i bez znaczenia, tak małe, że aż absurdalne. Mokry wrócił do pokoju Brunona i na powrót zagrzebał się w łóżku, dziwiąc się, jak bardzo wszystko przestało go obchodzić, wszystko oprócz wyczekiwanego telefonu od Ady, choć tak naprawdę – jeśli miałyby pozostać ze sobą szczery – i to odpływało powoli za mgłą jego obojętności.

Wydawało mu się, że gotów byłby nawet stanąć na wysokości zadania, które dotychczas wydawało mu się nierealne: gotów byłby porozmawiać z szefem i rzeczowo, spokojnie wyjaśnić mu, iż nie jest już zainteresowany dalszym pielęgnowaniem korporacyjnego ogródka, że niepewność i biedę przedkłada ponad materialną stabilizację i umysłowe rozchwianie. Szef jednak nie dzwonił, nie dzwoniła też Ada; to już ponad tydzień, miała odezwać się, jak tylko z czymś się upora, czy więc to już ten moment, kiedy mógłby bez wstydu zadzwonić, zapytać, upomnieć się o swoje?

Leżał tak, przewracając się z boku na bok, zjadł ostatnie dwa batony proteinowe z zapasów Brunona i ze zdziwieniem stwierdził, że rzeczywisty poniedziałek w niczym nie odpowiada temu z nocnych wyobrażeń, że on sam nie znajduje w sobie ochoty na cokolwiek, że wyjście na obiad jawi się jako karkołomna wyprawa, pomysł obejrzenia filmu trąci beznadzieją, a leżenie w łóżku zaczyna męczyć.

Przebolał ten poniedziałek, przegryzł się przezeń, opierając się o brązową barierkę balkonu, zrastając się z kanapą naprzeciw migoczącego ekranu i spoglądając na mozolny ruch minutnika po lepkiej tarczy zegara. Kilkanaście razy na godzinę chwycił telefon z nadzieją, że w jego pamięci znajdzie wiadomość od Ady, to niemożliwe, wmawiał sobie, musiała napisać, pewnie brakuje zasięgu, coś się zawiesiło, wiadomość nadeszła, ale bez sygnału, może wreszcie operator zablokował ją przypadkowo – czy takie rzeczy były niemożliwe? czy to się nie mogło zdarzyć? czy ktoś mógł mu zagwarantować, że jeśli wiadomości nie ma, to jej na pewno, na sto procent nie ma?

Wieczorem postanowił, że wyjdzie z mieszkania, przespaceruje się do centrum, usiądzie w knajpie, zje tortillę albo hamburgera, kupi gazetę, może książkę, zrobi coś, wypełni z kokonu bierności i wymusi reakcję – w końcu telefon przecież musi zadzwonić. Ubrał się. I rozebrał. Włożył coś

innego. Rozebrał się. Wyciągnął z szafy czyste dżinsy, z szuflady wypraną koszulę. Stał przed lustrem i wściekły zrzucił to wszystko, cisnął w kąt. Wtedy zadzwonił telefon.

Rzucił się do pokoju Brunona, w myślach błagając, by to nie był szef, ale Ada, nie szef, ale Ada, tylko nie szef, błagam, błagam: Ada. Przez moment myślał, że nie zdążył, sygnał jakby urwał się, ale nie, telefon wibrował dalej – Ignacy złapał go i znieruchomiał na moment ze wzrokiem wbitym w wyświetlacz: ani szef, ani Ada.

Brunon.

– Brunon?

– No, to ja, cześć, słuchaj, mam taką szybką prośbę...

– Prośbę?

– No tak, kretyn ze mnie... przecież ty jesteś w pracy.

– Nie, jestem w domu.

– W domu, w domu... to super, super... Słuchaj, mógłbyś wejść na chwilę do mojego pokoju?

– Uhum.

– W drugiej szufladzie od góry powinna być taka koperta z hasłami jednorazowymi do konta w mBanku.

– Poczekaj. Poczekaj... Jest.

– To weź otwórz i przeczytaj mi pierwszy kod od góry. Albo nie, to jest za długie, wyślij mi esemesem, okej?

– Zaraz ci wyślę. A jak tam w górach?

– W górach? Dobrze, dobrze, super. To co, wysyłasz mi zaraz, tak?

– Tak, za chwilę będziesz miał.

– No to słuchaj, to kończę. A potem zamknij mój pokój, dobra? Coś tam chyba śmierdzi.

– Wcale nie śmie...

Głos Brunona zastąpił w słuchawce jednolity dźwięk, jakby cały czas tam był i tylko czekał, by wślizgnąć się między rozmówców, zakończyć ten dialog i przypomnieć, że to jednak nie Ada dzwoniła – ponad tydzień! – nawet nie szef, ale Brunon, ten sam, który wysłał Ignacego pociągiem na darmo przez pół Polski, ten sam, którego nie spotkała za to jeszcze żadna kara.

Potencjalna kara leżała właśnie na biurku, opatrzona logo banku i zgięta równo w trzech miejscach. Ignacy usiadł powoli na brzegu łóżka, łokcie zetknął z udami, a koszyczek z dłoni zwiesił między kolana, przybierając celowo minę, która miała go odpowiednio nastroić, zarazić całego, jakby za zaciśniętymi szczękami, przymrużonymi oczyma i wargami wydętymi w przesadnym grymasie reszta ciała mogła stwardnieć nagle, uzbroić się i przejąć złość od twarzy.

Rozkołysany świat dygotał wokół niego, nieruchomego, ludzie przemieszczali się z punktów A do punktów B, samochody pulsowały w rytm zielonych i czerwonych świateł, prąd płynął w nitkach utkanych w sieć nad miastem i dawał życie wszystkiemu, co w ogóle dla człowieka ważne, a on siedział tak, Ignacy Korzeń, rocznik osiemdziesiąty czwarty, metr siedemdziesiąt osiem, zodiakalny Wodnik, i czuł, że jeśli czegoś zaraz nie zrobi, to udusi się tym brakiem asertywności, padnie trupem w pokoju tego, którego w tej chwili najbardziej na świecie nienawidził.

Twarz zwiotczała mu powoli i zwiotczałą ją poniósł w stronę biurka, zawiesił nad kartką, a palce mechanicznie wklepały w telefon jednorazowe hasło, po czym ekran zabłysnął komunikatem, że wiadomość została wysłana. Ignacy podniósł z ziemi laptop Brunona, uruchomił go i pogрузzył się w przeszukiwaniu po kolei wszystkich folderów: zdjęcia, maile, pliki wideo – pożerał to wszystko i kopiował do własnej pamięci; Brunon z pryszczami, Brunon z głupią miną, płyta z muzyką country, hasła do



randkowych portali. Pot przesiąkał przez skórę, zbierając się na plecach w coraz większe krople, które ostatecznie zrywały się w krótką podróż i znikaly wchłonięte przez bieliznę, oczy zaczynały boleć od wpatrywania się w monitor z odległości kilkunastu centymetrów, stopy drętwiały od niewygodnej pozycji, ale pożerał dalej, bo złośliwa satysfakcja nawet jeszcze dobrze nie zakiełkowała. Dopiero po prawie dwóch godzinach skierował kursor w lewy dolny róg, by resztę zostawić na jutro. Wtedy też w jednym z folderów zobaczył nagle plik, o którym wiele razy słyszał.

Otworzył arkusz Excela o nazwie Ewidencja moralności wątpliwej i na ekranie zajaśniała schludna tabela o trzech kolumnach: imię i nazwisko, opis, data. Pozycji było czterdzieści sześć, żeńskie imiona, niektóre z nazwiskami, inne bez nich, ciągnęły się na półtorej wysokości ekranu, obok nich widniały na białym tle wypisane Arialem okrągłe cyfry numerów telefonów i krótkie charakterystyki wyglądu zewnętrznego skleczone to w rubasznym, to w poważnym stylu, ostatnią zaś kolumnę stanowił słupek skrupulatnie spisywanych dat.

Ignacy sunął wzrokiem po kolejnych imionach, wyobrażając sobie, że przypisano do nich formuły hiperłączy: wystarczy kliknąć, by zobaczyć prawdziwą osobę, materialną podstawę opisów Brunona, skupiających się na defektach nagiego ciała albo na jego zaletach, rzadko kiedy zauważających cokolwiek innego.

Na kilka pozycji przed końcem trafił na datę 2012-05-13 – była to niedziela, Ignacy dobrze pamiętał ten dzień, bo to wtedy ugodziło go uczucie, którego nie potrafił pozbyć się do dzisiaj, to wtedy, leżąc na ławce, po raz pierwszy zobaczył Adę, czekając na Brunona.

Spojrzał na krótki opis i poczuł, jak żołądek zamienia mu się w kawał rozżarzonej brei, a serce spływa między żebrami i skwierczy gdzieś na

samym dole. To niemożliwe, powtarzał, powoli przenosząc wzrok na pierwszą kolumnę, niemożliwe, niemożliwe.

Ale były tam, dwa słowa, imię i nazwisko zamknięte w czworoboku excelowskiego okienka, czarne na białym, bezczelne i wielkie, jakby wiedziały, że bez trudu mogą wywrócić świat do góry nogami.

Adrianna Deresz.

Ona.

Dziewięćdziesięcioletnia Izabela Grycz, kobieta unikająca zwykle wyrażania swojej opinii, której zresztą na większość tematów nie miała, kobieta sukcesu, doświadczona, utytułowana, a zarazem skłonna do depresji i – jak coraz częściej jej się ostatnio wydawało – cierpiąca na uciążliwe *déjà vu*, wielokrotnie była na kogoś zdenerwowana, zła czy nawet wściekła, ale aż tak wściekła nie była jeszcze nigdy.

Ile razy o cokolwiek go w życiu prosiła, ile razy to ona potrzebowała jego pomocnej dłoni, a nie na odwrót, ile razy musiał zaprzętać sobie uwagę jej, a nie swoimi potrzebami, ile wreszcie razy chciała, by spełnił choćby najmniejsze jej marzenie? A ile razy ona realizowała jego najdziksze dziecięce fantazje, lody jedzone aż do biegunki, słodyczne kupowane na kilogramy, w ilościach, których – oboje wiedzieli o tym z góry – nie mógłby zjeść nawet i przez tydzień? A godziny spędzone w księgarniach, z coraz większym naręczem książek w kolorowych okładkach? Albo w Peweksie czy domach handlowych, gdzie niczym bezwzględny despota wymagał, wskazując władczy palcem kolejne samochody, pistolety i zestawy klocków? Wtedy ją kochał, na widok babci zrywał się do biegu, otwierał ramiona, a jego oczy szklily się z radości; przez kolejne lata jego miłość do niej nie słabła, mimo stawianych łąpczywie kolejnych kroków ku dorosłości, która nieubłaganie wiązała się ze wstydem. Kochał ją, bo podczas kolejnych wspólnych eskapad nadal były dla niego regały w księgarniach, tyle że inne niż wcześniej, Pewex zastąpiły sklepy z ubraniami, a zamiast ludzików Lego babcia wypełniała mu torby kasetami z muzyką. Teraz w jej dziewięćdziesięcioletniej

głowie zapłonęła jednak myśl, której zarzewie tliło się tam od dawna: Ignacy nigdy jej nie kochał, obiektami jego uczuć były tylko znoszone do domu rzeczy, a te rozradowane oczy szklily się nie na widok babci – nie ją widział w progu mieszkania, tylko wypełnione skarbami półki sklepów, które mieli zamiar odwiedzić.

Nigdy wcześniej o nic – nie licząc przestawienia zegarka na czas letni, poprawienia obrazu na ścianie czy zerwania z sufitu narożnikowej pajęczyny – wnuka nie prosiła; to zawsze ona była dla niego, a nie on dla niej. Choć wiedziała, że samo życie narzuca tę formę, że dziadkowie zawsze bardziej kochają swoje wnuki niż odwrotnie, to wzbierała w niej trudna do opanowania wściekłość. Jedna prośba, jedno małe życzenie, którego spełnienie dla niego byłoby fraszką, zajęłoby mu kwadrans, a niechby nawet i dwa kwadranse, jedna lupa, której zakup skierowałby jej życie z powrotem na właściwe tory, ale nie, on zapomniał o tym tak, jak się zapomina wynieść śmieci.

Kolejne dni upłynęły na walce z tą obezwładniającą wściekłością – ruszać się jej nie chciało, jeść także, telewizor stał cichy i czarny, tylko pani Kasia zaglądała, uśmiechając się potwornie i znosząc niepotrzebne nikomu zakupy. Czwartego dnia po wizycie Ignacego, siedząc w fotelu ze wzrokiem utkwionym w zielone żyły oplatające kościstą dłoń – mój Boże, jaką ja kiedyś miałam piękną tę dłoń – postanowiła, że się jednak wysili, weźmie w garść, zbierze w sobie, niechby to i miał być ostatni taki wysiłek, ostatnia próba popłynięcia pod prąd tej uwłaczającej człowiekowi starości, ale postara się i chociaż spróbuje. Wyciągając z szafy ryzę papieru, popatrzyła na półkę wypełnioną samymi takimi nienapoczętymi ryzami – przekonana była kiedyś, że wszystkie je jednak zapisze, że wypełni te białe pustki pulsującymi światami, że przez okna kartek spoglądać będzie do wnętrza mieszkań i domów, że pod palcami obolałej od pisania ręki wyrastać będą

posplatane ze sobą, wzruszające życiorysy. A tu nic, tylko te przekłete pierwsze zdania, jedno na każdą kartkę! Rodziły się w podnieceniu, aby w bólach zniknąć, wielokrotnie złamane wewnątrz papierowych kul ciskanych o ściany i na podłogę.

Z taśmą klejącą w zaciśniętej dłoni opadła na krzesło przy stole uprzątniętym wcześniej do gołego drewna, połączyła ze sobą kilkanaście kartek w jedną dużą płachtę papieru i zaraz przed oczyma stanęły dwa wyraźne wspomnienia. W pierwszym zobaczyła samą siebie, zgarbioną w nocy nad olbrzymim konspektem *Odwrotniaka*, rozpisany na cały stół kuchenny, zastawiony kubkami po kawie i popielniczkami, w których dogasały jeszcze pety. Drugie rozgrywało się już tutaj, w tym mieszkaniu, ale oprócz niej przy stole siedział jeszcze Ignasz, pod nim krzesło i trzy poduszki, w dłoniach kredki, a w oczach taka dzika radość, jaką widzi się wyłącznie u wnuków. Malowali zoo, ale nie to, które widział już tyle razy, że zaczynało go nudzić – na złączonych kartkach rodziły się kolorowe kruki, żyrafy o trzech szyjach, pancerne dziki najeżone kłami, bawoły w wielkich okularach, żółto-zielone zebry, latające ryby i drzewa rosnące na odwrot.

– A teraz narysujemy mamusię i tatusia – zaproponowała.

– I babcię – mruknął, nie podnosząc głowy. Wysunięty spomiędzy warg koniuszek języka wyginał się na boki, jakby usiłował pomóc ściskanej w dłoni czerwonej kredce.

– I babcię – powtórzyła.

Rysowali więc, wspólnymi siłami, jej w udziale przypadło pokolorowanie nieba ściśniętego między puchatymi chmurami, Ignasz natomiast wziął na siebie najbardziej odpowiedzialną część zadania – z gmatwaniny czerwonych kresek wyłaniać się zaczęły patykowate kończyny i nadmuchane, arburowate głowy.

– To tatuś?

– Tak.

– A co on tu ma?

– Okulary.

– Ach, no tak, okulary. Ślicznie. A to ja?

– Babcia. W swetrze.

– Pięknie. A to Ignas.

– Z kredką.

– I mamusia?

– Mamusia!

– A co ona tu trzyma? Okulary?

– Butelkę.

– Aha. – Wstała, rozejrzała się za papierosami, nigdzie ich nie było, westchnęła, usiadła. – Ślicznie. Dasz babci ten rysunek w prezencie? Dziękuję. A teraz może narysujemy...

– Słonia!

– Słonia, niech będzie. Ale słonia specjalnego.

Spojrzał na nią, język umknął za wargi.

– Słonia z masła – oznajmiła Izabela. – Czyli masłonia!

– Masłonia!

Po masłoniu przyszła kolej na krukodyła, tulipopotama, nietopierza i zezozębrę, kredki zniknęły w oczach, ale Ignas ani myślał przestawać – kolejne kartki zapełniały energiczne skaczki, namydlone piantery, dinożarły, dźwiedzie i tyszczurki.

Wspomnienie uleciało, a Izabela złapała się na uśmiechu: siedzi przy stole stare babsko i wygina tę gębę paskudną, jakby było z czego, a przecież nie ma ani powodu do uśmiechu, ani tamtego Ignasia.

Głęboki wdech i wydech, wdech i wydech, nie ma na co czekać, nie ma się też co rozczulać, trzeba zabrać się do pracy, wyciągnąć szufladę pamięci, wysypać jej zawartość, uklęknąć nad breją postaci i wydarzeń, uporządkować ją, a wtedy może jej Kazimierz się znajdzie. A nawet jeśli nie, myślała, obracając w dłoni pióro, które właściwie mogło być już od dawna zaschnięte – nie wiedziała, kiedy ostatnio stalówka miała okazję dotknąć papieru – więc nawet jeśli nie, to może jakieś inne wspomnienie, wcześniejsze czy późniejsze, pozwoli jej wrócić do mieszkania Kazimierza Człapki i dowiedzieć się, co się właściwie wydarzyło, jak skończyła się ich znajomość, bo że się skończyła, to było pewne. Miała nadzieję, że jak smak wypitej kiedyś u sąsiadki czerwonej oranżady rozlał jej w głowie wspomnienie szóstych urodzin Ignasia, tak jakiś pozornie nieistotny drobiazg zawieruszony w szufladzie pozwoli jej poznać finał tamtej znajomości i los człowieka, którego najbardziej w życiu kochała.

Jedno było pewne: po ślubie, a i pewnie dobrych kilka lat przed nim, ani razu nie widziała Kazimierza Człapki, nie dostała od niego listu ani sama listu do niego nie napisała; zresztą coś jej mówiło, że przeprowadził się, a ona z jakichś względów nie poznała jego nowego adresu. Próbowwała przypomnieć sobie cokolwiek z późniejszych lat, choćby cień Człapki rzucony na lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i późniejsze, choćby ślad po nim, plotkę zasłyszana w sklepie, artykuł w gazecie czy opowieść znajomego. Siedziała i pośrodku kartki kreśliła piórem – jednak, o dziwo, nie zaschło – spiralne zawijasy, wielkie kanciaste litery zjadające się nawzajem i bulwiaste cyfry, które układały się w daty, nic jednak nie przychodziło jej do głowy, nie, jej kontakt z Człapką musiał się definitywnie urwać wtedy, w czterdziestym szóstym, najwyżej kilka lat później; wcale by się nie dziwiła. Izabela miała na temat miłości własną teorię, którą umieściła w *Odwrotniaku* i z której niebagatelną pomocą

brylowała podczas niezliczonych spotkań autorskich wśród kobiet zauroczonych jej książką. Teoria sprowadzała się do tego, że uczucie między mężczyzną i kobietą wyzwala pewną określoną energię, pewne Ciepło, którego raz jest nieco mniej, a raz nieco więcej, ale z reguły prawie tyle samo. Miłości spokojne, zaczęte od przyjaźni, sympatii, i te, które wyrastają z rozsądku, jeśli już się pojawiają, trwają z reguły długo, jadą na tym Ciepłe, wypalając się później, natomiast miłości dzikie, namiętne i gwałtowne, te wszystkie, które chwytają życiorys i łamią go na pół, rozgniatają jak agrest, zdeptują tak, że nic z niego nie zostaje, te miłości spalają się błyskawicznie i dogasają najszybciej, zostawiając zakochanych z daleka od siebie albo z życiami związanymi rozsądkiem, dziećmi i wstydem.

Znajomość z Kazimierzem Człapką należała oczywiście do tych drugich, zaczęła się wybuchem, ona i on omal się nawzajem nie pożarli, najchętniej wcisnęliby się jedno w drugie, między żebra, aby zostać już tak razem, oddychać tym samym powietrzem i wsłuchiwać się w bicie jednego, wspólnego serca. Rozstali się więc, to pewne, płuca okazały się zbyt małe, serce zwolniło, a jedno ciało zaczęło być niewygodne i tak odpadli od siebie, jedno w jedną, drugie w drugą stronę, to wszystko zrozumiałe, ale dlaczego nigdy nie napisał? Dlaczego nie napisała ona?

Z braku lepszego pomysłu systematyczne i szczegółowe poszukiwania postanowiła rozpocząć od swojego małżeństwa, związku, w którym wytrzymała dwadzieścia osiem lat.

Karol Grycz urodził się w Gdyni w dwudziestym czwartym roku jako trzeci syn w ośmioosobowej, zamożnej rodzinie.

Opowiadając o pierwszym spotkaniu z mężem – a wspominała o tym raczej rzadko – Izabela w bardziej lub mniej celowym nadmiarze zwykła używać słowa „banał”, jako że poznała Karola w kawiarni, a na dodatek



w Dniu Kobiet. On, wysoki i zadbany, wyglądał na człowieka, któremu się powodzi, ona zaś od dwóch lat wrastała w ladę sklepu mięsnego, osierocona przez matkę i nieświadoma nadchodzącej powoli kariery literackiej. Był rok pięćdziesiąty szósty, kawiarnia, ósmy marca, on samotny, zaprosił ją więc do teatru; ona jeszcze bardziej samotna, zaproszenie przyjęła; spotkanie zrodziło kilka kolejnych, odbywanych głównie w lichych knajpkach nad morzem, po których przyszedł czas na wspólny wyjazd na Mazury, gdzie pod czerwcowym słońcem, wśród wesołych znajomych Karola i rojów bezlitosnych komarów, w Izabeli pojawił się zalążek człowieka.

Zorientowała się po dwóch miesiącach i natychmiast rzuciła się w objęcia najczarniejszej z rozpaczy, bo jak to tak, życie złamane, przyszłości żadnej, przecież krojenia baleronu przyszłością nazwać nie sposób. Z myślami tymi gryzła się w samotności, aż Karol sam zorientował się, w czym rzecz, kupił pierścionek z brylantem wielkim jak czereśnia, uklęknął. Pół roku później była jego żoną.

Córce dali na imię Anna. Na cześć Kareniny, choć Karol Tołstoja nie czytywał, co więcej, zdradzał względem rosyjskiego pisarza pewne oznaki pogardy, co jednak nie przeszkodziło mu zgodzić się na imię dla córki, kiedy jeszcze w szpitalu poprosiła go o to Izabela. Karol zgadzał się właściwie na wszystko, czego życzyła sobie jego żona, a ta życzyła sobie rzeczy niewielu: z podobną niechęcią, jaką on żywił do Tołstoja, ona odnosiła się do jego rodzinnej fortuny. Po latach Izabeli zdarzało się używać przykładu swojego małżeństwa do potwierdzania teorii na temat energii miłości, bo związek, który rozpoczął się bez fajerwerków, związek spokojny, rozsądny, pozbawiony dzikiej namiętności i zachowań spontanicznych czy zwyczajnie głupich, związek pełen szacunku, ustępstw i wypracowywanych godzinami kompromisów przetrwał długo, nie wygasł

jak wszystkie poprzednie i gdyby nie śmierć Karola, potrwałby zapewne znacznie dłużej niż i tak imponujące dwadzieścia osiem lat.

Wszystko pięknie, myślała Izabela, długopis wiruje po kartkach papieru, wspomnienia niby posłuszne, chronologia zachowana, a i logika w tym wszystkim jaka taka, ale to przecież odmęty, z których olbrzymia postać Kazimierza Człapki ani myśli się wyłonić lub choćby w nich zamajaczyć. A skoro tak, to trzeba iść dalej, szukać w latach późniejszych, wertować kolejne kartki tego ogromnego i poźółkłego kalendarza; może pod którąś z nich znajdzie roześmianą twarz Odwrotniaka, czekającego tam, aby ją z wesołym okrzykiem zaskoczyć. Tak, nie wolno się poddawać, bo cel...

...może i nierealny był, niewart wkładanego wysiłku, ale był. Kolejne scenariusze przemykały mu przez głowę: nie odezwie się już nigdy; zadzwoni i zawrzeszczy; umówi się i uda, że nic nie wie; narobi jej wstydu w miejscu publicznym; wyśle plik mailem, podszyje się pod Brunona; odszuka jej rodziców, poniży, rozdepcze, zdemaskuje! Byleby tylko odebrała.

Kolejne sygnały rodziły się w telefonie i zamierały, ustępując następnym, Ada nie odbierała, Ignacy dzwonił jednak niestrudzenie, a po każdym komunikacie „Przepraszamy-wybrany-abonent-jest-w-tym-momencie-nieosiągalny-prosimy-spróbować-ponownie” uparcie ponawiał próbę połączenia i wsłuchiwał się w sygnał za sygnałem, które wkrótce do złudzenia zaczęły mu przypominać szyderczy śmiech.

Szukał ratunku w czekoladzie, w kawie, w papierosie, w chwyconej na chybił trafił książce, jednak bezskutecznie – w głowie miał tylko białe płótno, na które wprawna ręka nanosiła kolejne wersje Ady i Brunona splecionych w miłosnym uścisku, zatraconych w sobie, z rozchyłonymi ustami, z dłońmi łapczywie przemierzającymi pola sprężystej skóry.

Upływały kolejne godziny, a Ignacy coraz bardziej grzął w obsesyjnie powracających obrazach; nie potrafił pozbyć się myśli szturmujących głowę, dlatego usiadł przy stole w swoim pokoju i rozwarł czarną paszczę laptopa, po czym drżącymi dłońmi uruchomił edytor tekstu i w pulsującej pionowej kresce spróbował znaleźć jakiegokolwiek rozwiązanie. Z pojawianiem się kolejnych słów na ekranie – bezładnych, koślawych i pełnych błędów – czuł, że napięcie opuszcza ciało, a głowa na powrót wypełnia się tym, co znajdowało się w niej, zanim otworzył rejestr Brunona.

Po godzinie nieprzerwanego pisania zamknął plik i usunął go z pamięci komputera, dwukrotnie upewniając się, czy aby na pewno nie znajduje się w koszu. Pomyślał, że gdyby był pisarzem, każdą książkę pisałby po kilka razy, kasując kolejne wersje, dopóki nie znałby już jej tak dobrze, by móc napisać ją niemal odruchowo. Czy jego babcia użyła tego sposobu, pisząc *Odwrotniaka*? Szczerze wątpił. Gdyby tak zrobiła, może nie byłoby tego wszystkiego, może mniej szaloną historią nie nasiąknąłby tak bardzo, może nie czytałby jej dziesiątki razy, może nie zacząłby malować, najpierw wszystkich opisanych dzieł Kazimierza Człapki, a potem dopiero swoich, zarażonych tamtymi w ten sam sposób, w jaki on sam zarażony był wariatem olbrzymem?

Dzwonek do drzwi usłyszał dopiero za drugim razem, z trudem wyławiając go z trzęsawiska natrętnych myśli. Powtarzając pod nosem uspokajające „czekolaaadaaaa”, powędrował do drzwi: kruche, zgarbione widmo.

W pierwszej chwili pomyślał, że to Ada, i odskoczył od wizjera, prostując się nagle, ale kiedy uspokoiwszy oddech, zaczerpnąwszy kilka głębokich wdechów, spojrzął przezeń ponownie, zorientował się, że to nie ona, bo nie te włosy, inny podbródek, a i ubiór chyba nie do końca w jej

stylu. Naszła go myśl, że najlepiej byłoby nie otwierać, przeczekać, a potem położyć się do łóżka i wmawiać sobie, że to jednak Ada stała przed jego drzwiami, że przyszła, by mu o wszystkim powiedzieć, wytłumaczyć się i trafnymi argumentami rzucić na excelowski plik zupełnie nowe światło, a może i go unieważnić – bo kto powiedział, że cokolwiek, co w tę tabelę wklepały dłonie Brunona, choćby obok prawdy leżało? Gdyby tak zrobił, szybko padłby pierwszą ofiarą tego rozwiązania, jako że wmówiona sobie półprawda zaczęłaby rodzić półprawdy kolejne: nie otwierając, zrujnował wspólną przyszłość swoją i Ady, głęboko ją unieszczęśliwiając, a siebie pozbawiając jednej z niewielu okazji na ułożenie sobie życia, które społeczeństwa zwykły nazywać normalnym.

Otworzył.

– Cześć, słuchaj – ależ gdzie tam, żadna z niej Ada, jak mógł w ogóle tak pomyśleć? – jestem sąsiadką z dołu, właściwie nową sąsiadką, bo z koleżankami się wprowadzamy w sobotę, ale dzisiaj chcemy zrobić taką miniparapetówkę.

A może to i lepiej, że to nie ona, bo gdyby było inaczej, to czy powstrzymałby dygot ciała i opanował emocje, czy zapobiegłby rumieńcowi i zdusił w gardle wzbierający wrzask, w którym oskarżyłby ją o wszystko, o co tylko można by ją oskarżyć? Dobrze, ale skoro tak, skoro to nie ona, a tylko ktoś inny, to wypadałoby może odezwać się jakoś, powiedzieć „dzień dobry” czy coś w tym rodzaju, jakąś uprzejmość; czy nie tego ktoś taki może oczekiwać?

– Słucham?

– Robimy z koleżankami parapetówkę, w mieszkaniu pod panem, dlatego przyszłam, żeby uprzedzić... jakby jakiś hałas, muzyka, wie pan. – Po tych słowach dziewczyna wyczarowała na twarzy uśmiech, który oprócz tego, że

piękny, wydawał się Ignacemu także całkowicie szczerzy, co mu natychmiast przypomniało jeden z opisów w tabelce Brunona.

– Ciekawe, w czym pliku jesteś. Ile tabel wzbogaciłaś swoim nazwiskiem, co? A może jego też, tylko o tym nie wiesz? „Ewidencja moralności wątpliwej”, dobre sobie!

Dziewczyna cofnęła się, uśmiech zgasł na jej twarzy, pozostawiając po sobie mieszaninę rozczarowania i niepewności. Ignacy poczuł, że najchętniej zjadłby jej strach – zanim się zorientował, już ścisnął przód jej obcisłej bluzki i syczał w twarz:

– Jeszcze raz cię zobaczę, jeszcze raz cię tylko zobaczę...

Wrzasnęła, ale krzyk się urwał, kiedy skoczyła w dół, po kilka stopni naraz. Ignacy stał jeszcze długo na korytarzu, wpatrując się w uniesioną przed twarz dłoń, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Wielokrotnie w życiu nękała go myśl, którą witał z pewnym niedowierzaniem, a jednocześnie obawą, a działo się to zwłaszcza w sytuacjach przesytu, kiedy nie miał już ochoty malować, zmęczyły go telewizyjne seriale albo książka śmiertelnie znudziła – otóż zastanawiał się wtedy, czy kiedykolwiek przytrafi mu się sytuacja, po której nie będzie mu się chciało kompletnie nic, a obrzydzeniem napawać go będzie nawet oddychanie. Wydało mu się, że oto nadszedł ten moment, który wyobrażał sobie wielokrotnie z tą samą cierpką ciekawością, z jaką człowiek wizualizuje sobie w myślach swój własny nagrobek – nagle teraz, stojąc samotnie na korytarzu, na którym dawno zgasło już światło, zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty na nic, najchętniej zniknąłby i się już nigdy więcej nie pojawił.

Drzwi, przedpokój, kuchnia – trzeba było zrobić coś, żeby do głowy nie przyszło to, co chyba właśnie przyjść chciało – szafka, czajnik, lśniący hak kranu – na kawę ochoty nie miał zupełnie – przycisk na białej obudowie,

cichy szum, a potem bulgot – ten bulgot wypełniać mu zaczął głowę, ale ustał nagle – szybki marsz do pokoju, co teraz, co teraz, rzut oka na zewnętrzny parapet... Odetchnął. Palce zamknęły się na pękatym słoiku ściskającym w sobie czarny popiół i setki petów – był chłodny. Nie więcej niż dziesięć sekund zajęło Ignacemu wniesienie go do pokoju, ustawienie na stole i zalanie wrzątkiem do pełna. Poszarzałe filtry, ciapnięte przy końcach odrobiną tytoniu, zerwały się za szkłem do tańca, zawirowały i zwolniły zaraz, aby napęcznić, uspokoić się i w końcu znieruchomieć, a otaczająca je woda nosiła ze sobą jeszcze przez parę chwil ławice ciemnych drobin, jakby się bała, że już nigdy okazja do podobnej swawoli jej się nie nadarzy.

Ignacy zamknął dłonie – tym razem obie – na stojącym przed nim szkle – tym razem parzyło – po czym powoli uniósł słoik, zacisnął zęby, oczy chwilę później, i zgarbiwszy się, napięty i zeszywniały, łapczywie zaczął pić. Płyn parzył język, podniebienie i gardło, a potem spływał w dół wraz z połykanymi petami, raz, dwa, trzy, cztery, po piątym łyku popiół zadrapał w gardle, wywołując kaszel. Słoik potoczył się po blacie, woda chlusnęła na uda, Ignacy zerwał się, odepchnął krzesło i zgięty wpół, wstrząsany kaszlem, chwycił się za szyję.

Runął w ubraniu pod prysznic. Szeroko otwartymi ustami łapał zimną wodę, łykał ją raz za razem, bojąc się zasklepienia się przełyku i utraty oddechu, do którego jeszcze przed chwilą tak wielki odczuwał wstręt. Udało się. Chciał oddychać. Chciał żyć.

Kiedy po dwóch godzinach leżał w łóżku Brunona, popijając przez słomkę rozwodnione lody wiśniowe, postanowił, że jak tylko poczuje się lepiej, zamówi taksówkę i pojedzie do opuszczonego budynku przy Kargowskiej – ze wszystkich miejsc na świecie najbardziej chciał być teraz

tam, siedzieć w kucki przy gołej ścianie i przyglądać się żółtawej kołdrze przykrywającej dachy miasta nisko pod podziurawionym niebem.

Rano zabił robala.

Stworzenie sunęło wzdłuż łączenia podłogowych paneli, a napotkawszy na drodze stromą ścianę grzbietu kilkusetstronicowego zbiorczego wydania *Watchmenów*, w błogiej nieświadomości zawieszono wysoko zaspanego oka skrzyło, by ją ominąć. Zakończony dokładnie obgryzionym paznokciem kciuk spłynął z wyżyn łóżka i miękko rozpląszczył się na podłodze, zgniatając robaka z cichym chrupnięciem wydanym przez chitynowy pancerzyk.

Bezskuteczne okazały się aerozole o zabójczych nazwach, płytki rozstawiane za meblami i plastry umieszczane pod łóżkiem: znajdujący się za ścianą zsypanie niestrudzenie dzielił się z mieszkaniem częścią swego bogatego owadziego królestwa.

Ignacy wytarł kciuk o prześcieradło i ciężkim krokiem skierował się do kuchni, gdzie ze szklanką wody w dłoni opadł na krzesło, pełen obaw o stan przełyku, który przy każdym przełknięciu śliny rozpalał się do białości. Patrząc w wodę zamkniętą w smukłym naczyniu, pomyślał, że część z tych, którzy w desperacji tną sobie ciała nożykami do tapet, to zwycięzcy w walce z własnymi głowami, że on sam nie powinien teraz czuć się tak, jak się właśnie czuł, ale z radością wyjść do miasta, uśmiechać się do ludzi i pewien własnej wspaniałości zjeść nieprzyzwoicie drogi obiad.

Pierwsze łyki niemal rozerwały mu gardło, jakby pił kwas siarkowy, nie wodę, kolejne – przyplacone łzami rodzącymi się pod zaciśniętymi powiekami – okazywały się coraz mniej drapiące, ostatni prawie nie bolał. Niecałe pół godziny później wykąpany, ubrany w czyste dżinsy i koszulę, z włosami starannie ułożonymi tak, by imitowały nieład, z telefonem, dwoma pięćdziesiątkami i jedną dwudziestką w kieszeni, z paczką

papierosów w dłoni Ignacy wyszedł z mieszkania na osłoneczniony chodnik i kakofonię odgłosów wydawanych przez miasto.

Mimo rozognionego przełyku i spuchniętego języka, mimo świadomości, że jeśli jeszcze nie został, to w ciągu kilku dni dyscyplinarnie zostanie wydalony ze zbioru osób pracujących, po raz pierwszy od dawna poczuł się naprawdę śmietankowo. Wybrał numer do Ady – musi się udać, a jeśli się nie uda, to też nic wielkiego – i z telefonem przyciśniętym do ucha ruszył wzdłuż kamienicy, zlewając się z porannym krajobrazem miejskiego pośpiechu. Tu i ówdzie ogólną atmosferę nerwowości neutralizowały powolne ruchy starców odbywających swoje regularne wyprawy po sprawunki.

Ada nie odbierała.

Ale przecież odbierze, trudno oczekiwać, by przez cały dzień dzierżyła w dłoni telefon komórkowy, zresztą może ma teraz jakiś wykład, tak, to dość prawdopodobne, więc nawet gdyby nie odebrała – ale przecież odbierze – to nic wielkiego, błahostka niemalże, bo czy ludziom nie zdarza się czasem nie odebrać? Istnieją uśmiechy bez śladu wesołości i taki też uśmiech Ignacy wywołał na swoją twarz – głupota, przecież odbierze – ale kroku zwolnił, lewa dłoń bezgłośnie zabębniła o udo, oddech wydłużył się, cóż, najwyżej zadzwoni za chwilę. Wcisnąwszy czerwony przycisk, niezwłocznie wybrał numer Ady ponownie, smutny uśmiech zdążył tymczasem wypłowieć, dłoń uderzała o dżinsowy materiał coraz bardziej nerwowo – ależ się będzie z tego zaraz śmiał, bo przecież odbierze – przystanął wreszcie, stopy jakby wrosły w chodnik: dlaczego nie odbiera?!

Po dwóch kolejnych próbach połączenia wsunął telefon na powrót do wąskiej kieszeni, a sam wniknął w kolorowe wnętrza znajomego supermarketu, między ludzi i półki, pod smutne jarzeniowe słońca, w mieszaninę zapachów produktów za trzy czterdzieści dziewięć i siedem



dwadzieścia, by znaleźć się naprzeciw półki z alkoholem, przejechać dłonią po kilku butelkach kryjących w sobie obietnicę zapomnienia, ustawić się w krótkiej kolejce, zapłacić i umknąć do bezpiecznego mieszkania.

Pijał w życiu niewiele, wyłącznie przy okazji i nigdy, przenigdy sam, bowiem nie widział powodu, dla którego miałyby samotnie tłoczyć w żyły kolejne procenty i okrywać umysł półprzezroczystą mgiełką. Usiadł przy biurku Brunona z miną, z jaką wchodzi się pierwszy raz do urzędowego gmachu w obcym kraju, kilkoma niewprawnymi ruchami usunął zabezpieczającą tak wiele obiecujący ładunek nakrętkę, po czym prosto z butelki wypił duży łyk, konstatując, że owszem, nieprzyjemne, ale nie aż tak, jak by się można spodziewać.

Po dwóch słusznej wielkości łykach, które nie tylko bezlitośnie przepaliły mu podrażniony przełyk, ale też przyprawiły o nagłe mdłości, Ignacy postanowił zmienić tryb picia na nieco mniej barbarzyński, wzbogacając pijackie instrumentarium o kieliszek, szklanekę i karton starego, acz nadającego się jeszcze najprawdopodobniej do spożycia soku.

Nie minęło pół godziny, a prawie cała zawartość butelki znajdowała się już w ciele Ignacego, który oprócz dziwnej lekkości umysłu doświadczał też coraz poważniejszych nudności, aż w krytycznym momencie poniósł w walce z odruchem wymiotnym niespodziewaną i druzgoczącą klęskę. Najbardziej ucierpiał laptop Brunona. Kilka chwil później w przyplýwie nagłej euforii Ignacy zdecydował się – a pomysł ten wydał mu się iście genialny – zadzwonić jeszcze raz do Ady, która z jakichś względów, najzupełniej usprawiedliwionych i wytłumaczalnych, nie mogła na wcześniejsze próby kontaktu odpowiedzieć. Zanim jednak zamiar ów miał okazję zbliżyć się do stadium realizacji, Ignacy spał już z nogami na podłodze, a resztą ciała rozciągniętą w poprzek łóżka. Chudy, drobny Ignacy z bladą twarzą i ustami otwartymi szeroko, jakby chciał zjeść cały

ten pokój i mieć go już w sobie na zawsze. Noc była cicha, wypełniał ją jedynie jęk niesfornej sprężyny w łóżku, szelest wiatru i rzadkie, ospałe stęknienia przejeżdżających...

...ulicą nocnych autobusów, w których spragnieni snu bywalcy klubów rozsianych po centrum miasta przykładali zmęczone czoła do chłodnych, drżących szyb.

Rankiem przyszła pani Kasia.

Mimo niewyspania i smutnego raczej nastroju po kłótni z mężem daleka była od utraty wigoru, a jej ciało ani myślało rezygnować z charakterystycznych nerwowych tików.

– A o co tak się państwo pokłóciliście?

– O samochód. Jak zwykle. Bo mąż nie chce autocasco wykupić, a ja bez autocasco to chyba spać będę musiała z głową na parapecie. Niecały tydzień temu znowu auto ukradli na Kochanowskiego, to przecież tuż obok, no co pani uważa, przecież ja rozumiem, że drogo, ale mimo wszystko. Niech pani sama powie: no jak bez autocasco?

– Ja nie mam samochodu...

– A i ja też mu tak od razu nawet powiedziałam: jak bez autocasco, to ja w ogóle proponuję auta nie kupować. Dobra, koniec, bo się znowu nakręcę, a już wczoraj tyle mnie nerwów to wszystko kosztowało, że pani sobie nawet nie wyobraża. Ze dwie godziny żeśmy się żarli, i to przy małym.

Izabela postanowiła spróbować tym razem odpowiedzi niewerbalnej, skinęła więc tylko głową i ruszyła do kuchni, upatrując w tym szansę na rychły finał wizyty pani Kasi, która dwadzieścia minut zmitrężyła już na referowaniu przebiegu pojedynków odbywanych z mężem.

– A co to? – dotarł do niej głos zdumionej sąsiadki z pokoju. – Czy mi się wydaje, czy... No, no!

– Proszę? – wyrzucając sobie pozostawienie pani Kasi samej, Izabela najszybszym z możliwych kroków przemierzyła z powrotem przedpokój, aby znaleźć panią Kasię pochyloną nad pokrytym papierami stołem.

– A wie pani, że ja tak się ostatnio nawet nad tym zastanawiałam? – Sąsiadka odwróciła się do niej, wsparta pod boki, z uśmiechem eksponującym potężne uzębienie. – Miałam nosa!

– Co proszę?

– Pani pisze książkę!

Pani pisze książkę.

Kiedyś na podobne słowa zareagowałyby tajemniczym uśmiechem, później zakłopotaną miną, lekkim podenerwowaniem, złością, wściekłością, niemal chęcią mordy, z każdym kolejnym rokiem gorzej, zjadana od środka przez własną frustrację, która takimi właśnie insynuacjami, sugestiami i pytaniami się żywiła.

– Tak.

– O kurczę, wiedziałam. O czym to będzie? Kryminał? Ja kocham kryminały.

– Nie, raczej nie... Romans obyczajowy, jeśli miałabym jakoś to określić.

– To też dobrze. Coś w stylu Grocholi? Albo nie, niech pani nie mówi. Będzie niespodzianka.

Gdyby z jakichś względów przyszło Izabeli sporządzić listę osób, którym najbardziej obawiałaby się powierzyć zakup lupy, pani Kasi zajęłaby na niej wysoką lokatę, choć powody takiego braku zaufania do żywiołowej sąsiadki wciąż nie były dla niej do końca jasne. Niewątpliwie u fundamentów takich, a nie innych poglądów na temat pani Kasi leżały głównie liczne, uchwycone przypadkiem spojrzenia, które ta rzucała w kierunku kredensu, srebrnej zastawy i wdzięczącej się za szkłem kolekcji

porcelany, choć pewności, że spojrzenia te wynikały z czegoś więcej niż zwykłej ciekawości, nie było.

Sporządziwszy wyjątkowo tym razem krótką listę zakupów – myślenie o jedzeniu wydawało jej się w tej chwili czymś zgoła absurdalnym – Izabela zdecydowała, że jakakolwiek aktywność lepsza będzie niż bezradne załamywanie rąk nad nieczułością wnuka, i zanim sama zdążyła się za tę konkluzję zganić, wypaliła:

– Pani Kasiu?

– Tak?

– Czy ja mogłabym mieć do pani jeszcze jedną prośbę?

– No pewnie.

– Chodzi o lupę.

– O lupę?

– Chciałabym, żeby mi pani kupiła. Taką dużą.

– Jasne, że kupię. Co prawda nie wiem, gdzie coś takiego można teraz dostać, ale postaram się. A po co pani, jeśli to nie tajemnica?

– Wie pani... – Izabela pochyliła się w stronę sąsiadki i z konspiracyjną miną, z dłonią zamkniętą na jej łokciu, skinęła głową w stronę stołu.

– Rozumiem! Rozumiem, buzia na kłódkę – niemal wykrzyknęła pani Kasia i unosząc skromną listę zakupów, skierowała się do drzwi, aby z ręką na kłamce znieruchomieć jeszcze i szeptem zapytać: – Czyli jednak coś jakby kryminał?

W odpowiedzi Izabela przywołała na twarz najbardziej tajemniczy uśmiech, na jaki było ją w tym momencie stać, po czym pełna obaw o słuszność podjętej decyzji pożegnała sąsiadkę.

Pełna nowej energii pogрузyła się w pracy: stół, pióro, wspomnienia.

Kilka miesięcy po ślubie z Karolem codzienność wywróciła się na lewą stronę: świat Izabeli już nie Baczeko, ale Grycz, zaczynał się na

filigranowych pomarszczonych stopach, a kończył na miękkim meszku porastającym niemowlęcą głowę. Była tylko Ania, jej córka, jej mały prawdziwy człowiek, który z porażającą łatwością pochłonął w mig wszystko, co dotychczas wydawało się Izabeli ważne – ten trzyipółkilogramowy kalejdoskop łamał rzeczywistość na drobne kolorowe kawałki i układał je dla niej na nowo.

Przed dziewczynką uchylano nieba, z którego spadały a to skórki pomarańczowe w grubej powłoce z czekolady, a to mówiąca lalka, a to miniaturowy atleta prężący wedle życzenia twarde drewniane muskuły.

Jedzenie wypluwać zaczęła, kiedy tylko zorientowała się, że może, na pytanie „czy kochasz mamusię?” odpowiadać przestała, mając lat cztery, a wkroczywszy w nastoletniość, kategorycznie zaprotestowała przeciw spacerom z rodzicami i wszelkim innym formom publicznego pokazywania się w ich towarzystwie. Wzniesiony bunt, miast wygasać wraz ze zbliżaniem się Ani do dwudziestki, przybierał na sile, przeistaczając ją ostatecznie w drobnego i nieznośnego tyrana, którego najbardziej nikczemne oblicze wydobył dopiero na świat wysoki jak brzoza bon vivant Bogusław Korzeń. Kolejne bezsenne noce upływały wtedy Izabeli na snuciu marzeń o znalezieniu sposobu na wetknięcie kija w szprychy pędzącego czasu, który przynosił ze sobą kolejne wybryki rozpieszczonej Anny: ucieczkę z domu, jedną i zaraz drugą, kradzież dużej sumy z zamykanego na klucz masywnego biurka w gabinecie ojca, wyjazd do Poznania, a wreszcie powrót, bez pieniędzy i z dzieckiem, Ignasiem, pod sercem.

I co?

Gdzie w tym okresie życia, na którym zalegał ciężki cień dziecięcych, nastoletnich, a potem dorosłych występków Anny Grycz, szukać śladów Kazimierza Człapki? Czy istnieje szansa, że gdzieś spomiędzy narodzin

Ignasia, znajdowanej u jego rodziców heroiny, wizyt milicji przywożącej nieprzytomną Annę znad morza, podbitych oczu, kłótni, miesięcy w areszcie i wielotygodniowych libacji wyłoni się ta obszerna sylwetka i dobiegnie Izabelę rubaszny, charakterystyczny głos? Czy kiedykolwiek po czterdziestym szóstym ujrzała jeszcze na oczy swojego Kazimierza, tego, którego nienawidziła i kochała najbardziej na świecie, a zarazem czy wszystkie te kartki rozłożone na stole i zapełnione chybotliwymi diagramami wielkich dat i hasłowo opisanych wydarzeń mają w ogóle sens? Jak spomiędzy ogromnych liter i cyfr miałyby wychynąć owalna twarz Kazimierza, jeśli ich znajomość rzeczywiście skończyła się na długo przed ślubem Izabeli?

Zacisnęła oplecione zielonymi żyłami dłonie, mnąc w nich płachtę papieru, uniosła się z krzesła – raz, dwa, za trzecim razem – i rzuciła się na swoje zapiski z krzykiem i taką furią, do jakiej zdolny jest jeszcze organizm dziewięćdziesięcioletniej kobiety z pamięcią jak siatka na motyle.

Zdążyła ledwie opaść na kanapę, ledwie zamknęła oczy i uspokajając zaczęła oddech, ledwie w jej głowie powstał zamiar poniechania tych bezcelowych najwyraźniej poszukiwań i po skostniałym ciele rozlało się coś na podobieństwo ulgi – gdy w przedpokoju zabrzączał natarczywy dzwonek.

Nie wstanę, pomyślała, niech się ode mnie wszyscy odczepią, nikogo nie chcę widzieć, tak, nie wstanę – zaraz też uniosła się z kanapy – raz, dwa, trzy, za czwartym razem – i ruszyła ku drzwiom, kołysząc się na boki niczym boja na ugniatanym przez wiatr jeziorze.

Na klatce schodowej, zniekształcona judaszowym okiem, stała wysoka sylwetka męża pani Kasi – pana Tomka? Radka? może Bartka? – który w odróżnieniu od swojej ruchliwej małżonki był człowiekiem ze wszech miar opanowanym i statecznym. Izabela sądziła, że ktoś, kto pracuje

godzinami, obserwując skaczących i tańczących ludzi, najbardziej na świecie musi nienawidzić ruchu.

Zgrzyt zamka, krótka pieśń zawiasów.

– Dzień dobry panu.

– Dzień dobry. Pani Izabelo, ja tylko tak na sekundkę, bo Kaśka miała dzisiaj mały wypadek, to znaczy, nic się nie stało, trochę tylko poobijana, ale niestety musi zostać w szpitalu, więc tylko tak mówię, gdyby coś, czy pani w razie czego sobie poradzi? Te zakupy i tak dalej, bo jeśli trzeba, to ja chętnie...

Z grzeczności wysłuchałaby go nawet do końca, ale co zrobić, jeśli głos pana Tomka/Radka/Bartka oddalił się nagle, zastąpiony nawałnicą przekleństw wybuchających w głowie jedno za drugim, a sprzed oczu nie chciał zniknąć obraz leżącej pod szklaną ladą lupy? Najchętniej z całej siły rąbnęłaby drzwiami o futrynę i wrzeszczała tak długo, aż z gardła zostałyby jedynie nici, niech ją boli, niech rwie, byleby chociaż na chwilę uwolnić się od samej siebie.

Wypadalo jednak zapytać:

– A co się stało?

– Samochód ją potrącił na pasach, przechodziła na czerwonym świetle. – Pan Tomek/Radek/Bartek westchnął i przywołał na twarz pobłażliwy uśmiech. – Głupia.

– Ojej, no tak, trzeba uważać.

– Nic bardzo poważnego się nie stało, ale nie wiadomo, czy przypadkiem biodro nie jest złamane. Rentgen mają jej zrobić za jakąś godzinę i wtedy się okaże. Jeśli złamane, to może nawet miesiąc w łóżku przeleżeć. Wyobraża pani sobie?

Miesiąc.

Jeśli miałyby przez kolejne trzydzieści dni szarpać się z własną niemocą, grzęznąć w nic niewartych wspomnieniach, a nocami zagryzać nagie dziaśła na przepeconej kołdrze, oszalałyby albo pękłoby jej coś w głowie, nie, to jest niemożliwe, ona musi się wreszcie dowiedzieć. Gdyby chociaż wierzyła w Boga, mogłaby łądzić się odrobiną nadziei, że po śmierci wpadnie w wielkie ramiona Kazimierza – ale jeśli tak, to co z Karolem? – nie wierzyła jednak, właściwie nie tyle nawet nie wierzyła, ile niewierzyła; wierna kapłanka Niewiary. Opuszczą ją więc na grubych linach do wykopanego dołu i zasypią piachem, by tam zgniła i powoli przesączyła się przez zmurszałe deski do cierplivej ziemi: jedyne, na co mogła liczyć, to czerń.

– To co, potrzebuje pani czegoś? Zakupów jakichś?

– Zakupów... zakupów. Nie... nie, kochany, dziękuję.

– Ale jakby co, to proszę podejść, zapukać.

– Dziękuję.

Znów krótka pieśń zawiasów, chrobot klucza w zamku, trzy kroki w tył, powoli, powoli. Izabela oparła się plecami o chłodną ścianę i spojrzała na grube drewniane drzwi przebite judaszowym ślepiem. To niemożliwe, że aż tyle...

...może od nich zależeć.

Ktoś tam teraz stoi – sąsiadka z dołu, listonosz, pijany student, co pomylił piętra, jehowi, Ada, a wraz z nim (nią?) wariant jakiejś przyszłości, otworzyć więc czy nie otworzyć?

Na palcach przeszedł do przedpokoju i szarpnął klamką, gwałtownie otwierając drzwi, za którymi mężczyzna z telefonem w dłoni szykował się już do odejścia. Dobiegał czterdziestki, ale ubrany był tak, jakby wieku chciał sobie ująć, miał masywny brzuch i szerokie ramiona, a przystojną



twarz porastał mu kilkudniowy zarost. Roztaczał intensywny zapach drogich perfum.

– Pan Ignacy?

– Tak.

– Czy jest Brunon?

– Nie, nie ma go...

– Ale w ogóle jest? Będzie później?

– Nie, nie ma go od jakiegoś czasu... będzie pewnie za tydzień. Czy coś takiego.

– To znaczy od kiedy go nie ma? Jestem jego ojcem.

– Nie wiem, nie pamiętam dokładnie.

– Czy mogę wejść?

– To znaczy... A o co chodzi?

– Chodzi o mojego syna, oczywiście.

– Coś się stało?

– Czy możemy wejść do środka? To naprawdę nie jest rozmowa, którą mam ochotę przeprowadzać na korytarzu. Nie po to tu przyjechałem.

Ignacy odsunął się, wpuszczając mężczyznę do mieszkania, ten z kolei błyskawicznym ruchem zdjął z siebie skórzaną kurtkę, odwiesił ją ostrożnie i chwycił się pod boki, mierząc Ignacego wzrokiem.

– Pan mieszka z Brunonem.

– Tak.

– I co? Gdzie on jest, do cholery?

– Co?

– Nie co, tylko gdzie on jest. Mieszkacie ze sobą? Macie ze sobą kontakt, tak? No to dzwoń do niego, zaraz. Co ten gnojek znowu wywinął?

– Ale ja nic nie wiem. On pojechał na snowboard. Z kolegami.

– A samochód stoi dwie ulice dalej? W krzakach?! Tak się teraz jeździ na snowboard?

– Jaki samochód...

– Usiądźmy, proszę, jestem tak wkurwiony, za przeproszeniem, że nerwy mi puszczają. Ma pan jakąś kawę?

Pięć minut później siedzieli, przedzieleni stołem, w pokoju Ignacego, a mężczyzna z obojętną miną przyglądał się panującemu wokół bałaganowi, popijając kawę i paląc cienkiego papierosa, którym zaciągał się tak, jakby chciał go połknąć.

– Niech pan mnie posłucha. Brunon nie pojechał na żaden snowboard, jego samochód stoi w jednej z bocznych uliczek przy Łazarskim, w sobotę moja siostra go widziała w supermarkecie, ale uciekł, a na jego wydziale jest teraz sesja egzaminacyjna. I właśnie o te egzaminy mi najbardziej chodzi, bo w wakacje to niech sobie znika i na dwa miesiące, ale ja tu potężne pieniądze płacę. Jak chce do końca życia jebać na budowie, to od razu to wszystko załatwimy inaczej, jego sprawa. Rozumie pan?

– Tak.

– Ma pan pojęcie, gdzie on może być? Gdzie zwykle przesiaduje, do kogo chodzi? Jak Boga kocham, nogi z dupy powyrywam.

– Bo ja wiem... Do jakichś kolegów chodził, ale ja nie wiem, gdzie oni mieszkają, nawet ich nie znam.

– A dziewczyna? Mówił, że ma dziewczynę.

– Dziewczynę! – parsknął Ignacy.

– Proszę?

– Nie, nie – odchrząknął. – Brunon nikogo nie ma na stałe.

– Na pewno?

– Tak mi się wydaje.

– A kiedy go pan ostatnio widział?

– Kiedy ostatnio... Ja wróciłem z Gdańska w środę, a jego już nie było, więc chyba we wtorek rano. A dzisiaj jest?

– Piątek. A pan ma na myśli ubiegły wtorek, tak? Czyli że nie ma go w domu od półtora tygodnia, dobrze rozumiem?

– Chyba tak.

– Kurwa. Telefonów nie odbiera, matka jeszcze chwila, a włosy z głowy będzie rwała. Nie myśli pan, że coś mu się mogło stać, co?

– Nie... chyba nie.

– Dobrze, niech pan mi tylko obieca, że gdyby on wrócił, zadzwonił do pana, cokolwiek, to da mi pan znać. Tu panu napisałem swój numer. Zadzwoni pan?

– Tak, oczywiście, zadzwonię.

Ruszyli do przedpokoju.

– Aha – Ignacy zatrzymał mężczyznę przy drzwiach – on dzwonił jakiś czas po wyjeździe, parę dni temu, może w weekend? Nie pamiętam.

– Tak?

– Chciał numer ze zdraпки, do konta bankowego.

– Co takiego?

– Numer ze zdraпки, do konta...

– Do konta... Rozumiem. Mam do pana tylko taką prośbę jeszcze, jeśli on się pojawi, jeśli tylko, kurwa, się tu pojawi, to niech mu pan powie, że jak zerwał lokatę, to mu tym razem zrobię krzywdę. Powie mu pan? Tak?

– Mogę powiedzieć.

– To ja bardzo proszę. Do widzenia.

– Do widzenia.

Ignacy usiadł przy stole, zgniótł palcem małego robaka wędrującego dostojnym krokiem po blacie, a potem wybrał numer do współlokatora i po kilku nieudanych próbach połączenia zrezygnował, niemal namacalnie

czując ulatującą wiarę w to, że ktokolwiek kiedykolwiek odbierze jeszcze od niego telefon.

Od samego początku niespodziewanej wizyty wydawało mu się, że gdzieś z tyłu głowy, w zarośniętym pajęczynami miejscu, którego od dawna już nie używał, czai się jakaś ważna myśl, której nie powinien przeoczyć. Momentami miał ją już na końcu języka, jak hasło z krzyżówki, które bawi się, wychylając na chwilę zza mózgowego zwoju jedną literkę lub sylabę tylko po to, by natychmiast ukryć się z powrotem, ale ani podczas rozmowy, ani tuż po niej nie potrafił załapać, co też to mogłoby być.

Na balkonie Ignacy zorientował się, że coraz częściej zerka wyzywająco w stronę przeciwległych kamienic, w których wedle wszelkiego prawdopodobieństwa od pewnego czasu pomieszkiwał Kotlet, jakby chciał wywołać go stamtąd i skonfrontować się z własnym wizerunkiem, przechowywanym – bądź nie – w głowie dawnego prześladowcy. Niechby i wszyscy, których w życiu spotkał, znaleźli się teraz w tym miejscu, pod jego balkonem, pokazałby im, że nie obchodzi go, co o nim myślą, że ich życia – choćby najwspanialsze – nie robią na nim żadnego wrażenia, bo on ma swoje własne radości i własne problemy, zmartwienia; bo naprawdę żyje.

Wypalał kolejne papierosy, próbując za jednym pociągnięciem jak najbardziej przysunąć do siebie pełzający po bibułce żar, aż w pewnej chwili dotarł do niego głos, który nie musiał – bo może nazbyt niski – ale mógł, należeć do Kotleta. Wyrzucił papierosa na chodnik i jednym susem znalazł się w pokoju, gdzie zajął pozycję obserwacyjną przy oknie przysłoniętym cuchnącą kurzem firanką. Nie, to nie Kotlet.

Kolejne pół godziny Ignacy postanowił spożytkować na wizytę w Biedronce; zamierzał kupić wódkę i sok pomarańczowy, a potem zaszyć

się w łóżku Brunona z kieliszkiem, szklanką i świeżo nabytym płynnym arsenałem.

Pił, póki nie zasnął, a tej nocy śniło mu się, że ucieka przed powyginanym czarnobiałym Czymś, które z dziwacznym chrobotem cwałowało za nim na wielu pałkowatych nogach. W pewnym momencie przystanął, zdecydowany z tym się skonfrontować, Coś jednak natychmiast samo rzuciło się do ucieczki i musiał podjąć się pościgu, by nie stracić go z oczu – niestety, Coś okazało się od niego szybsze i umknęło mu z łatwością.

Rankiem zapragnął umrzeć, ale tylko na chwilę i tylko tak jak co tydzień umrzeć pragnie ta część społeczeństwa, która cierpliwie przeczekuje kolejne poniedziałki, wtorki, środy, czwartki i piątki, by w sobotę w towarzystwie bądź też bez towarzystwa unieść się ponad swoje życie na skrzydłach wszelkiej maści używek z alkoholem na czele. Zimny prysznic po części ugasił to drżące pragnienie, reszty dokonała poranna kawa z czterech czubatych łyżeczek i pół trzystupięćdziesięciogramowej nutelli zjedzone prosto ze słoika – a byłby zjadł i całą, gdyby nie to, że było tylko pół.

Około jedenastej po raz kolejny spróbował połączyć się z Adą, która najwyraźniej jednak z uporem trwała w postanowieniu nieodbierania, zupełnie jakby wiedziała lub chociaż podejrzewała, że Ignacy wie to, co wie. Telefon odezwał się niecałą godzinę później. Dopadłszy do biurka, Ignacy stwierdził jednak, że to nie Ada, ale szef, nie odebrał więc, tylko odrzucił połączenie surowym przyciskiem z czerwoną słuchawką – niech wiedzą, co o nich wszystkich myśli. Od razu też wydało mu się, że płacenie abonamentu za telefon jest działaniem ku chwale absurdu, jaki bowiem sens tkwi w regularnym wnoszeniu opłat za możliwość wykonywania połączeń, z których żadne nie dochodzi do skutku?

Ciężkim krokiem do kuchni, tam bulgot wody w czajniku, woda do garnka, garnek na kuchenkę, do środka telefon, na wierzch pokrywka, a potem z powrotem do pokoju, by zdjąć ciuchy, wpełznąć pod kołdrę – śmierdziała – i z uśmiechem na twarzy pogрузić się w lekturze grubego kryminału, znalezionego w jednej z szuflad biurka Brunona.

Przez kilka godzin Ignacy nie odrywał wzroku od książki, wsłuchując się tylko co jakiś czas w dobiegający z kuchni kojący dźwięk pokrywki podskakującej nad gotującym się telefonem.

Wieczorem nabrał wigoru: włożył czyste spodnie i koszulkę, umył zęby, ogolił się i spryskał perfumami – pójdzie gdzieś albo lepiej posprząta w mieszkaniu, może odkurzy, pozbiera z ziemi pety, nie, najlepiej zacząć od wyrzucenia śmieci. Z werwą zabrał się do realizacji powziętego zamiaru – naczynia znikają ze stołu, papierki po słodyczach ginęły w kolejnych workach z niebieskiej folii, a te stawały w równym rzędzie przy drzwiach wejściowych.

Wyjmując wypełniony kopiasto kosz na śmieci z szafki pod zlewem, kątem oka dostrzegł brudną szmatę wciśniętą za szereg pustych butelek po lechu premium. Pochylił się i wyciągnął wilgotną koszulkę. Byłby z odrazą wrzucił ją natychmiast do kolejnego niebieskiego worka, gdyby nie to, że koszulka brudna była od krwi. Mowy o pomyłce być nie mogło, wykluczały ją charakterystyczny zapach i barwa; metka na ubraniu informowała o rozmiarze XL, był to zatem niewątpliwie element garderoby nie jego, ale Brunona.

Odłożył koszulkę do zlewu i powoli, ostrożnie stąpając po przedpokojowej terakocie, wszedł do swojego pokoju i starannie przeszukał go pod kątem niecodziennych śladów, szybko jednak przeniósł się do pokoju Brunona i znalazł.

Na panelach tuż przed suwanymi drzwiami wnękowej szafy widniała blada, ale teraz, kiedy już została odkryta, widoczna wyraźnie czerwona smuga – ktoś stał najwidoczniej plamę krwi sprzed szafy, ale zrobił to zbyt szybko lub zbyt niechlujnie i ślad pozostał.

Myśl, która zaczęła drczyć się z Ignacym podczas wizyty ojca Brunona i która bawiła się z nim aż do teraz, wyjrzała wreszcie z ukrycia i dumnie zadomowiła się w samym środku jego głowy:

Zrobiłem coś strasznego.

Po spędzonych ze sobą ponad dziewięciu dekadach Izabela знаła się już na tyle dobrze, by nie dziwić się, że w stosunku do pani Kasi nie odczuła nawet śladu współczucia, tylko złość i żal, że właśnie dzisiaj, a nie kiedy indziej sąsiadka musiała zawiesić na haku ostrożność i wpadając pod samochód, odebrać jej szansę na poznanie prawdy. Nie spodziewała się za to furii, która zalała jej oczy niedługo po wizycie pana Tomka/Radka/Bartka i której owoce leżały teraz na dywanie: zdeptany pilot od telewizora i popękany telefon stacjonarny z zerwaną pępowiną kabla. Tylko zadyszka i zmęczenie powstrzymały ją od realizacji nagłego zamiaru, by zagotować w garnku wodę i wrzucić do niej wszystko, co byłoby pod ręką: pilota, telefon, okulary, lekarstwa na nadciśnienie i każdy egzemplarz *Odwrotniaka*.

Zagrzebała się w ubraniu pod kołdrą i postanowiła, że zagłodzi się na śmierć, ale gdy tylko postanowienie to zaczęła brać na poważnie, zgłodniała i z poczuciem klęski poniosła obolałe ciało do kuchni, gdzie oddała się prawdziwej rozpuście: trzy kęsy zimnego schabowego, mandarynka, dwie rzodkiewki i pół naturalnego jogurtu. Z pełnym żołądkiem, ociążała, wróciła do pokoju; od niechcenia kopnęła jeszcze bezużyteczne truchło telefonu i zniknęła pod kuszącymi nierównościami kołdry. Czy naprawdę chciała tak wiele? Czy starzy ludzie nie mają już prawa do nawet tak drobnych fanaberii jak zakup zwykłej lupy – i to nie po to, aby skupiając promienie słońca, palić na parapecie schwyttane jakimś cudem muchy, ale by przeczytać swoją własną książkę i choć częściowo załatać ziejące w pamięci rozpadliny?



Niemal czuła, jak gdzieś w środku jej pragnienie rozpęka się na dwoje, że obok chęci poznania z kart *Odwrotniaka* prawdy na temat jej i Kazimierza pojawia się potrzeba zrobienia czegoś tylko po to, by to coś zrobić. Chcę obejrzeć film – obejrzę; chcę wypić mocną kawę – wypiję; mam ochotę wyjść na miasto i kupić sobie lupę – zrobię to, choćby mi chwilę później na zawsze miało stanąć serce. Zaciskając zęby – nawet one nie są naprawdę moje, a przecież, Boże, kiedyś miałam takie piękne zęby – wygramoliła się z łóżka i stanęła przed szafą, niepewna, czy pamięć znowu nie wprowadza jej w błąd: rzeczywiście kupiła kiedyś w telezakupach spacerowe kijki czy to tylko zwykły figiel głowy? Okazało się, że żaden to figiel, a kijki – niewyjęte jeszcze z foliowych opakowań – cierpliwie czekały za szeregiem niemodnych płaszczy, które według Izabeli kojarzyły się już tylko ze skrajnościami: nosiły je albo stare baby, albo nagie modelki na pikantnych zdjęciach retro.

Za młodu żywiła niewyartykułowane nigdy, ale silne przekonanie, że stare baby rodzą się, dorastają i umierają w tym samym wieku – stara baba to stara baba i Izabela nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że każda z nich musiała mieć kiedyś lat dwadzieścia i bardziej lub mniej jędrne ciało. A teraz sama była taką starą babą, dla której uklęknięcie przed szafą i wyrwanie z jej trzewi dwóch spacerowych kijków stanowiło zadanie niemal ponad siły – podołała mu jakoś, po czym, zmęczona, oparła się o wytapetowaną ścianę.

Co do tego, że Kazimierz Człapka nie żyje, nie miała wątpliwości – gdyby było inaczej, musiałyby mieć teraz jakieś... sto trzy lata i nawet jeśli niektórzy dożywają podobnego wieku, to na pewno nie tacy jak on. Izabela wiedziała, że ludzie jego pokroju umierają wcześniej; ich życia są tak masywne, że przy pewnej długości pękają pod własnym ciężarem jak podniesiony w lesie zbyt długi zmurszały kij. Myśl o tym, że Kazimierz nie

żyje, po raz pierwszy pojawiła się w jej głowie dwunastego listopada... którego roku? – nie pamiętała – i nie byłoby w tym może żadnego powodu do wstydu, gdyby nie to, że naszła ją ta myśl podczas pogrzebu jej męża. Za młodu czytała, że gdy Monet przyglądał się złożonej w trumnie żonie, nie wzdychał wcale do związanych z nią wspomnień, ale uważnie studiował grę światła i cienia na jej stężącej twarzy. Przekonana była wtedy, że taka obojętność na śmierć ukochanej osoby to apogeum zła, jakie może wyrosnąć w człowieku, i nie wyobrażała sobie, by można było zachować się jeszcze bardziej podle. Wiele lat później, skulona na drewnianym krześle w niewielkiej chłodnej kaplicy, ze wzrokiem utkwionym w trumnę, w której złożono ciało jej męża, zastanawiała się nad tym, czy pożegnał się już z tym światem jej były kochanek, a jeśli tak, to w jaki sposób. Na przekór narastającemu poczuciu winy rysowały się w jej głowie kolejne warianty śmierci Kazimierza: pod kołami samochodu, na sznurze pod powalą stodoły w obcej wsi, podczas wywołanej z błahego powodu bijatyki, przed sztalugami na skutek zawału i wreszcie wariant najpiękniejszy: w wyniku udaru pod palącym słońcem na pustyni. Żałobne pieśni wstrząsały podbródkami Ignasia i niedołężnej siostry Karola, a Izabela marzyła o tym, by chociaż z szacunku dla męża zedrzeć z twarzy tę bezczelną obojętność.

To wtedy po raz pierwszy w jej głowie powstało przypuszczenie, że stopy Kazimierza Człapki, którego nieodmiennie nazywała w myślach „swoim”, mogą ugniatać już drogi zupełnie innego świata. Wielokrotnie potem zastanawiała się nad tym, czy – jeśli rzeczywiście umarł – choć wspomniał o niej w ostatnich sekundach życia, czy pamiętał ją w ogóle, czy nie wrzucił jej przypadkiem do jednego kufra z wszystkimi tymi ludźmi, których wymyślał na użytek kolejnych opowieści, aby zaraz o nich zapomnieć.

Teraz wątpliwości już nie miała – sturzyletni Kazimierz Człapka brzmiał niedorzecznie – co w najmniejszym stopniu nie studziło jej palącego pragnienia, by przypomnieć sobie, jak skończyła się ich znajomość, wręcz przeciwnie, wydawało się jej, że żyje już tylko tym pytaniem.

Ostatnim razem wyszła z mieszkania... dwa miesiące temu? pół roku? rok? Zdaje się, że było dość ciepło, ale czy to była wiosna? czy lato? może jesień?... chyba raczej jesień, pamięta, że często padało – a może to jednak było lato? – wybrała się do sklepu, jednak w połowie drogi, dręczona zawrotami głowy, zmuszona była zawrócić. To wtedy w jej głowie powstała myśl, że dobrze by było na pewien czas zaopatrzyć się w jakąś podpórkę, najlepiej coś w rodzaju kijka, żeby nie uwięzić się w domu, dopóki zawroty głowy nie ustąpią. Przekonanie, że dolegliwości ustąpią, było tak mocne, że zaczęła się nad nim nawet zastanawiać: wiedziała przecież, że zawroty głowy miną, ale na zdrowy rozsądek należało przyjąć także ewentualność – czysto teoretycznie – że wcale tak się nie stanie. Naraz przypomniała sobie swoją matkę, która przykuta do łóżka do ostatniej chwili święcie wierzyła, że jej choroba ma charakter chwilowy, że opuchlizna zejdzie, a ona zatańczy jeszcze na weselu córki. Zdawała się zupełnie nie dostrzegać tego, czym się stała – a stała się szkieletem byle jak oklejonym przezroczystą skórą – i tego, że całe jej ciało spłynęło w napuchnięte, fioletowe nogi. W które wżerały się głęboko czarne odleżyny.

Zaraz też pomyślała o wszystkich tych starcach, których usta układają się w cicho powtarzane: „To już moje ostatnie święta” czy: „Czuję, kochana, że już niedługo na mnie pora”, ale przeglądając je na wylot, dostrzegała w nich zawsze ukrytą kurtuazję podobną do tej, w którą sama brnęła podczas spotkań autorskich, kiedy wychwalano jej powieść pod niebiosa, a ona osłaniała się przed tym gestami fałszywej skromności. Izabela przekonana była, że człowiek w podeszłym wieku nie potrafi zaliczyć się

do kategorii starców i zawsze podda się złudnej nadziei na wyzdrowienie, choćby wyszczerzona w uśmiechu kostucha siedziała mu już na kolanach. Przemóżne pragnienie życia niszczy każdy racjonalny argument i łamie wszelkie barykady wzniesione z wątpliwości, bo jak tu pogodzić się z tym, że za chwilę już się nie będzie, że się zupełnie zniknie, podczas gdy nadal zapełniać się będą księgi przychodów i rozchodów, gazety ukażą się bez opóźnienia, a po wieczornym wydaniu wiadomości jak gdyby nigdy nic podadzą prognozę pogody. Lepiej już wierzyć, że miną te zawroty głowy.

Miną, miną, trzeba tylko dobrze się tymi kijkami podpierać, żeby się, broń Boże, nie przewrócić i nie złamać biodra, bo złamane biodro to jest piekło za życia, ale jak się uda nie przewrócić, to wszystko będzie dobrze, wróci się do domu i poczeka, aż organizm wydobrzeje – bo tak naprawdę to głównie chodzi o tę pogodę.

Ach tak, pogoda...

Trzeba się przecież odpowiednio ubrać, niekoniecznie bardzo ładnie – bo modnie to wiadomo, że nie – ale odpowiednio, czyli stosownie do temperatury, siły wiatru i ewentualnych opadów: żeby nie zmarznąć, ale też nie spocić się, to by było dopiero, usiąść w domu z upragnioną lupą i umrzeć z przeziębienia. Termometry pozostawały raczej zgodne, ten w kuchni wybijał rtęć do poziomu ośmiu, ten w pokoju – do dziesięciu stopni, na pewno należało więc włożyć długie ciepłe spodnie dresowe, które sobie kupiła w promocji w jednym z supermarketów (kiedy to było, ze dwa, jeśli nie trzy lata temu), sweter, najlepiej płaszcz, stary, ale porządny, i chustkę na szyję, koniecznie chustkę na szyję! Chyba że nie te dresowe, bo jednak trochę wstyd, a nuż ktoś znajomy się napatoczy – znajomi napatoczą się właśnie wtedy, kiedy człowiek chyłkiem przemyka po mieście w ciepłych dresowych spodniach – dlatego może lepiej te ciemne, materiałowe, chyba w nich nie zmarznie, a właściwie to najlepiej

jeszcze pod spód kalesony, tak, to będzie rozwiązanie równie dobre, a nie trzeba będzie najadać się wstydu. Z tym swetrem to też tak chyba nie do końca, bo jak trzeba będzie w sklepie wybierać lupę – chyba to nie jest tak, że mają w ofercie tylko jedną – to się na pewno rozbierze, a przynajmniej rozepnie, tak, rozpiąć się trzeba, bo jak nie, to wiadomo, zgrzeje się, i katastrofa, no ale jak tu się rozpiąć, jak pod spodem swetrzysko takie, że strach w czymś podobnym do schowka po kartofle, a co dopiero do ludzi... Nie, włoży bluzkę, tę z długim rękawem (ale czy ona ma żabot? chyba tak, to jest chyba ta z żabotem, ale czy żabot przeszkadza? nie, dlaczego miałyby przeszkadzać?), a na wierzch żakiet, ten grafitowy, wtedy to się może nawet celowo rozepnie w sklepie, ale zaraz, ten żabot do żakietu to może pasować raczej kiepsko – może dramatu wielkiego od razu nie będzie, aż tak to nie, ale szczytem elegancji nazwać tego też nie sposób – chyba że się nie rozepnie, tak, to się najwyżej po prostu nie będzie rozpinać.

Wyszukiwanie ubrań, rozterki nad znajdowanymi fataląszkami, wspomnienia związane z tym czy owym, wkładanie potem tego wszystkiego z powrotem do szafy, obieranie spacerowych kijków z folii, dopasowywanie butów – bo przecież jeszcze buty! – wszystko to zajęło Izabeli ponad trzy godziny, po których nie była w stanie bez dwóch postojów przejść z pokoju do kuchni, nie mówiąc już o poważniejszych wyprawach. Pójdzie jutro, postanowiła. Wyruszy z samego rana, żeby już po południu móc zatopić się w lekturze *Odwrotniaka* – na samą myśl kolana niemal ugięły się pod ciężarem jej wyczerpanego ciała. Usiadła ciężko i przejechała dłonią po siedzisku kanapy. Materiał był chropowaty i ugiął się pod opuszkami palców, które poruszały się po nim jak palce ślepeca po stronicy zapisanej brajlem: aż strach, czego o historii...

...łóżka można by się dowiedzieć, gdyby dało się czytać z tych drobnych szorstkich węzełków. Czy materiał potwierdziłby sporządzoną na

komputerze Brunona listę zdobywcy, zadałby jej kłam, czy może rzucił na nią zupełnie nowe światło, ukazując skrywane oblicze Brunona, demaskując jego klęski i słabości? Czy wreszcie, sunąc palcem po obiciu kanapy, dałoby się wrócić do wydarzeń, których Ignacy nie pamiętał, a których dramatyzmu – krwawa smuga na podłodze była tam ponad wszelką wątpliwość – mógł się tylko domyślać?

Zrobiłem coś strasznego.

Jak zdusić tę myśl, kiedy kilka metrów od lewej stopy znajduje się wyraźna smuga, dowód, a z dłoni zwisa drugi, koszulka aż ciężka od wchłoniętej krwi? Zapalił. Nie potrafiłby zdecydować, co napawało go większym strachem: niepewność w kwestii tego, co zaszło, czy sam fakt, że niczego nie pamiętał – bo jak można tak zupełnie, całkowicie czegoś nie pamiętać? Istniała też niestety możliwość, że sam wyparł z głowy wspomnienie, które go od środka okaleczało i nie pozwalało bezboleśnie w tym świecie funkcjonować – czyż nie pomyślał przed chwilą, że gdyby bardzo się postarał, to może udałoby mu się zapomnieć o smudze i zakrwawionej szmacie? Czy w takim razie mógł sam przed sobą przysiąc, że nie zastanawiał się w taki sposób już nad czymś wcześniej i nie wyrzucił celowo z pamięci tego, co tutaj zaszło? Ale gdyby tak było, gdyby rzeczywiście wymazał niewygodne wspomnienia, to czy nie zostałyby po nich ślad, choćby mglisty zarys wydarzeń, choćby cień czegoś, czego – nie wierzył, nie wierzył, nie wierzył – najprawdopodobniej się tutaj, w tym pokoju, dopuścił?

Przeniósł wzrok ze swoich nieruchomych dłoni na szafę rozpostartą między ścianami: niezależnie od tego, co się stało, stało się właśnie przy szafie – to wydawało się pewne. Podeszedł bliżej i wyciągnął przed siebie dłoń; znieruchomiła kilka centymetrów przed gładką powierzchnią suwanych drzwi w kolorze imitującym imitację czegoś, co w katalogu

sprzedawcy szumnie nazwano zapewne sosną. A co, gdyby tak otworzyć tę szafę, jednym szybkim ruchem odsunąć drzwi, a potem drugie i trzecie, gdyby tak przeszukać ją całą, przerzucić jej zawartość, wybebeszyć? Może rozterki skończyłyby się, zanim się na dobre zaczęły, może powód plamy na podłodze to efektowny banał, może nic się tak naprawdę nie stało, może to tylko drobiazg, który przybrał w jego oczach dziwacznie rozdmuchaną postać? Tak, tak by było najlepiej: otworzyć.

Stykając dłoń z powierzchnią sprężystej, twardej płyty, Ignacy pomyślał, że szafa jest zbyt gładka, by kryć w sobie jakieś wielce dramatyczne tajemnice – gdyby z powierzchni przedmiotów można było czytać dotykiem, z tej płaskiej płyty nie dowiedziałby się niczego. Położył się w łóżku Brunona i zapalił; strzepując popiół na podłogę, zobaczył rażno krocącego po niej średniej wielkości półprzezroczystego brązowego robaka.

A gdyby go tak nie zgnieść, pomyślał Ignacy z dłonią w połowie drogi między łóżkiem a ofiarą, zobaczyć, dokąd pójdzie? Jakby w odpowiedzi na to pytanie robak, nie zmieniając tempa, przemierzył pokój i zniknął w szczelinie między ścianą a szafą.

Ignacy wyskoczył z pościeli i z głową ściśniętą między dłońmi przeszedł do swojego pokoju, a stamtąd na balkon, powtarzając bez przerwy przekleństwa, jedno za drugim; nie wypowiadał ich nawet – wyjękiwał, wypłakiwał, wypluwał. Chwycił barierkę i zacisnął na niej bielejące palce; to wszystko się zaraz przewróci, zostanie gdzieś wessane, trzeba się trzymać, mimo że nic to nie da, że i tak się spadnie ze wszystkim innym, to trzeba się trzymać – więc się trzymał.

Ale nic się nie wydarzyło.

Kamienice niewzruszenie stały przy ulicy, wrosnięte wzdłuż chodników, po których ludzie kursowali we wszystkie strony, nic nie zaczęło się

zapadać, nic nie szerniało, nie obróciło się w pył.

Ignacy oderwał filtr od papierosa i palił, zdrapując zębami z języka klejące się do niego drobiny tytoniu, potem wszedł do mieszkania i usiadł przy stole – w dłoń długopis, na blat kartka papieru.

Po dwóch godzinach leżała przed nim rozwiewająca wątpliwości odpowiedź w formie diagramu: ze szczytu drzewiastego wykresu spływały w dół warianty wydarzeń, wszystkie oprócz jednego przekreślone pojedynczym iksem – ten jedyny nieprzekreślony nie zmieścił się na kartce i wyrastał poza nią na stół.

Laptop rozbłysnął prostokątnym okiem, a kursor przedzierał się przez kolejne ikony folderów, aż dotarł do najgłębszego i powołał do życia nowy plik, by wtargnąć w niego i wylać do środka kolejne niemieszczące się w głowie słowa:

*Moja Ado – dłonie zaciśnięte na głowie, powieki ciasno opięte na gałkach ocznych, wstyd wysącza się przez pory i spływa wzdłuż kręgosłupa – pozwolę sobie na taki, a nie inny początek, choć ten śmiały zwrot to żaden akt odwagi, ale dowód tchórzostwa – czuję się jak ci myśliwi stawiający stopy na jeleniach ustrzelonych z odległości i z karabinu kolegi – ale trudno się przed podobnymi gestami powstrzymywać, bo jak to pięknie tak wbić but w pysk pokonanego zwierza, jak to pięknie napisać do Ciebie: Moja Ado. Moje tchórzostwo wynika z tego, że mogę nazywać Cię, jak mi się tylko podoba, bo już mi za to nic kompletnie nie grozi, a dlaczego spośród tysięcy możliwych określeń i epitetów wybrałem akurat „Moja Ado”? Dlatego że w pewnym sensie rzeczywiście jesteś teraz już moja. Mam wrażenie, że mógłbym tak bredzić bez końca, bo w długim, niekończącym się wstępie widnieje pewna, nikła, bo nikła, ale jednak jakaś nadzieja na to, że do sedna sprawy w ogóle nie przejdę, że resztę życia spędzę na pisaniu tego pierwszego akapitu. Byłoby pięknie, gdyby tak się dało.*



*Drugi akapit. Tak, odważyłem się, ale zaraz w głowie myśl, pokusa: a gdyby tak w nieskończoność i ten fragment listu przedłużać? Pierwszy akapit to pięć zdań, to już zapadło, ale drugi może liczyć ich milion, bilion lub tyle, ile zdążyłbym napisać do swojej śmierci. W wypadku każdego człowieka istnieje liczba określająca sumę zdań, jakie mu pozostały do końca życia, i gdyby tak wszystkie te zdania włożyć tutaj, nie wychodzić poza strukturę listu do Ciebie, bo i po co? Co mi na zewnątrz tego listu pozostało?*

*Akapit trzeci zrodził się jakoś tak odruchowo: pyk, i palec na enterze, pyk, i druga przerwa w tekście. Ależ ja bredzę; dobrze, że tego nie przeczytasz. No więc świat na zewnątrz tego listu: co mnie tam, w tej dzikiej dżungli, czeka? Konsekwencje. Głównie konsekwencje, bo nic innego nowego już się nie wydarzy, będą tylko echa tego, co już zdążyło się stać, tylko cienie uczynków już uczynionych, tylko pogłosy słów, które już wypowiedziałem.*

*Zabiłem Cię.*

*Chryste, że też coś takiego da się w ogóle zapisać, że we wszystkich językach świata jakby nigdy nic można bez popadania w lingwistyczne i frazeologiczne pułapki napisać: zabiłem Cię.*

*Ale zabiłem Cię nieświadomie, w jakimś zalewie szału, który mi się nigdy wcześniej nie zdarzył, bo kiedy przeczytałem w komputerze Brunona, że Ty i on, że ktoś taki jak Ty z kimś takim jak on, a przecież mogłabyś, no przecież mogłabyś tyle, ja bym Ci wszystko, wszystko, księżniczko, królowo, a Ty z nim, więc coś mnie opętało i kiedy przyszłaś, pomyślałem, że to sąsiadka z dołu, zaczęliśmy się szarpać... Sama wiesz, co było dalej. Ja nie wiem, bo wmówiłem sobie, że to nie Ty przyszłaś, ale sąsiadka, więc wyryłem sobie w pamięci, że uciekła, a ja stałem długo na korytarzu,*

zaślepiiony i drętwy, podczas gdy tak naprawdę sprzątałem wtedy po tym, co się stało, zaczynałem już żyć konsekwencjami.

Wcześniej – bo o tym pewnie nie wiesz – odebrałem życie Brunonowi. Wezbrało we mnie wszystko to, co skraplało się tam przez lata, Brunon zmieszał się tam z panią Zalewską, kolegami ze studiów, Kotletem i wszystkimi tymi, których zdążyłem w życiu znienawidzić. Przełało się to wszystko, kiedy zobaczyłem Twoje imię i nazwisko w tabeli zapisanej na jego komputerze, a potem zabiłem go, przestawiłem samochód kilka ulic dalej, a przed jego ojcem udawałem, że wyjechał na snowboard. Przed sobą także, bo nic nie pamiętam, gotów byłbym nawet spierać się, że to wcale nie ja, ale dowody mówią same za siebie: zakrwawiona koszulka, ślad na podłodze, zniknięcie Brunona, notatka o snowboardzie, którą sam do siebie napisałem, wreszcie brak kontaktu od Ciebie. To tak, jakbym czytał kryminał, w którym mordercą okazuję się ja, i byłoby to nawet pod pewnymi względami interesujące, gdyby nie fakt, że jedną z dwóch ofiar jesteś Ty.

Każda książka – kryminał czy nie kryminał – jakoś się jednak kończy, to wszystko nie może się tak zwyczajnie rozpuścić w powietrzu, finał jakiś nastąpi, ale czy ja mogę, jako bohater, jakoś na niego wpłynąć, zmienić go, nagiąć pod siebie? Pod Ciebie? Przecież nie może być tak, że ja Cię zabiłem, i tyle, bo to nie tak, a na pewno nie do końca tak, to wszystko bardziej skomplikowane, ja Ciebie nie mogłem zabić, tak jak inni zabijają innych, bo ja Cię kochałem, Kocham.

Więc to zupełnie nie tak, ale przecież niczego to nie zmieni: ludzie będą na to patrzeć jak na każde inne – jak to powiedzieć, jak zapisać? Bo przecież nie „morderstwo” – wydarzenie.

Ale co teraz?

Ty już nie żyjesz, ale ja jestem tchórzem, więc będę żył dalej.

*Chyba że się jednak odważę, ale skoro wcześniej nigdy się nie odważyłem, to nie spodziewam się, bym teraz nagle wykrzesał z siebie potrzebną na to siłę.*

*A teraz pójdę do pokoju Brunona, otworzę szafę.*

W pokoju Brunona wszystko było jak dawniej, szczyt bezczelności: jak ta książka może dalej istnieć, dlaczego mrugają te światełka na routerze, jakim cudem ten autobus przejechał właśnie za oknem? Szeroka szczęka parapetu, niżej równe żebra grzejnika, obok łóżko jak barłóg, masywy kołdry i płytkie wąwozy biegnące w prześcieradle, zwały książek, wieże z komiksów, szklanki i kubki z fusami zaschniętej sypanej, ponad tym słońce zamknięte w kremowy abażur i biegnąca sufitem pojedyncza czarna linia elektrokardiogramu.

Ignacy usiadł i długo wpatrywał się w to rozedrgane pęknięcie, a potem podszedł do szafy i obserwował, jak jego dłoń przebija się powoli przez powietrze i zastyga, rozpostarta przed powierzchnią środkowych drzwi. Stał tak minutę, dwie i dziesięć, aż w końcu powoli przyłożył rękę do drewnopodobnej okleiny i cofnął ją natychmiast, czując, że po policzkach spływają mu dowody własnej żalności.

Wydostał się na balkon i z dłońmi wpitymi w chłodną barierkę mrucał pod nosem kolejne przekleństwa, zlepki przekleństw, ich kolaże i mutacje, a potem wrócił pod szafę i znowu jej nie otworzył, a potem wracał jeszcze wiele razy, zawsze z tym samym skutkiem. Kolejne godziny wypełniły się tym wracaniem i zamieraniem przed prostokątem taniej sklejki, kolejne minuty zwalniały, złożone z milionów sekund, jedna gorsza od drugiej, wreszcie Ignacy wyślizgnął się z mieszkania. Na zewnątrz było szaro, ni to wieczór, ni ranek, z niewielu okien biła...

...żółta poświata, chodnik dziwnie chwiejny, powietrze nieruchome, iść czy nie iść? Pójdzie.

Wyruszyła o świcie.

Pierwszym krokiem towarzyszyły narodziny wstydu z powodu kijków, w głowie Izabeli, jak na złość, pojawił się ciąg kawałów, których, o dziwo, nikt jeszcze o starych babach z kijkami nie opowiadał („Jakie są dwie najgorsze obelgi, jakie może usłyszeć stara baba z kijkami? Że jest stara. I że ma kijki”), ale co robi? nic nie robi, więc trzeba iść, tylko zaraz, bo na przystanek do centrum to można w lewo albo prosto, któraś trasa jest na pewno krótsza, ale jak tu się trzeźwo nad takimi rzeczami jak wybór trasy zastanawiać, kiedy się jest starą babą z kijkami?

Wybór padł na prosto, stuk, stuk, stuk, uderzały o chodnik kijki, jakby nie można ich było czymś miękkim obciągnąć, a tu taka twarda guma, która stuka o chodnik, jakby celowo próbowała zwrócić uwagę wszystkich na tę pokrakę, sunącą wolno wzdłuż ciągu kamienic, na to, co kiedyś było szczupłą Izabelą Baczko, a potem Izabelą Grycz, równie szczupłą, i to jest nie do wiary, jak one się mogły zamienić w ten obolały wór kości i mięsa. Byle tylko do przystanku, potem będzie łatwiej, bilet się kupi w autobusie, ale czy drobne... – już ręka w kieszeni, uszykowane trzy złote, sprawdzane pięć, dziesięć, może piętnaście razy, leżą bezpiecznie na miękkim dnie, można iść dalej, stuk, stuk, stuk, noga za nogą, wzrok wbity w kolejne chodnikowe płytki, a może by je tak zacząć liczyć, może byłoby szybciej, ile jeszcze takich płytek do przystanku: sto, tysiąc, pięć tysięcy? Nie, pięć tysięcy na pewno nie, na samą myśl o pięciu tysiącach chodnikowych płytek to aż pot na plecach, a pot na plecach jest teraz bardzo niemile widziany, czyli że chyba lepiej już będzie nie liczyć, tak myślała, przedzierając się przez kolejne metry sześciennych gdańskich Kokoszek („Idzie stara baba z kijkami na przystanek, a przystanek na to: do

zobaczenia za tydzień!”), że też te przystanki stawiają tak daleko od siebie, kto to wymyśla, pewnie ci sami, co uliczne pasy na trzydzieści metrów, miniklawiatury komórek i tramwaje ze schodkami.

Przystanku jeszcze nie widać, ale za kolejnym rogiem powinien już się w zasięgu wzroku pojawić, wtedy się na chwilę zatrzyma, rozmasuje biodro („Przychodzi stara baba z kijkami do lekarza, a lekarz na to: nie mam dzisiaj ochoty na żarty”), a potem już będzie niedaleko, stuk, stuk, stuk, coraz bliżej do tego rogu, już zaraz, zaraz odpoczynek.

Oparłszy się o ścianę – ale tak, żeby wyglądało, że się nie opiera – Izabela próbowała wytłumaczyć sobie, dlaczego przystanku jeszcze nie widać; wydawało jej się, że to tuż-tuż, a jeśli nawet nie, to prawie tuż-tuż, więc chyba niemożliwe, by zostało jej jeszcze tyle do pokonania – ten chodnik nie jest przecież z gumy – to pewnie te krzaki podrosły, zasłaniają, przejdzie obok nich i ujrzy przezroczyścielony finał wędrówki.

Dwadzieścia minut później, podniesiona na duchu własnym triumfem, ze wzrokiem wlepionym w upragnioną wiatę zgarbioną nad tłumkiem oczekujących, Izabela przyspieszyła kroku i z uczuciem przemożnej ulgi przysiadła na ławeczce, uprzednio strącając z niej zmęczonym wzrokiem młodzieńca z rudą brodą. Zanim się obejrzała, wielorybie cielsko autobusu z sykiem znieruchomiało obok przystanku, wygniatając z siebie ludzi, których miejsce natychmiast zajmować zaczęli kolejni. Wszystko byłoby dobrze, gdyby spostrzegła autobus wcześniej – wstałaby, zajęła strategicznie optymalną pozycję – a teraz wszystko na gwałtu rety, zdąży, a może i nie zdąży, więc szybko, z ławki w tłuste cielsko – stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk – zdążyła, udało się, ale miejsc siedzących żadnych, nikt nie wstaje, trzeba przylepić się do barierki, kijki pod pachę, jeden upadł, ktoś podniósł i podał, plecy już całe spocone, autobus ruszył, dłoń zsunęła się z uchwytu, ciało uderzyło o kogoś z tyłu, przepraszam, dookoła

zainteresowane twarze i coraz więcej miejsca, jakby nikt nie chciał stać obok Izabeli, jakby ktoś taki jak ona nie miał prawa podróżować obzartym do syta środkiem lokomocji („Ile starych bab z kijkami mieści się w autobusie? Ani jedna”), jakby jej pojawienie się zburzyło panujący wewnątrz sekretny, niezmienny porządek.

Chryste, bilet! Izabela puściła uchwyt i jęła przeciskać się przez ciasną zbitkę brzuchów, pleców, piersi i ramion, klucząc ponad mozaiką z butów, schylona pod parasolem spojrzeń, a płynne perystaltyczne ruchy przedzielonego harmonijką kadłuba przerzucały ją z boku na bok, w przód i w tył, tak że z przepaszającym wyrazem twarzy raz po raz lądowała a to na czyjejs stopie, a to pod czyjąś pachą. Podróż do biletowego automatu trwała pół odległości między przystankami, potem długo jeszcze szczelina umykała przed miękkim brzegiem biletu, po plecach ciekło od wbitych w całe ciało spojrzeń, wreszcie udało się, automat zgrzytnął przeciągle, dając tym samym sygnał do powrotu, więc znowu przez płataninę tułowi i kończyn, znowu przepaszam, przepaszam, przepaszam. Przytulona wreszcie do tego samego uchwytu co wcześniej Izabela zapragnęła znaleźć się w domu, bo jak tu później wrócić, jak ponownie przeżyć ten duszny koszmar zgniotu, a potem niekończącą się wędrówkę?

Wysiadając, poczuła, jak chłodny podmuch wiatru wkrada się jej pod kurtkę i z radością odnajduje wilgotną skórę; przeziębi się, głupia stara baba z kijkami, wyszła z domu po raz pierwszy od dawna i od razu się rozchoruje; ale zawrócić teraz, kiedy już ponad połowa drogi za nią? Nie, dokończy, co zaczęła, zmusi się, pójdzie dalej. Biodro wrzynało się głęboko w ciało, każdy krok wpychał je coraz głębiej, a każde stuknięcie gumy o chodnik zwiastowało ból, który przedzierał się przez mięśnie i kości, wybuchając w okolicach prawego uda.

Na ławce przy parku przesiedziała godzinę, na przystanku tramwajowym kolejną, masując obolałe biodro i nogę, a potem, kiedy otwarto już sklepy, z niepokojem wirującym w sercu na zmianę z nadzieją zaczęła pytać o lupę – w kiosku nie mieli, w Relayu także, nie mieli w trafice, tak samo w czterech sklepach handlowego pasażu.

Brnęła przez niechętne jej miasto, a w głowie zakwitała myśl, że być może w całym Gdańsku nie ma ani jednej lupy, że może teraz się podobnych przedmiotów już nie używa ani nie sprzedaje i cały jej wysiłek pójdzie na marne: zaziębi się, rozchoruje, ale celu nie uda się osiągnąć. W południe opadła na ławkę przed wysokim biurowcem, odwinęła z papieru przygotowane w domu kanapki i żarłocznie wpiła w nie to, co nazywała zębami: pusty żołądek witał kolejne kęsy z radosnym burczeniem.

Szyld z napisem „Militaria” wypatrzyła, kończąc drugą kanapkę, tę z lekką margaryną, serem morskim i dwoma plastrami obranego ze skórki pomidora – nieobrany pomidor to jest lekkomyślne igranie z własnym organizmem – i z początku nie zwróciła na niego uwagi, sądząc, że w takim sklepie sprzedaje się czołgi albo przynajmniej karabiny. Za sklepem zaczynał się jednak kolejny pasaż, więc chcąc nie chcąc, musiała obok niego przejść, a skoro już przechodziła, to jak tu nie zerknąć na wystawę, a na wystawie, jakby nigdy nic – średniej wielkości, opatrzona zieloną naklejką z ceną, najprawdziwsza w świecie lupa.

Po zwycięskim pojedynku z piątką wysokich, niewiarygodnie wąskich schodków Izabela weszła do sklepu, co zapowiedział głośno i wyraźnie zawieszony gdzieś nad drzwiami dzwonek, wywabiając z zaplecza sprzedawcę. Był to mężczyzna w wieku Ignacego, z długimi włosami upiętymi w kucyk i ciemną, starannie przystrzyżoną bródką, ubrany w obcisłą koszulkę i spodnie z mnóstwem kieszeni.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał z uśmiechem, opierając dłonie na szklanej ladzie, pod którą mieniły się dziesiątki scyzoryków, latarek i zapalniczek.

– Chciałabym kupić lupę.

– Proszę bardzo. Jaka ma być? Mamy pięć rodzajów lup kieszonkowych, wszystkie składane i bardzo podobne, cena od osiem pięćdziesiąt do szesnastu złotych. Ja bym osobiście polecał tę, która jest na wystawie.

– Tak, poproszę tę z wystawy – zgodziła się Izabela.

Lupa nazywała się Ballon 8850A, wyposażona była w plastikową soczewkę o średnicy pięćdziesięciu milimetrów, kosztowała trzynaście złotych i niecałą minutę później obciążała już wewnętrzną kieszeń kurtki Izabeli. Zanim uszła sto kroków, stuk, stuk, stuk – brzmiało to teraz tak wesoło – zawróciła do sklepu i kupiła jeszcze jedną lupę, taką samą, na wypadek gdyby pierwszą ktoś jej ukradł, gdyby ją zgubiła, stłukła albo coś w tym stylu.

Powrót do domu przypominał sen: przewijały się wokół niej kolejne osoby, samochody i tramwaje, kolorowe reklamy w oknach i szyldy nad głową, matki z wózkami i ludzie w garniturach, wszystko to wirowało, dopóki po raz drugi tego dnia nie wsunęła biletu w szczelinę kasownika, a potem usiadła na wolnym miejscu przy oknie. Ślimacząc się drogą między przystankiem a mieszkaniem, pomyślała nawet o tym, czy nie odrzucić kijków: czuła się pełna energii, a zarazem wzbierało w niej przekonanie, że po lekturze *Odwrotniaka* ani jej będzie w głowie wychodzenie na świat; pogrąży się we wspomnieniach, uporządkuje szufladę pamięci i najchętniej sama w niej zamieszka. We wspomnieniach nie była starą babą z kijkami, o nie, nic z tych rzeczy, była szczupłą, energiczną, młodą, we wspomnieniach nie przyszłoby jej nawet na myśl, że mogłaby kiedyś przepoczwaczyć się w coś podobnego.



Sama w to nie wierząc, spocona i ledwo żywa, z oddechem wyrywającym się dziko z klatki piersiowej i napuchniętymi nogami, wreszcie znalazła się w domu. W pokoju panowała duchota, kratka wentylacyjna wypluwała zapach schabowych...

...smażonych w mieszkaniu wyżej, a przesiąknięte potem ubranie cuchnęło.

Wyruszył o zmroku.

Nie otworzył szafy, tchórz, niech zrobią to za niego. Raz jeszcze rzucił okiem na rejestr połączeń – nie do wiary, naprawdę zadzwonił pod obydwa numery, aby gubiąc słowa, przyznać się do tego, co zrobił, niech zjawią się srebrno-niebieskie radiowozy i pękata karetka z pulsującym światłem na dachu, niech wyniosą na zewnątrz zimne, martwe owoce jego szaleństwa, a on będzie niedaleko, po drugiej stronie ulicy, ukryje się w bramie, stanie się samymi oczami. Kupiony przed chwilą telefon i prepaidowa karta już się nie przydadzą, niech zachrząszczą pod butem, o tak, jeszcze raz, i jeszcze.

Ignacy przyłgnął plecami do ściany kamienicy i ukrył dłonie w kieszeniach: minuta, dwie, dziesięć, nie wiedział, ile czasu minęło do momentu, kiedy z daleka dobiegł go odgłos nadjeżdżającego pogotowia. Poczuł, że dopiero teraz przeżera mu się przez ciało wypity alkohol – ponad ćwierć litra żołądkowej – mięśnie wiotczeją, a myśli zasypiają w głowie. Cofnął się w bramę, wsłuchując się w pieśń karetki, nucącej o tym, że to już się nie odstanie, konsekwencje płyną dalej, jeszcze kilka minut, a porwą go zupełnie, odbiorą siłę w nogach i rozum.

Karetka zatrzymała się przy krawężniku po przeciwnej stronie ulicy, a Ignacy zamknął oczy, próbując wyobrazić sobie siebie samego po ujrzeniu ciała Ady, kiedy ciężka dłoń opadła mu na ramię. Wzdrygnął się i oderwał plecy od ściany, a potem obrócił się, stając naprzeciw Kotleta.

– Przysięgam, że nie wierzę. Korzeń? Ignacy Korzeń?

– Tak... Cześć.

– No witam, witam. Widzę, że mnie nie pamiętasz. Chodziliśmy razem do liceum, to znaczy ja chodziłem do a, a ty chyba do ce. Darek Jarmołowicz – mówiąc to, wyciągnął dłoń. – Kotlet na mnie mówili. Mieszkaś tutaj?

– Nie, nie tutaj... – Ignacy wskazał przeciwległy budynek. – Tam.

– No coś ty! I ja cię tu dopiero pierwszy raz widzę?

– Ano... ja ciebie też, pierwszy raz.

– A co robisz? Pracujesz tutaj? Ja się niedawno przenieśliem z Gdańska, szwagier mi tu załatwił robotę. Możliwe, że się przeniesiemy na stałe.

– Ja tak, pracuję tutaj.

– Jadę teraz na dworzec po żonę, ale może byśmy kiedyś wyskoczyli na jakieś piwo, co? Oprócz szwagra to ja tu na razie prawie nikogo nie...

Ignacy odepchnął go i puścił się biegiem wzdłuż ulicy, wpadł za róg kamienicy, a potem pędził dalej, zostawiając za sobą Brunona, karetkę, parkujący na chodniku radiowóz i mieszkanie, w którym żył od ośmiu lat, a w nim wszystkie książki, komiksy, filmy i obrazy, wszystkie światy, w których znajdował schronienie przed światem; zostawiał za sobą Biedronkę, w której setki razy znikał po zakupy, ulicę, której odgłosy przez kilka tysięcy wieczorów utulały go do snu, i chodnik, na którym zdarł kilka par butów, chodząc, biegając, żyjąc.

Mijał kolejne ulice, budynki i samochody, kolejne klomby i śmietniki, sklepy i reklamy wielkoformatowe, kolejnych ludzi z ich wózkami, psami i życiorysami przeciętymi nagle z jego własną historią, z jego ciągiem konsekwencji.

Alkohol z szumem przepływał przez ciało, zamieniając mijane ulice w niewyraźne plamy, za którymi zamiast bloków, sklepów i ludzi równie dobrze mogły kryć się drzewa wrośnięte gałęziami w ziemię, klatki

z królikami, wielkie psy i nieruchome słońca, a między nimi ławice czarnych kalmarów, kolorowe kruki, bawoły w okularach i niewyraźne, śmiejące się twarze odwrotniaków. Ignacy czuł, że płuca rozgrzewają mu się do czerwoności, jeszcze chwila, a zapłoną i spalą ciało od środka – łapczywie chwycił więc kolejne hausty powietrza, rżąc, jęcząc i parszcząc śliną. Był już coraz bliżej, przebiegł przez tory tramwajowe i wpadł w uliczkę jednorodzinnych domków, kiedy nagle zza pleców znajome, ale niemożliwe:

– Ignacy?

Nie zatrzymując się, zerknął do tyłu: tak, ona, Ada, wpatrzona w niego ze zdumioną miną, nieruchoma, blada. Machnął tylko ręką i popędził dalej, nie da się szaleństwu, schowa się, wytrzeźwieje, podejmie decyzję i być może wreszcie się odważy – postawi krok za ciemny skraj dachu, otuli szyję uspokajająco miękkim sznurem – ale teraz trzeba biec, uciekać, wnikać między nagie i bezpieczne mury. Kargowską jakby wymiotło, tylko kilka samochodów stróżujących wzdłuż wąskiej ulicy, parę okien rozjaśnionych migotliwym blaskiem szemrzących telewizorów, poza tym cisza, bezruch, latarnie z pochylonymi ku chodnikom łbami i wiatr bawiący się na asfalcie foliówką z Realu.

Ignacy wszedł do niedokończonego budynku – tak dawno tu nie był – i wdychając chłodny zapach wilgoci i moczu, sunąc ręką po surowym murze, ruszył schodami na piętro. Kawałki gruzu chrzęściły pod butami, przeciąg śpiewał w długim korytarzu. Rozpostarta władczo na suficie jednego z pokoi czarnozielona plama grzyba przytyła od jego ostatniej wizyty, wyciągnęła w dół, po ścianie, swoje ciemne macki.

Wszedł do pomieszczenia, w którym bywał najczęściej, spędzając czas na paleniu i spoglądaniu przez okno na uśpione miasto. Lubił siadać przy ścianie i pozwalać, by czas swobodnie przeciekał między palcami. To tutaj

narysował kiedyś kredą na ścianie wielkie drzewo wrosnięte gałęziami w ziemię, klatkę z królikami, leżącego psa i dryfujące dookoła potwory. Rysunek nadal tu był. Ale coś się też zmieniło.

Na podłodze pod oknem pojawiła się cała galaktyka zdeptanych niedopałków (on sam wyrzucał je zawsze na zewnątrz), obok pozostawiono puste świadectwa diety tutejszego bywalca: słoiki po gotowych pulpetach, papierowe torby z McDonalda, butelki po piwie i frugo. Ignacy odwrócił się i przekrzywił głowę, przyglądając się przedmiotowi leżącemu pod przeciwległą ścianą. Obok kupki gruzu, którą własnoręcznie usypał kiedyś w rogu pomieszczenia, pod plątaniną okraszonych wulgaryzmami rozmaitych ściennych obelg i apeli leżał jego własny śpiwór; zdziwił się, bo nie pamiętał, by go tu kiedykolwiek przynosił.

Nie zdążył jednak zastanowić się nad tym fenomenem – w budynku rozległ się bowiem nagle dźwięk kroków – a raczej powłóczenia nogami – odbity od nagich ścian. Ktoś wchodził powoli po schodach, raz po raz brzęczało też szkło. Wzrokiem spłoszonego zwierzęcia Ignacy rozejrzał się po pomieszczeniu i próbując stąpać jak najciszej, ukrył się na nieukończonym balkonie; ciągnany we wszystkie strony podmuchami rozweselonego wiatru, skulił ciało za niskim murem.

Ze wszystkich pomieszczeń w budynku intruz wybrał to, w którym leżał śpiwór Ignacego; ciężkie kroki ustały, coś stuknęło o beton, rozległ się szelest foliowej torebki i ucichł brzdęk butelek. Aluminiowa puszka obwieściła swoje otwarcie cichym syknięciem, zaraz też strzeliła – raz, dwa, trzy – zapalniczka. Intruz podszedł do okna nie okna, za którym Ignacy garbił się, próbując wniknąć w mur, a w powietrze uniósł się zapach palonego papierosa.

Niedługo później niedopałek dołączył do innych, przytulając się do betonu pod naporem buta, a postać przeniosła się w drugi koniec

pomieszczenia. Rozległo się westchnięcie i charakterystyczny dźwięk otwieranego słoika.

Dopiero teraz Ignacy zdał sobie sprawę z tego, że liczne zdeptane nieopodal pety mają wąskie filtry; on sam nigdy nie palił slimów.

Przyklejony do muru, rozważał pojawiające się w głowie warianty ucieczki: przeczekanie do momentu, aż intruz zaśnie; przeproszenie go i wyjście z budynku spokojnym krokiem; skok z balkonu... Wszystko zależało od tego, z kim miał do czynienia – z bezdomnym, pijakiem, chuliganem, narkomanem?

Spróbował ostrożnie wychylić się zza muru, najpierw tylko nieznacznie, później trochę bardziej, aż wreszcie udało mu się dostrzec siedzącą pod ścianą postać: młody mężczyzna pochylał się nad ustawionym między nogami słoikiem i plastikową łyżką usiłował wygrzebać ze środka resztki pomidorowego sosu.

Jego ruchy były spokojne, niemal automatyczne, łyżka bez pośpiechu oczyszczała wnętrze słoika z gęstej czerwonej mazi, język rozmazywał po podniebieniu kolejne, coraz mniejsze porcje, a reszta ciała pozostawała przy tym w bezruchu.

Ocierając usta wierzchem dłoni, intruz podniósł wreszcie wzrok, a Ignacy nie próbował już nawet się ukryć; rozpoznał fryzurę, plecak i sportowe buty.

– Brunon?

Z nieruchomym wzrokiem utkwionym w kwiecistym wzorze na dywanie Izabela Grycz pół siedzi, pół leży na wersalce, a w jej sinych dłoniach znajduje się otwarty, wysłużony egzemplarz *Odwrotniaka*. Wybałuszone z ostatniej strony „N”, „I”, „E” oraz „C” widnieją na wypukłym szkle lupy Ballon 8850A.

Wszystko już wie.

W czterdziestym szóstym roku w drodze do pracy spotkała szefa, który powiedział, że w Kongu wybito szyby. Pan Leonard Omyła zdradził jej, że zrobił to najprawdopodobniej mężczyzna nazwiskiem Człapka – wynikało to z relacji kilku naocznych świadków. Izabela nie poszła wtedy do pracy, wróciła do mieszkania Kazimierza i urządziła mu karczemną awanturę; jej kochanek zdawał się jednak nie mieć pojęcia, o co chodzi. Zaklinał się, wrzeszczał, przysięgał i na kolanach zapewniał, że nie wie nic o żadnym Kongu i o żadnych wybitych szybach. Ostatecznie po gwałtownej wymianie zdań wspólnie doszli do wniosku, że szyby w dansingu wybił brat Kazimierza, Mikołaj. W relacjach świadków padało tylko nazwisko, a Izabela nie sądziła, by Kazimierz kłamał, wersja ta wydawała jej się więc prawdopodobna, tym bardziej że Mikołaj miał wszelkie powody, by do brata i jego kochanki żywić urazę.

Nie tracąc czasu, jeszcze tej samej nocy Izabela i Kazimierz udali się do mieszkania Mikołaja Człapki, gdzie między braćmi doszło do bijatyki. W drodze powrotnej Izabela i Kazimierz kłócili się, później on malował, później darł obraz, później kochali się, a później znowu, później wyszli na

dach, aż wreszcie, kiedy na zewnątrz słońce wzniosło już łeb ponad dach sąsiedniej kamienicy, zasnęli, spleceni nogami i owinięci prześcieradłem.

W tym momencie pamięć Izabeli urywała się, Kazimierz znikał z jej życia, roztapiał się, a jedyny ślad po nim pozostawał na kartach *Odwrotniaka*, którego właśnie skończyła czytać, wyciągając z kolejnych stron przez lupę słowo po słowie; tak, wszystko już wie.

Z jej powieści wynika, że szyb w Kongu nikt nie wybił, a ona sama przypadkiem się o tym dowiedziała. Zjawiła się nawet przed dansingiem, żeby potwierdzić zasłyszaną informację albo udowodnić jej nieprawdziwość: okazało się, że szyby w Kongu rzeczywiście były całe.

– Może wstawili nowe – powiedział wieczorem Kazimierz, pochylony nad słoikiem farby, i wzruszył ramionami.

– Brudne i zakurzone? Nie, tam się nic nie stało.

– Więc szef uczynił cię obiektem swojego wyrafinowanego żartu. Wielkie mi rzeczy.

– My niesłusznie oskarżyliśmy Mikołaja, ty żeś się z nim niepotrzebnie wdał w bójkę. On jest niewinny... Szyby całe, a ty tak go zbiłeś wtedy...

– A on mnie nie zbił? Co? Mnie już opuchlizna zeszła, proszę, proszę – przekrzywił głowę, wskazując ręką sinożółtą skórę pod okiem – to i mój braciszek już się dawno pozbierał. Bez obawy. I wierz mi, że żaden z niego niewinny biedaczek. Za uszami to on ma!

– Jedzenie nam tu przynosił.

– Jedzenie, bredzenie. I co z tego? Też bym mu przynosił, gdyby było trzeba.

– Nic nie rozumiesz.

– Właśnie rozumiem! Takie jest życie. On zaraz o tym zapomni, może już zapomniał, a ty jęczysz i kwilisz, jakby się coś naprawdę stało. Bośmy się pobili. Wielkie mi rzeczy.

– A ty w tej sytuacji nie widzisz nic dziwnego?

– Owszem, widzę. Dziwi mnie, że tak ci to zaprzęta głowę.

– A jak ma nie zaprzętać? Jeśli jesteś tak nieskończenie mądry, to może mi łaskawie powiesz, po co Omyła miałyby mnie okłamać z tymi szybami?

– Dla żartu! – Człapka rzucił pędzlem o podłogę, rozchlapując umbre po stopach. – Tyle że mu się okropnie nie udało, bo równie dobrze dowcipkować by mógł z tymi swoimi oknami!

– Za to twoje poczucie humoru wzbija się aż pod niebo. Boki zrywać.

– Czego ty chcesz ode mnie? – Czerwona twarz Kazimierza zawisła nad Izabelą, dłonie niecierpliwie uderzały o uda. – Kiedy szyby były zbite, to się wściekałaś. Teraz szyby całe, a ty nadal zła.

– Nie, nie będę z tobą rozmawiała, bo albo udajesz durnia, albo naprawdę coś ci się w głowę stało. Przecież ty Mikołajowi chyba nawet nos złamałeś!

– Jeszcze niedawno tu był trup na trupie, a ty lamentujesz nad złamanym nosem?

– Tak to możesz wszystko usprawiedliwić! Idiota!

Po tych słowach, nie czekając na reakcję Kazimierza, Izabela z impetem otworzyła drzwi i zniknęła w czeluściach cichej klatki schodowej, aby jednak zaraz zawrócić – kiedy wracała korytarzem, z ułożoną w głowie litanią wulgaryzmów, z żołądkiem zawiniętym w supeł i dłońmi ściśniętymi w pięści, przez otwarte drzwi zobaczyła Kazimierza. Siedział pod sztalugami. Nogi wyprostowane, przedramiona na ziemi, na nich złożona głowa, brzuch na podłodze i udach – tak wpół złamany, jęczał cicho. Odeszła wtedy ostrożnie, tak żeby nie spostrzegł, że go w takim stanie widziała.

Kolejny rozdział *Odwrotniaka* zobrazować miał burzę uczuć, jaka rozszalała się w głowie Izabeli spacerującej przez całą noc po Warszawie, ale zamiast spójnego opisu wewnętrznych mąk wyszła surrealistyczna,



niestrawna i bezładna papka. Izabela przewracała kolejne strony, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem to właśnie te nieudane zdania, niezrozumiałe akapity, myśli oderwane od treści i opisane dla samego opisanego, zaskarbiły w latach siedemdziesiątych dla całej powieści sympatię i uznanie krytyków. Za tym dziwnym gąszczem znajdował się rozdział ostatni, zatytułowany *Święto Zwycięstwa*, rozdział, przed którego lekturą Izabela zrobiła sobie chwilę przerwy, tak jak zastyga się na moment przed ostatnim kęsem długo wyczekiwanego posiłku.

Rankiem dziewiątego maja, po nocy walk z samą sobą, po długich godzinach wpatrywania się w ściany kamienic, w uśpione ulice i płaskie, cętkowane niebo, Izabela wróciła do mieszkania, ale Kazimierza tam nie było. Na kilka godzin zniknęła w fałdach pościeli, a kiedy wstała, miasto wrzało; podniosła się powoli i niezgrabnie, oparła o komodę i poczekała, aż się zupełnie obudzi, a potem szeroko otworzyła okno i wsłuchiwała się w odgłosy wiwatującego tłumu. Na stadionie trzy tysiące defilujących sportowców i dziesięć razy tyle widzów, sztafety motorzystów i lekkoatletów, na placu Zwycięstwa przejazdu oddziałów zmotoryzowanych, drużyna Wojska Polskiego rozbijająca cztery do zera Milicję Obywatelską w meczu o puchar Bieruta, sztafeta kolarzy z wodą z Nysy Łużyckiej przed premierem – to wszystko tętniło, płynęło nad budynkami, wciskało się do mieszkania i uszu Izabeli. Stała tam i myślała o Kazimierzu: czy poszedł do brata, czy pogodził się z nim, a jeśli tak, to czy Mikołaj wybaczy także i jej, od której otrzymał już tyle chamstw i podłości?

Byłoby dobrze, gdyby się pogodzili, myślała, byłoby dobrze, gdyby wreszcie jej związek z Kazimierzem wydostał się poza ściany pełnego obrazów mieszkania, gdyby dowiedział się o nim jeśli nie cały świat, to

choćby Mikołaj i kilku jej najbliższych znajomych: Załogowie, Stefan Rzepecki, a niechby i Trzeciak.

Postanowiła więc, że poczeka; wydawało jej się, że takie męskie, ciężkie rozmowy wymagają czasu, aby nasiąknąć dobrze wódką i milczeniem, a potem zrodzić jakiś mniejszy lub większy konsensus. Czekwała więc – w łóżku, w fotelu i przy sztalugach, czekała przy otwartym oknie, oparta o parapet i wsłuchana w odgłosy defilad, czekała z papierosem w ustach i ze szklanką w dłoni, ale Kazimierz nie wracał.

Późnym popołudniem położyła się do łóżka – tylko na chwilę, zdrzemnie się, a potem pójdzie po niego – i spała do trzeciej w nocy, kiedy to hałasy z za okna wyciągnęły ją siłą na jawę.

Wyłuskała z paczki playersa i wychyliła się przez okno, pozwalając wiatrowi szarpać ją za włosy. Na dole hałasowała stłoczona wokół czegoś grupa ludzi: pijani studenci, brodaty mężczyzna z wielką torbą i dwie stare baby. Pochylali się i krzyczeli, w pewnej chwili młody chłopak oderwał się od grupy i pobiegł, wystukując podszwami o ulicę szybki, równy rytm.

Wtedy Izabela zobaczyła, nad czym pochylali się rozkrzyczani ludzie: z rozrzuconymi rękoma i nogą nienaturalnie podwiniętą pod potężne ciało leżał tam wielki, porozpinany, rozchełstany i zakrwawiony Kazimierz Człapka.

Widok był tak dziwny...

...że aż nierealny.

– Brunon, ale jak to... to ty?

– O... Ignacy. – Brunon zastygł z uniesioną głową i ze słoikiem w ręku.

– Ale mnie przestraszyłeś...

– A skąd ty... skąd ty w ogóle wiesz o tym miejscu?

Brunon westchnął ciężko, wstał i podał Ignacemu rękę, po czym wydobył ze zmiętej paczki cienkiego elema, stanął przy oknie i zaciągając

się płytko, oświadczył:

– Zrobiłem coś głupiego, wiesz? Coś tak głupiego, że aż mi się nie chce wierzyć. I dlatego tu siedzę, muszę wszystko przemyśleć.

Ignacy pokiwał głową i bez słowa zapalił swojego papierosa, opierając się plecami o ścianę i patrząc Brunonowi w oczy.

– Ja też zrobiłem coś głupiego. Straszego.

– Super. Ale zachowaj to dla siebie. Mam nadzieję, że nie wchodziłeś do mojego pokoju. Co?

– Nie, nie wchodziłem. A dlaczego?

– Nie wiem, coś tam śmierdzi. Zresztą to jest mój pokój, więc o co ci chodzi? Masz tam nie wchodzić i tyle.

– Wiem, że nie byłeś na żadnym snowboardzie.

– Co?

– Wiem, że nigdzie nie wyjechałeś. Był u nas twój tata.

– Słuchaj, byłem na snowboardzie... Byłem, tylko że na miejscu się okazało, że... że taka jedna jest ze mną w ciąży. Puściły mi nerwy... popchnąłem ją, wiesz, nic się niby nie stało, ale od razu awantura, bo mała zaczęła obnosić się z siniakiem. Więc przyjechałem tu i się zastanawiam, co zrobić. Pasuje?

– A w domu nie możesz?

– Co nie mogę?

– No, zastanawiać się.

– Wiesz co? Pocałuj mnie w dupę, ja ci się zwierzam, a ty...

– Przepraszam, po prostu... Ja po prostu myślałem, że coś ci się stało. Szczerze mówiąc, byłem już pewien, że nie żyjesz.

– Super.

– Ale powiedz, skąd ty wiesz o tym miejscu? Przecież ja ci o nim nie mówiłem. Nikomu o tym nie mówiłem.

– A czy to takie dziwne jest? No... nie wiem, trafiłem przypadkiem jakoś, daj już sobie spokój.

Ignacy pokiwał głową, zgasił papierosa o ścianę i ruszył w stronę schodów, ale zaraz odwrócił się i powiedział:

– Wiesz co, Brunon? Nigdy ci tego nie mówiłem, ale chcę, żebyś wiedział, że ja cię zawsze nienawidziłem.

Brunon patrzył na niego z beznamiętną twarzą, a potem uśmiechnął się, pokiwał głową i odwrócił do niego plecami.

Idąc korytarzem, Ignacy zerknął jeszcze za siebie: jego współlokator wbijał wzrok w rozciągający się pod stopami beton, odpalając kolejnego papierosa i mrużąc coś do siebie, słoiki odbijały w półmroku żółty blask ulicznej latarni, a leżący przy ścianie śpiwór przypominał...

– Ale zaraz – szepnął do siebie Ignacy i zawrócił.

Wchodząc z powrotem do pomieszczenia, zahaczył butem o butelkę po frugo, która z brzdękiem zatańczyła na podłodze i roztrzaskała się o usypaną w rogu piramidę cegieł. Stanął tuż przy Brunonie i obrócił go twarzą do siebie.

– A skąd ty masz tutaj mój śpiwór?

Brunon zniemacka chwycił go za gardło i ścisnął, przyciągając do siebie; nad twarzą Ignacego zawisły wystraszone oczy i spękane, pogryzione wargi.

– Wynoś się stąd – syknął Brunon. – Wynoś się, naprawdę.

Teraz to Ignacy uśmiechnął się, a potem, kiedy uścisk zelżał, wyswobodził szyję pomiędzy palców Brunona i nie ściągając z twarzy kpiącego grymasu, odszedł kilka kroków w tył. Szkło zachrzęściło pod butem – ukucnął, rozejrzał się, podniósł większy kawałek rozbitej butelki.

Tak uzbrojony ruszył w stronę Brunona, a z ust wypływały mu na zmianę przekleństwa i niekontrolowane wycie. Kroczył powoli i zdecydowanie,

spychając współlokatora do czarnego rogu pomieszczenia. Chwilę później Brunon natrafił stopą na jeden ze słoików, zachwiał się, zamachał rękoma i już mogłoby się wydawać, że uda mu się utrzymać równowagę, ale jednak nie: amortyzując upadek dłońmi i łokciami, rozciągnął się na podłodze.

Z potylicą na chłodnym betonie, wpatrując się w uzbrojonego w strzaskaną butelkę Ignacego, Brunon odetchnął i zamknął oczy.

– No co? Co teraz zrobisz? Przecież ja cię znam, durniu, ty się boisz bardziej niż ja.

– O tym miejscu i tym konkretnym pomieszczeniu wspomniałem tylko w listach pisanych na laptopie, w listach, których nigdy nie wysłałem, bo to nie są listy do czytania przez kogokolwiek, ale ty musiałeś mi przeryć komputer, tak, trzeba było się zabawić kosztem głupiego Ignacego, trzeba było przeczytać. Tak? No powiedz! Czytałeś moje listy?

– O Chryste, co ja zrobiłem, Ignacy, co ja zrobiłem...

– Czytałeś je, tak? Powiedz, wszystkie czytałeś?

– Wszystkie.

– I co, śmiałeś się? Tak? No mów, śmieszne były?

– A potem je do niej wysłałem.

Ignacy przysunął się do niego twarzą tak blisko, że dotknął go nosem.

– Wysłałeś? Do kogo?

– No do niej! – Brunon płakał coraz głośniejsze, aż nagle uspokoił się i tylko głos nadal przechodził mu w krzyk. – Do Ady! Jak się dowiedziałem, że się w niej bujałeś, to pomyślałem, że wyślę jej wszystkie te listy mailem.

– Żartujesz. Powiedz, że żartujesz.

– Ale usunąłem ze wszystkich twoje imię. Ona nie wiedziała, od kogo to dostała.

– I co?

– Zakochała się, idiotka, w autorze tych listów!

– Czekaaj, czekaaj, czekaaj, czekaaj... Ada się we mnie zakochała?

– Nie w tobie. Ona nie wiedziała, że to ty.

– A ty mi, świni, nic nie powiedziałaś... Nic, nic nie powiedziałaś.

– Ignacy, ja zrobiłem straszne rzeczy, ja wiem, ale ja naprawdę nie miałem nic złego na myśli, chciałem zażartować, zabawić się, przecież to nawet mogło tobie pomóc, jeśli się nią zauroczyłeś.

– Nie wierzę. Nie wierzę, że to naprawdę zrobiłeś.

– Podszyłem się pod ciebie, to znaczy, pod autora listów.

Ignacy zacisnął zęby na swojej pięści: przez dłoń i przedramię przemknął kojący ból. Odsunął się od Brunona i nie odrywając pięści od ust, usiadł na podłodze.

– Mów – jęknął. – Już i tak mi wszystko jedno.

– Założyłem nową skrzynkę mailową i wysłałem wszystkie te twoje listy, podpisując się jako Wielbiciel, wiesz, uśmieszki, zdrobnienia, emotikony, miało być jak najśmieszniej. Pamiętasz, jak ostatnio byliśmy w kinie? To była niedziela, a maila wysłałem w poniedziałek. A ona mi późno w nocy odpisuje, że przeczytała wszystkie listy i że chciałaby się spotkać. Nie wiedziała, gdzie mieszkam, więc podałem jej nasz adres i zaproponowałem, żeby do mnie przyszła, to znaczy do swojego Wielbiciela, rozumiesz, a ona się bez wahania zgodziła, naprawdę musiały ją te listy chwycić.

Ignacy odsunął pięść od ust, ciało zgięło mu się wpół, a twarz nabrzmiała czerwienią, drżał tak przez chwilę, skulony, a potem wybuchnął śmiechem – rechot potoczył się po budynku i odbił od ścian, on tymczasem śmiał się dalej, wręcz rżał, ścierając łzy płynące po twarzy.

– Wiesz, ja byłem z nią w poniedziałek na randce, a we wtorek rano napisała mi, ni stąd, ni zowąd, że „wyszła jej teraz jedna sprawa, którą musi rozwiązać”. Miała nadzieję, że to się wyjaśni i że wtedy się do mnie odezwie. Ale się nie odezwała. Bo się zakochała, tak? To chcesz mi

powiedzieć? We mnie, we mnie się zakochała i dlatego mnie odrzuciła, nie wiedząc, że ja to ja! – Kolejny napad śmiechu wykrzywił mu twarz i poderwał ręce ku górze, wtopił je we włosy, zacisnął. – Jako autor listów byłem dla niej kimś zupełnie innym niż jako ten, z którym siedziała w restauracji, a potem jeszcze w parku. Czy ty to sobie wyobrażasz?

– Ignacy, posłuchaj, ty... Ty jeszcze nic nie rozumiesz.

– Tylko mi nie mów, że przyszła. Tylko nie mów, że była w naszym mieszkaniu, że się nabrała, że ci uwierzyła.

– Uwierzyła.

– Nie, nie, nie... Brunon, dlaczego? Dlaczego musiałeś mi to wszystko zrujnować? Nie wystarczyło ci, że z nią spałeś? Przecież mogłeś mi później przez resztę życia dokuczać, robić sobie ze mnie jaja, ale ty musiałeś wszystko tak doszczętnie zniszczyć...

– Skąd wiesz, że z nią spałem?

– Widziałem plik na twoim laptopie!

– Grzebałeś mi w pokoju?

– Sam mnie prosiłeś, żebym ci przesłał jakieś kody.

– Ale w komputerze grzebać nie kazałem.

– Ja się do dzisiaj nie mogę pogodzić z tym, co tam znalazłem.

– To jest nieważne.

– Nieważne? To jedna z najważniejszych rzeczy w moim życiu. A ty ją zwabiłeś do nas do mieszkania. I co? Co powiedziała, jak cię zobaczyła? Chciałeś ją w sobie rozkochać? Moim kosztem?

– Słuchaj, Ignacy, to w ogóle nie tak, to był żart, głupi żart, rozumiesz...

– No i co dalej? Przyszła i co?

– Wściekła się. Z początku, przez krótką chwilę wierzyła chyba, że to rzeczywiście ja, to znaczy, że ja jestem tym Wielbicielem. Wytłumaczyłem jej, że to jaja, powiedziałem, że listy ściągnąłem z sieci i przerobiłem tylko

imię i kilka drobiazgów. Wtedy się właśnie wściekła. Zapytała nawet o ciebie, pamiętała, że przyjechałeś wtedy po mnie na imprezę, wiedziała, że się znamy. Skłamałem, że jesteś tylko znajomym znajomego, że nie wiem, gdzie mieszkasz, a te listy to naprawdę z internetu. I wtedy sobie poszła.

Patrzyli na siebie długo, jeden rozciągnięty na ziemi, drugi rozedrgany nad nim, niewyraźny, utkany z cienkich nerwów.

– Kłamiesz.

Brunon pokręcił głową, wykrzywił się i wessał wargi do ust, a w jego oczach znowu pokazały się łzy.

– Wcale sobie nie poszła – wycharczał. – Próbowala, ale ją powstrzymałem. Zaczęła mnie wyzywać, ubliżać mi, a ja... nie wiem, co we mnie wstąpiło... złapałem ją i zawlokłem do pokoju.

– Nie.

– Zawlokłem ją do pokoju, żeby ją zgwałcić.

Palce przesunęły się po powierzchni szkła...

...które wydawało się teraz gorące.

To szklanka; Izabela zbiegła na dół, nie wypuszczając jej z dłoni.

Stojących przed kamienicą ludzi roztrąciła jak wypchane kukły i upadła na kolana przed rozciągniętym pod latarnią Kazimierzem, jej Kazimierzem ze złamanym nosem, rozbitymi ustami i pękniętą czaszką. Głosy otaczających ją osób odpłynęły – próbując zahamować krwotok z głowy, słyszała tylko dalekie ich echo. Wsuwając dłonie pod gęstą czuprynę Człapki, czuła, jak kość ugina się pod palcami. Jakieś ręce chwyciły ją pod pachy i próbowały unieść, wyrwała się, wrzeszcząc i przeklinając, zaraz też uklękła znowu, ale głowy Kazimierza już nie dotknęła, głaskała go tylko po piersi i po brzuchu, szeptem błagając, by otworzył oczy i wstał.



– On nie żyje – tłumaczył ktoś, kucając obok niej i patrząc jej w oczy. – Pobili go jacyś trzej, pijani. Bardzo mi przykro, pani go znała? Bardzo mi przykro, ale on nie żyje, uderzył głową o bruk.

To było do niego takie niepodobne, leżeć bez ruchu na plecach, bo z reguły sypiał na boku, z jedną ręką podłożoną pod głowę, nie tak jak tutaj, rozciągnięty jakby go linami po ziemi próbowali rozwłóczyć, większy, dziwnie większy niż zwykle.

– On się wygłupia – powiedziała Izabela z uśmiechem. – Ja go znam, on się po prostu wygłupia.

Usiadła wygodnie obok Kazimierza i wzięła w dłoń przyniesioną z mieszkania szklanę, ale im dłużej się jej przyglądała, tym bardziej drżały jej wargi, rzuciła więc naczyniem o ziemię. Szklanka rozbiła się, strzelając naokoło odłamkami, a Izabela rozprostowała dłoń i położyła ją na chodniku, czując pod palcami ostre kawałki. Waliła w nie rękoma do chwili, aż dwaj mężczyźni siłą odciągnęli ją od Kazimierza, który najwyraźniej nadal nie zamierzał się poruszyć. W dłonie wgryzł się jej kłujący ból, śliska krew kapłała na beżową spódnicę z grubego materiału.

– Ja ich widziałem. – Z kamienicy wyłonił się wiotki mężczyzna z wąsem. – Szli w trójkę, śpiewali. Jednemu się dzisiaj urodził syn. Krzyczeli, że Święto Zwycięstwa, że ten syn i w ogóle. A ten – mężczyzna wskazał Kazimierza palcem żółkniętym od papierosów – siedł z przeciwka. Zaczepili go, chcieli, żeby się z nimi napił. Ale on wrzeszczał jeszcze głośniejsze niż oni. Powiedział, że sprowadzanie siłą bezbronnego człowieka na taki świat to nie jest żaden powód do dumy, więc się nie napije. Później już nie rozumiałem, co ryczeli na siebie, aż w końcu on – znów żółty palec wymierzony w ciało Kazimierza – rzucił się na nich. Młócił łapami, ale go obalili. Jeden złapał za głowę i zaczął tłuc o ziemię.

Izabela długo świdrowała wzrokiem pomarszczonego mężczyznę w rozpiętej białej koszuli, a potem bez słowa odwróciła się do Kazimierza. Położyła głowę na jego piersi i zamknęła oczy. Był ciepły, cudownie ciepły. Na czole błyszczał mu pot.

Gładziła go po brzuchu i po ramionach, nie zwracając uwagi na wzbierający wokół tłumek, aż w pewnej chwili coś wyślizgnęło się z kieszeni marynarki Kazimierza i zagrzechotało o ziemię.

Naszyjnik, korale, złote obrączki i krzyżyk ze zmatowiałym ramieniem, ten sam, który kiedyś kołysał się nad nią w ruinach i którego nie chciała wtedy przyjąć, krzyżyk Mikołaja Człapki. Kosztowności niedbale owinięte były w papier, na którym długopisem napisano:

- „1. Kolejowa 42, jakiś Szmidt, negocjować
2. L. Omyła, zapłacić połowę z obiecanego
3. List do Izy i do Mikołaja
4. 21:24, pociąg do Łodzi Kaliskiej, tam przesiadka, sprawdzić”.

Kartkę zmięła i razem z krzyżykiem zaciśnęła w pięści, a resztę kosztowności na oczach zebranych ludzi wsunęła z powrotem do kieszeni w marynarce Kazimierza. Z oddali słychać było wiwaty i grającą orkiestrę. Pachniało latem.

Jeszcze tego samego dnia odnalazła Leonarda Omyłę, który wiedział już o śmierci Kazimierza; zgarbiony nad kieliszkiem, przyznał jej się do tego, co zaczynała już powoli podejrzewać. Któregoś dnia Kazimierz odwiedził go i zaproponował pieniądze; w zamian Leonard zjawić się miał konkretnego dnia o konkretnej godzinie w konkretnym miejscu, by spotkaną „przypadkiem” Izabelę poinformować o zdarzeniu w Kongu. Omyła zarzekał się, że nie wie nic więcej. Dostał parę złotych, reszta miała być dzisiaj. Właściwie nie wiedział nawet, dlaczego się zgodził; pieniędzy mu jakoś bardzo nie brakowało, a sprawa wyglądała na podejrzaną. „Ale on

był taki miły, tak mi to wszystko pięknie wyklarował. Wiesz, Iza, ja się nie mogłem nie zgodzić”.

Chodziła później po mieście, strząsającym z siebie ostatnie pozostałości po Święcie Zwycięstwa, i starała się nie myśleć o niczym; jak cudownie byłoby móc się tak odciąć od samej siebie, żeby nie czuć, nie zastanawiać się, nie wspominać. Żeby nie bolało.

Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby, pozostając w pełni świadoma i przy zdrowych zmysłach, uwierzyć w to, że Kazimierz – jej kochanek, jej powiernik, jej druga połówka, jej odwrotniak – zaplanował to wszystko i z zimnym sercem zrealizował. Że fortelem zmusił ją do wizyty u Mikołaja tylko po to, by mu ukraść kosztowności. Że umówił się już z kimś, by to złoto i naszyjniki spieniężyć. Że ona sama nic go nie obchodziła, bo liczyło się tylko jego chore marzenie, tylko jego wielka, pieprzona pustynia.

I teraz, sześćdziesiąt cztery lata później, siedzi w mieszkaniu z własną książką na kolanach i gdyby tylko miała w sobie dość siły, roztrzaskałaby o ścianę tę diabelną lupę. Wyobraża sobie, o czym myślał Kazimierz w chwili swojej śmierci. O niej? Na pewno nie. O Mikołaju? Tym bardziej. Kiedy tamci trzej tłukli jego głową o chodnik, Kazimierz Człapka myślał o pustyni.

I już wie, dlaczego to wszystko zapomniała. Bo tak było wygodniej, bezpieczniej. Na nikim nie można polegać. Marzenia się nie spełniają. Człowiek jest zawsze taki sam.

Izabela wstaje z wersalki – raz, dwa, za trzecim razem – i wychodzi z mieszkania, bez kijków, a potem podejmuje się wspinaczki po schodach, szybko, coraz szybciej, palce stalowo zaciskają się na drewnianej poręczy, płuca nie nadążają... jest. Puka do drzwi mieszkania pani Kasi i jej męża didżeja, pana Tomka/Radka/Bartka, puka energicznie i głośno, a potem dla pewności przygnięta dłonią przycisk dzwonka. W mieszkaniu coś się

dzieje, budzi się jakiś ruch, szuranie, rozespane „już, już, moment” – która to właściwie godzina? – i wreszcie chrobot klucza w zamku, drzwi stają otworem.

– O, witam, proszę, proszę wejść.

– Ale czy ja pana przypadkiem nie obudziłam? Rany, coś mi się w głowie pomieszało chyba, żeby o tej godzinie pana niepokoić. Chyba jest niesłychanie późno...

– Nie, nic nie szkodzi, proszę powiedzieć: coś się stało?

– Wie pan, taką prośbę bym miała, na chwilkę chciałabym pożyczyć telefon, muszę pilnie, bardzo pilnie zadzwonić, a mój aparat się zniszczył, właściwie ja go niechcący zniszczyłam, no i teraz nie mam jak zadzwonić, a pilnie potrzebuję...

– Aha... – Ręka pana Tomka/Radka/Bartka wędruje ku łysej głowie i przylega do niej ośmiorniczo. – Telefon... no tak, oczywiście, żaden problem.

I znika w czeluściach zawalonego płytami i kosmicznie wyglądającym sprzętem pokoju, tłucze się po nim, obraca, mruży coś do siebie, aż w końcu znajduje, tak, z uśmiechem unosi telefon. Który ma wielki ekran, za to nigdzie nie widać przycisków.

– Czy ja będę umiała? Jak to tutaj...?

– A bardzo prosto, zresztą, jak pani chce, to ja numer wybiorę, proszę mi tylko podyktować. Pamięta pani?

Pamiętała, owszem, jak by miała nie pamiętać, może i pół życia przepadło jej w szufladzie pamięci, ale numer do wnuka tak w głowie wyryła, że już tam zostanie na zawsze. Palce pana Tomka/Radka/Bartka zwinnie tańczą więc po lśniącym ekranie, kciuk wciska niewidzialny przycisk i już.

– Proszę. Dzwoni.

– To ja wyjdę – mówi Izabela, niezgrabnie unosząc wielkie ustrojstwo do ucha i próbując jednocześnie nacisnąć łokciem klamkę; z pomocą przychodzi pan Tomek/Radek/Bartek.

Na klatce schodowej, oparta o poręcz, słucha własnego: – Halo? Halo? Halo? – odbitego od ścian i wędrującego przez kolejne piętra.

– Ignacy? Ignacy? Ignacy?

Chce mu wybaczyć tę nieszczęsną lupę, bo i co też wielkiego się stało, ludzie, zwłaszcza młodzi, tyle mają na głowie, no po prostu zdarza im się zapomnieć, dlatego chce wybaczyć, a poza tym powie mu coś miłego, niech wie, że go kocha, bo może już niedługo nie będzie miała po temu sposobności? Czuje się wprawdzie nie najgorzej, ale nigdy nic nie wiadomo, lepiej mieć czyste konto, wyrównane rachunki. Nie chce skończyć jak Kazimierz, z listą niedokończonych spraw i marzeniem rozerwanym w połowie. Kazimierz miał swoją pustynię.

Jej własną pustynią jest wnuk.

Połączenie nie dochodzi...

...jednak do skutku. Telefon utopiony w garnku nie odzywa się, mówią za to policjanci krążący po mieszkaniu. Kolejne zgłoszenie żart; gdyby po liczbie takich wyjazdów wnioskować, można by pomyśleć, że Polacy to naród złożony głównie z wesołków.

Twarze policjantów bynajmniej wesołe nie są, smutne także – lata służby stężały na ich skórze i w rysach, emocje już tylko po cywilnemu. Wolnym krokiem wyłaniają się z kamienicy, a już w radiowozie, odłożywszy czapki na deskę rozdzielczą, odbierają kolejne zgłoszenie.

Jadą, najpierw Kasprzaka, Hetmańską i Głogowską, a później długo Palacza, po lewej mijając Kargowską z jej opuszczonym budynkiem, w którym Ignacy pochyła się znowu nad Brunonem: twarz ma tuż przy jego

twarży, szkło dociska mu do szyi, palce prawej ręki drętwieją, a w kolana wgniata się beton.

– Słuchaj, Ignacy, mnie wtedy musiało coś paść na głowę, przecież mnie znasz, przecież wiesz, że ja taki nie jestem, że ja bym nigdy... no wiesz przecież, powiedz, przecież chyba nie myślisz, że ja jestem jakimś gwałcicielem, albo... No powiedz. Ignacy, błagam cię na wszystko, odwdzięczę ci się, zrobię wszystko, słyszysz? wszystko, ale musisz mi pomóc. Weź to szkło, weź je ode mnie, czego ty się boisz, co ty mi chcesz tą butelką zrobić, co? Dla mnie już teraz nie ma odwrotu, bo albo mi pomożesz, albo nie wiem, po prostu nie wiem.

– Zgwałciłeś Adę?

– To znaczy, nie do końca. Właściwie, trudno powiedzieć, ale nie, ostatecznie to tak jakby nie...

– Zgwałciłeś czy nie zgwałciłeś?

– To nie jest tak łatwo powiedzieć, bo przecież ona wcześniej ze mną, wiesz, dobrowolnie, wtedy, na imprezie, a tu teraz nagle jakieś krzyki, fochy, no więc... Ja sam już za bardzo nie pamiętam, jak to było, ale na pewno do czegoś tam doszło, u ciebie w pokoju tak naprawdę, bo to tam uciekła...

– U mnie w pokoju. Zgwałciłeś Adę u mnie w pokoju.

– Ale nie to, że zgwałciłem, no właśnie ci mówię, to było tak dziwnie, bo zanim na dobre jakby, no wiesz, to ona jakoś mi się w trakcie wyślizgnęła i zaczęła uciekać. Ale że miała opuszczone dzinsy, to ją jakoś dogoniłem, w przedpokoju, chciałem w sumie się pogodzić, powiedzieć, że nieważne, żart się nie udał, trudno, ale ona zaczęła drzeć się jak opętana, to złapałem ją i chciałem popchnąć do mojego pokoju, uciszyć, ale...

– Ale co?

– Ignacy, ale pamiętaj, że ja jestem człowiekiem, pamiętaj, że każdy może zrobić w życiu głupstwo, straszne, niewyobrażalne głupstwo. Każdemu się może przytrafić taka chwila słabości.

– I co dalej? Popchnąłeś ją i co?

– Muszę najpierw wiedzieć, czy mi pomożesz. Mogę na ciebie liczyć? Odwdzięczę się, przysięgam, wezmę od ojca pieniądze i uwierz mi, będziesz bogaty, zresztą zrobię, co tylko będziesz chciał. Pomożesz mi, Ignacy? Obiecujesz?

– Popchnąłeś ją i co?

– I ją zabiłem! Zadowolony? Zadowolony? Zabiłem ją przez przypadek, przewróciła się, uderzyła głową, zabiłem, kurwa, co ja teraz zrobię, musisz mi pomóc, to nie było celowo, ona się przewróciła, uderzyła głową o podłogę, aż coś chrupnęło, Ignacy, Ignacy, błagam cię, pomóż mi, ja nie jestem mordercą, ale ją zabiłem.

Ignacy odsunął szkło od szyi Brunona, oparł dłonie o ścianę i wstał z podłogi, powolny i przygarbiony, obmacując kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Wytrząsnął z paczki ostatniego davidoffa, wetknął go między suche wargi i podpalił, ale wraz z pierwszą porcją dymu osiadłą w płucach rozkaszał się, ponownie musiał poszukać oparcia w ścianie. Kaszel przeszedł w śmiech, śmiech w rechot; papieros trząsnął się w opuszczonej dłoni, rozbujany dygotem całego ciała, a Ignacy wył ze śmiechu, to zginając się ku podłodze, to odrzucając głowę do tyłu.

– Zabiłeś... – powtarzał, rycząc ze śmiechu. – Zabiłeś Adę.

Szurając ciałem o beton i potracając słoiki, Brunon podniósł się na łokciach i oparł o ścianę, ze wzrokiem utkwionym w chichoczącym Ignacym również wyszarpnął z kieszeni paczkę papierosów.

– I co teraz? – zapytał, wypuszczając z ust pachnącą miętowo chmurę dymu.

– A ja myślałem... – parsknął Ignacy, dławiąc się ze śmiechu – ja byłem przekonany, że... że ja ciebie i ją...

– Słuchaj, Ignacy, musisz mi pomóc. – W głosie Brunona zgasł błagalny ton, zastąpiony nagle przez szorstkość. – Obaj tu jesteśmy, obaj znaleźliśmy Adę, mieszkamy razem, jesteś w to zamieszany tak samo jak ja. Musimy teraz wspólnie coś wymyślić.

Śmiech momentalnie urwał się w gardle Ignacego, a po pomieszczeniu rozlała się lepka cisza.

– Wiesz co? Nawet jestem ciekaw, w czym ja miałbym ci pomóc. No? Powiedz.

– Nie wiem, chodzi o to, żeby się z tym jakoś uporać, no wiesz... To był wypadek, przecież obaj o tym wiemy!

– No dalej, powiedz, co chciałbyś zrobić?

– Trzeba się pozbyć ciała. Ja ją włożyłem do szafy w moim pokoju, trzeba ją stamtąd zabrać, zakopać gdzieś... Ona już pewnie śmierdzi.

Raz jeszcze śmiech wstrząsnął ciałem Ignacego, a w jego dłoni ponownie pojawiło się szkło.

– Coś ci powiem – syknął, klękając obok Brunona, chwytając go jedną ręką za włosy i przytykając ostre szkło do skóry nad grdyką. – Już za późno, policja znalazła już ciało. Więc przestań jęczeć i prosić. Zadzwoń im do nich i wszystko powiedziałem. Zgnijesz w więzieniu, zgnijesz, zgnijesz!

Oparty o ścianę, ze szklanym zębem przy szyi, Brunon uśmiechnął się krzywo, a potem mrugnął do współlokatora.

– Aktorsko wyszło ci to nawet nie najgorzej, ale obaj wiemy, że to nieprawda. Przecież ja ci dopiero o tym wszystkim powiedziałem, nie mogłeś wcześniej zadzwonić na policję.



– Powiedziałem im, że to ja zabiłem Adę. Ale nie łudź się, zaraz stąd wyjdę i pobiegnę prosto na komisariat, żeby wszystko im dokładnie opowiedzieć. Zgnijesz, obiecuję ci, przysięgam, zgnijesz w więzieniu...

– Myślałeś, że ty ją zabiłeś? Znalazłeś ciało?

– Nie, ale domyśliłem się, że tam jest. Znalazłem twoją zakrwawioną koszulkę i plamę przy szafie.

– To akurat była moja krew.

– Twoja?

– W poniedziałek, jak wróciłem z siłowni, dostałem krwotoku z nosa. Zatamowałem koszulką, no i pewnie gdzieś podłogę pomazałem. I ty chcesz mi wmówić, że nie otwierałeś szafy, nie widziałeś ciała, ale zadzwoniłeś na policję? Ignacy, Ignacy, nie rób z siebie durnia.

– To nie była jej krew?

– Nie. Moja. Słuchaj, pójdźmy tam od razu, zapakujemy ją w coś i wywieziemy jak najdalej, nawet w góry albo nad morze, i gdzieś zakopimy. I będzie święty spokój, żaden z nas nie zrobił nic takiego, za co się powinno iść do więzienia. Zapłacę ci, dobrze ci zapłacę.

Wypuszczone z dłoni szkło zsunęło się po brzuchu Brunona, Ignacy wstał, chwycił się za głowę i zaczął krążyć między ścianami.

– A skąd ty właściwie wiesz, że Ada nie żyje? – zapytał, zastygając w bezruchu.

– Jak to skąd?

– Uderzyła się, tak? I co potem? Sprawdziłeś jej puls? Oddech?

– Słuchaj, nie jestem idiotą. Ona uderzyła głową o ziemię tak mocno, że coś aż chrupnęło, a kiedy podszedłem do niej, nie żyła.

– Czyli nie sprawdzałeś?

– O co ci chodzi? Gdybym mógł ją jakoś wtedy uratować, to przecież uratowałbym, ale tam już się nic nie dało zrobić. Pomożesz mi czy nie?!

Z zamkniętymi oczyma, z pędzącym sercem i spoconymi dłońmi Ignacy układał wszystko w całość – niemal czuł, jak kolejne pytania i odpowiedzi zakwitają mu w głowie – aż w końcu przypomniał sobie rozmowę z Kotletem, bieg przez miasto i usłyszane za plecami znajome, ale niemożliwe: „Ignacy?”, po którym, nie zatrzymując się, zerknął tylko do tyłu: tak, ona, Ada, stała tam, wpatrzona w niego ze zdumioną miną, nieruchoma, pobladła.

– Brunon... Teraz już rozumiem. Już po wszystkim, niczym się nie martw, już po wszystkim. To koniec!

Rzucił się w kierunku schodów, ale zanim do nich dotarł, Brunon dogonił go i chwycił za ubranie. Dłoń zaciskał na tym samym kawałku szkła, który trzymał wcześniej Ignacy.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Ignacy poczuł, jakby ktoś mu siłą napiął mięśnie brzucha, a potem siłą je rozluźnił, coś wdarło się w niego, żołądek jak pięść, chwila po brzegi wypełniona niczym, a potem ból, gorący, śliski i mokry, rozlewający się od środka ku dołowi i w stronę kręgosłupa. Brunon uderzył ponownie, a potem jeszcze raz, ale kolejne ciosy nie powodowały już dodatkowego bólu; docierały do celu, sprawiając wrażenie chybionych, i gdyby nie krew na rękach współlokatora, Ignacy gotów byłby pomyśleć, że to wszystko jest udawane.

– Taki jesteś kolega? – Kolejne słowa Brunon wypowiadał coraz szybciej i szybciej, nerwowo zagryzając wargę. – Nigdzie nie pójdziesz i to twoja wina. Mogliśmy wszystko jakoś rozwiązać, zapomnieć, zostawić to za sobą. Ale nie, ty chciałeś lecieć na policję, powiedzieć wszystkim, jaki to ja zły jestem, a tobie jak smutno, przykro i w ogóle, że z ciebie taki zakochany, zbity pies. To wszystko przez ciebie, słyszysz? Pamiętaj, przez ciebie. No? No? I co teraz?

– Brunon?

– Co Brunon? Teraz to Brunon, tak?

– A gdzie jest jej telefon?

– Że co?

– Jej telefon. – Ignacy przykładał ręce do brzucha i unosił je do twarzy, obserwując w półmroku. – Co z nim zrobiłeś?

– Myślisz, że jestem debilem? – Brunon chodził po pomieszczeniu, zagryzając wargę i spoglądając na Ignacego z wyrzutem. – Wyniosłem z domu i wyrzuciłem do śmieci! Jakiś kilometr od naszego wie żowca.

– Aha. Wiesz co?

– Kurczę, Ignacy, pokaż to... – Brunon podszedł, pochylił się i obejrzał ranę na brzuchu. – Może nic ci nie będzie, co?

W tym momencie Ignacy upadł na kolana, podparł się ręką i podniósł głowę, zamykając oczy.

– Zostaw to, zostaw. Wiesz co?

– No co?

– Ada żyje, wcale jej nie zabiłeś. Pewnie uciekła z mieszkania, jak ciebie już nie było. Ja ją przed chwilą widziałem na ulicy, ale myślałem, że to mi się wydaje, wiesz, myślałem, że oszalałem.

Brunon cofnął się o krok i pogroził Ignacemu palcem, a na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

– Nie odpuszczasz! Sprytnie. Prawie się nabrałem. Ale wybaczone, nie zadzwonię teraz po karetkę tylko dlatego, że mi próbujesz zamydlić oczy. A z tym... – pokiwał głową, wskazując na brzuch Ignacego – ...z tym to już się chyba nic nie da zrobić.

Ignacy przewrócił się, uderzając plecami o beton i wybuchając tak głośnym śmiechem, że Brunon cofnął się jeszcze bardziej.

– A wiesz, może to i dobrze... – wycharczał, szczerząc zęby. – Sam bym się na to nie odważył, więc może i dobrze się stało. Ale zostaniesz tu jeszcze ze mną przez chwilę? Kurczę, tak sobie teraz pomyślałem, że ten krzyżyk, zobacz, ja go dostałem od babci i byłoby szkoda, gdyby on się zmarnował, bo to był krzyżyk jej kochanka, malarza, nieważne. Weź go sobie, co? Albo lepiej daj go Adzie. Zobaczysz, ona żyje...

– Ty naprawdę oszalałeś. – Brunon znowu zaczął krążyć, raz w jedną, raz w drugą stronę, drapał się przy tym po głowie. W końcu nogi ugięły się pod nim, usiadł i zapalił papierosa.

– A ty nie czujesz czasami – mówił Ignacy, mlaskając – że niektóre rzeczy, takie na przykład jak to wszystko, co się tu teraz dzieje, to mogą się wydarzać tylko w życiu? Bierzesz w coś udział i nawet się nie zastanawiasz czasem, jakie to nieprawdopodobne. W książkach i filmach wszystko musi trzymać się kupy, wynikać z czegoś, do czegoś prowadzić... A w moim życiu wszystko jest bez sensu, siedzę latami w domu i nagle, teraz, o, zobacz. Gdybyś to wymyślił i komuś opowiedział, nikt by nie uwierzył...

– Słuchaj, jak mi obiecasz, że nikomu nic nie powiesz, że nie piśniesz słowem, to zadzwonię po karetkę, a potem sam sprzątnę z domu to, co trzeba sprzątnąć. Powiesz, że się przewróciłeś na butelkę i po sprawie. Tylko mi obiecaj. Jesteśmy w tym razem, pamiętaj. Obiecujesz?

Wokół Ignacego rozrastała się ciemna kałuża.

– Brunon... – szepnął, próbując walczyć z opadającymi powiekami. – Ty idioto. Ona żyje...

– Jasne. Jak chcesz. Ale wiesz co? Nikt teraz nie będzie pamiętał, że malowałeś obrazy czy inne bzdury, że się bunkrowałeś w domu i w ogóle, nie, ludzie cię będą znali jako tego, co w podejrzanych okolicznościach zabił Adę i został tu zadźgany. Mogłeś sobie wcześniej pisać swoje życie,

jak ci się podobało, ale i tak cię ocenią i zaszufadkują po końcówce! Jesteś idiotą, Ignacy! No? Powiedz coś. Hej, co ty robisz... Igna...

Głos Brunona utonął w szumie wdzierającym się do głowy, kolejne słowa rozciągnęły się, powolne i nieistotne, powieki ciążyły coraz bardziej. Ignacy widział już tylko wiszącą nad nim twarz Brunona z poruszającymi się ustami, z których nie wydobywało się ani jedno słowo, ale zaraz i ona zniknęła, usłyszał za to dalekie echo tupotu stóp na schodach.

Odetchnął głośno i zakrztusił się, a kiedy kaszłał, czuł, jakby sam siebie rozrywał od środka. Otworzył oczy i zobaczył wiszące nad nim na ścianie narysowane kredą odwrócone do góry nogami Niedźwiady.

Uśmiechnął się i zacisnął powieki, pod którymi wystrzeliło z ziemi karłowate drzewo, wydźwignęło się wysoko i opuściło konary, by wbić je w ziemię. Pojawiły się klatki na króliki, wielki pies z oślinionym pyskiem, rozległe połacie lśniącej trawy i nieruchome słońce, wokół którego pływały kolorowe kruki i ławice czarnych kalmarów. Wokół drzewa śmigają żyrafy o trzech szyjach, pancerne dziki najeżone kłami, bawoły w wielkich okularach i żółto-zielone zebry, a między nimi tu i ówdzie pojawiała się odwrócona twarz.

Z domu we wnętrzu drzewa wyłoniła się niewielka postać trzymająca coś w rękach i sprężystymi krokami ruszyła w stronę Ignacego.

– Wiedziałem, że ja bym nie mógł zrobić ci krzywdy... – zaczął Ignacy, ale urwał, gdy zobaczył, że to nie Ada biegnie do niego, stawiając bose stopy na krótko ostrzyżonej trawie.

Był to chłopiec, którego widział kiedyś na ulicy, uśmiechnięty chłopiec z ubłoconą piłką.

Miasto otwiera powoli milion prostokątnych żółtych oczu, nad skrzyżowaniami zakwitają trójkolorowe orchidee, czarne cienie wsiąkają pokornie w chodniki, zapewniają się rozciągnięte między budynkami asfaltowe żyły. Budziki w telefonach drą nocną ciszę na strzępy, ciała odklejają się od siebie, nagie stopy zsuwają się na miękkie dywany i twarde panele, dłonie unoszą się do zaspanych oczu wciśniętych w obojętne twarze oświetlone blaskiem lamp wyrastających z komód i nocnych stolików. Oślepieni bielą z otwieranych lodówek, opadający ciężko na chłodne klapy sedesów, pochylający się nad śpiącymi małymi replikami siebie, zgarbieni na tramwajowych przystankach, pod autobusowymi wiatami i w drodze przez podziemne garaże, wyruszamy na podbój kolejnej kartki kalendarza.

Ranny budynek przy Kargowskiej wżera się w zdrową tkankę miasta, jego fundamenty tkwią dumnie w niechętej im ziemi, jego kalekie ściany sąsiadują ze ścianami jednorodzinnych domów i pięciopiętrowego biurowca, a ślepe czarne okna spokojnie spoglądają w przyszłość – w jednym z nich miga drobna sylwetka.

Ada wspina się po schodach, mija pomieszczenie z czarną plamą na podłodze, siada na skraju szczerbatego dachu i długo patrzy na rozlane na wszystkie strony miasto, a kiedy już ma dość, wyciąga z kieszeni plik wydrukowanych listów i kładzie je pod jedną z rozrzuconych na dachu cegieł, razem ze złotym krzyżykiem.

Redaktor prowadzący: Dariusz Sośnicki

Redakcja: Jan Koźbiel

Korekta: Małgorzata Denys, Beata Wójcik

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, Foksal 17

tel./fax (22) 646 05 10, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

ISBN - 978-83-7881-086-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)

i Ewa Krajewska / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow